



ŻYCIE i MYŚL

3/4

1950

ŻYCIE i MYŚL

M I E S I Ę C Z N I K

I.

W SPRAWIE NAJWAŻNIEJSZEJ;

Aleksander Rogalski: Powieść katolicka;

Zygmunt Wojciechowski: Początki chrześcijaństwa w Polsce na tle stosunków niemiecko-wieleckich;

Stanisław Pigoń: Pierwszy start Władysława Orkana;

II.

Władysław Jan Grabski: Narodziny cesarzowej Anki (Fragment powieści)

III.

Tadeusz Silnicki: Władysław Abraham (1860—1941) (dok.).

IV.

Mieczysław Suchocki: Dążenia kulturalne Słowiańszczyzny a europejska myśl postępową;

Tadeusz Silnicki: Kościół a zasada swobodnej dyspozycji własności ziemskiej w Polsce wieków średnich.

V.

Dzieje styku słowiańsko-germańskiego w w. I—XII.

VI.

Katolicy polscy w akcji obrony pokoju.

INSTYTUT ZACHODNI
POZNAŃ

W SPRAWIE NAJWAŻNIEJSZEJ

I.

Sprawa zapewnienia pokoju, tak szeroko dziś dyskutowana, jest najistotniejszym problemem współczesnej ludzkości. Jeśli bowiem w razie wszczęcia działań wojennych zostaną w ruch wprowadzone nowoczesne środki niszczenia, samo istnienie ludzkości stanie pod znakiem zapytania. Wszystko to trzeba sobie jasno i wyraźnie uświadomić.

Z punktu widzenia katolickiego stanowisko każdego uczciwego i rozumnego człowieka w tej zasadniczej sprawie nie pozostawia żadnych wątpliwości. Zagrożenie życia i mienia niezliczonych mas ludności nie może znaleźć żadnego usprawiedliwienia moralnego. Tylko biblijny Potop dałby się może zestawić z perspektywą wojny atomowej i wodorowej. Wszelkie dążenie do wywołania takiego kataklizmu jest zbrodnią, której zwalczanie jest obowiązkiem sumienia. Zasada ta musi pozostać nienaruszoną. Nie ma trudności politycznych, dla których wolno by było ją poświęcić: ochrona bytu i życia ludzkiego musi być zawsze jednym z głównych celów ideologii prawdziwie humanistycznej — chrześcijańskiej.

Walcząc w obronie tej zasady w interesie mas katolickich, w interesie całej ludzkości, współdziałamy zarazem w normalizacji życia we własnym kraju, przepajamy je chrześcijańską ideą pokoju.

Nie trzeba przy tym dodawać, w jakiej mierze hamując na życie i jego normalizację działa również stan zimnej wojny. Każdy wie dobrze, że władze polityczne i władze wojskowe odpowiedzialne są za stan przygotowania politycznego i wojskowego kraju na wypadek wybuchu wojny. To wszystko pociągać musi za sobą naturalne zarządzenia, konieczne dla bezpieczeństwa politycznego i wojskowego, które z natury rzeczy w codziennym życiu muszą być uciążliwe.

Tylko jednolita postawa całego społeczeństwa może te trudności skutecznie łagodzić. Stanowisko mas katolickich w tym względzie jest jasne — wynika z zasadniczej chrześcijańskiej idei pokoju.



II.

O tym, że Polska kroczy zdecydowanie po linii pokoju, świadczy świeżo dokonująca się wszechstronna normalizacja stosunków Polski z Demokratyczną Republiką Niemiecką. Ażeby raz jeszcze zdać sobie sprawę z podstaw tej normalizacji, sięgnijmy do jednego ze świeżo ogłoszonych dokumentów.

W periodykach naukowych niemieckich, włoskich i francuskich¹⁾ ogłoszono niedawno klauzulę testamentową słynnego historyka starożytnego Rzymu, b. profesora Uniwersytetu w Berlinie, Teodora Mommsena. Klauzula testamentowa nosi datę 2 września 1899 r. Mommsen umarł w cztery lata później, w r. 1903. Ponieważ Mommsen zastrzegł się, że tę klauzulę wolno ogłosić publicznie dopiero w trzydzieści lat po jego śmierci, nie mogło to nastąpić wówczas, gdyż w r. 1933 taka publikacja możliwą nie była.

Brzmienie tej klauzuli testamentowej jest następujące²⁾:

¹⁾ Miesięcznik „Die Wandlung”, t. III., 1948, z. 1, s. 69—70; Bulletin dell'Istituto di Diritto Romano, t. LIII, s. 345 i n.; Revue Historique de Droit Français et Étranger, 1950, z. 1, s. 121—123. Cytuję według tego ostatniego.

²⁾ Der Wortlaut der Testamentsklausel:

Ich ersuche die Meinigen, nach meinem Tode das Erscheinen eingehender Lebensbeschreibungen nach Möglichkeit zu verhindern, insbesondere keine Papiere zu diesem Zweck auszuliefern.

Ich habe in meinem Leben trotz meiner äusseren Erfolge nicht das Rechte erreicht. Äusserliche Zufälligkeiten haben mich unter die Historiker und die Philologen versetzt, obwohl meine Vorbildung und auch wohl meine Begabung für beide Disziplinen nicht ausreichte, und das schmerzliche Gefühl der Unzulänglichkeit meiner Leistungen, mehr zu scheinen, als zu sein, hat mich durch mein Leben nie verlassen und soll in einer Biographie weder verschleiert, noch manifestiert werden.

Es kommt dabei ein Zweites hinzu. Politische Stellung und politischen Einfluss habe ich nie gehabt und nie erstrebt; aber in meinem innersten Wesen und ich meine mit dem Besten, was in mir ist, bin ich stets ein „animal politicum“ gewesen und wünschte ein Bürger zu sein. Das ist nicht möglich in unserer Nation, bei der der Einzelne, auch der Beste, über den Dienst im Gliede und den politischen Fetischismus nicht hinauskommt. Diese innere Entzweiung mit dem Volke dem ich gehöre, hat mich durchaus bestimmt, mit meiner Persönlichkeit, soweit mir dies irgend möglich war, nicht vor das deutsche Publikum zu treten, vor dem mir die Achtung fehlt.

Proszę moją rodzinę, by po mojej śmierci w ramach możliwości przeszkodziła ukazaniu się szczegółowych życiorysów, w szczególności, by nie wydawała żadnych w tym celu dokumentów.

W życiu moim mimo zewnętrznych sukcesów nie osiągnąłem nigdy tego, czego chciałem. Przypadkowe wydarzenia o charakterze zewnętrznym umieściły mnie między historykami i filologami, chociaż moje przygotowanie i zapewne także moje zdolności w obydwóch kierunkach nie były wystarczające, i bolesne uczucie niedostateczności mej pracy, uczucie, że wydaję się być czymś więcej, niż jestem w istocie, w ciągu życia nigdy mnie nie opuszczało, czego w biografii nie należy ani zamaskować, ani też manifestować.

Dołącza się do tego druga sprawa. Nigdy nie zajmowałem stanowiska w życiu politycznym, nie miałem politycznego wpływu i do niego nigdy nie dążyłem; w głębi duszy jednak — myślę o najlepszych uczuciach, które we mnie tkwią — byłem zawsze „animal politicum” i pragnąłem być obywatelem. To nie jest możliwe w naszym narodzie, w którym jednostka, choć najlepsza, nie dochodzi do tego, by wzniesć się ponad służbę w szeregu i polityczny fetyszym. Ów wewnętrzny rozbrat z narodem, do którego należeć, zniewolił mnie do tego, by z osobowością moją, o ile mi to tylko było możliwe, nie występować przed niemiecką publicznością, dla której brak mi szacunku.

Pragnę, by ta publiczność także po mojej śmierci nie zajmowała się moją indywidualnością. Niech czytają moje książki tak długo, jak trwać będą; czym byłem, albo czym miałbym być, nic ludzi nie obchodzi.

Ich wünsche, dass auch nach meinem Tode dasselbe mit meiner Individualität sich nichts zu schaffen mache. Meine Bücher mag man lesen, solange sie eben dauern; was ich gewesen bin, oder hätte sein sollen, geht die Leute nichts an.

Meine Briefschaften und sonstige Papiere sollen nach meinem Tode meinen Söhnen Karl und Ernst zur Sichtung übergeben werden, wobei sie meine Frau nach Ermessen hinzuziehen und ihre Wünsche berücksichtigen werden. Da ich nicht die Gewohnheit hatte, empfangene Briefe zu kassieren, so wird bei weitem das Meiste sofort zu vernichten sein. Im übrigen steht es ihnen frei, was dazu sich eignet, selbst aufzubewahren, jedoch immer unter Ausschluss der Publikation. Eventuell können sie auch, was sich dazu eignen sollte, einer öffentlichen Anstalt mit der Massgabe, dass in den nächsten dreissig Jahren die Papiere unter Verschluss bleiben, dass aber wie andere öffentliche Akten benutzt werden können, zum Eigentum übergeben. Hierdurch wird die entgegenstehende Bestimmung § 13 des Testaments aufgehoben.

THEODOR MOMMSEN.

Heringsdorf, 2. September 1899.

Korespondencję i inne papiery należy po mej śmierci wydać moim synom Karolowi i Ernstowi do przejrzania, przy czym według swego uznania przywołają oni moją żonę i uwzględnią jej życzenia. Ponieważ nie miałem zwyczaju usuwania otrzymanych listów, trzeba będzie Olbrzymią większość natychmiast zniszczyć. Poza tym zależy od nich, czy zechcą sami przechować to, co się do tego nadaje, jednak zawsze bez prawa ogłaszania. Ewentualnie mogą to, co by się do tego miało nadawać, przekazać na własność publicznemu zakładowi z zastrzeżeniem, że dokumenty pozostaną w ciągu najbliższych 30 lat pod zamknięciem, że jednak można będzie z nich korzystać, jak z innych publicznych akt. Przez to znosi się odmienny przepis § 13 testamentu.

Theodor Mommsen.

Heringsdorf, 2 września 1899.

Z szacunkiem odczytujemy dziś tę klauzulę, ale czytelnik polski przypomni sobie coś innego, a mianowicie odezwę Mommsena „An die Deutschen in Oesterreich”, umieszczoną w wiedeńskiej „Neue Freie Presse” z 31 października 1897 r. W odezwie tej nazwał Mommsen Słowian „apostołami barbarzyństwa, którzy niemiecką pracę pół tysiąca lat pogrzebać pragną w przepaściach swojej dzikości”. Znaną jest wspaniała odprawa, którą dał Mommsenowi jeden z najznakomitszych uczonych polskich Oswald Balzer w „Liście otwartym”, wystosowanym do Mommsena³⁾. Ale nie chodzi tutaj o przypominanie tych zdarzeń.

Odezwa Mommsena świadczy o tym, że nawet ci Niemcy, którzy wyrastali ponad przeciętny nacjonalistyczny poziom swego społeczeństwa, tracili równowagę duchową i umysłową, gdy się zbliżali do zagadnienia słowiańsko-niemieckiego. Na innym miejscu o tym mówiliśmy osobno⁴⁾.

³⁾ Por. Oswald Balzer, *Przygodne słowa, 1886—1911*, Lwów 1912, s. 98—119; *Kultura słowiańska i germańska*. Por. też w tym przedmiocie moją książkę pt. *Oswald Balzer*, Lwów 1933, s. 110—111.

⁴⁾ Por. mój artykuł pt. *Polityka wschodnia Niemiec a katastrofa współczesnej cywilizacji*, zamieszczony w „Przeglądzie Zachodnim” 1947, plr. I, s. 381—395, oraz artykuł pt. *Katastrofa Niemiec w oświeceniu historyka niemieckiego*, zamieszczony tamże, plr. II, s. 687—689.

Ale też w tym świetle sprawa normalizacji stosunków polsko-niemieckich na granicy Odra — Nysa, granicy kładącej kres kolonialnym podbojom niemieckim, jest naprawdę, w głębi istoty, swojej, sprawą służącą pokojowi. Koła demokratyczne w Niemczech, które tę granicę uznają, tym samym wchodzą do Obozu Pokoju. Polska i Niemcy wchodząc we współpracę na tych nowych zasadach, służą sprawie pokoju.

Służą zaś z tego względu, ponieważ od dawna zagadnienie słowiańsko-germańskie było punktem zapalnym świata. Od ekspansji niemieckiej Austrii w stronę słowiańskiej Serbii rozpoczęła się pierwsza wojna światowa. Od agresji Niemiec hitlerowskich na Czechy i Polskę — druga wojna światowa. Ten sam zapalnik miałby być użyty i przy trzeciej wojnie światowej, ku której zdążają czynniki imperialistyczne. Zniszczenie tego zapalnika to ważny, jakże ważny akt w służbie pokoju, normalizacji stosunków między narodami. Porozumienie Polski z Niemiecką Republiką Ludową świadczy, iż hasło walki o pokój nie jest frazesem, ale postulatem praktycznie realizowanym.

III.

W jednym z najwcześniejszych tekstów źródłowych, odnoszących się do historycznych początków Polski, w dokumencie tzw. „Dagome iudex”, pochodzącym z lat 990—992, zawarty jest opis granic ówczesnej Polski. Szczególnie dokładnie opisane są one od strony zachodniej. Od okolic Ołomuńca biegnie granica pomiędzy ziemią Milczan a Odrą, tj. granicą dawnego i dzisiejszego Śląska. Potem zaś wzdłuż Odry prosto aż do Szczecina.

Taką to Polskę, w tych granicach opisaną, oddał Mieszko I w ramach pojęć swej epoki pod opiekę i protekcję Stolicy Apostolskiej.

Jeśli więc współczesna Polska domaga się od współczesnego papieża utworzenia ordynariatów biskupich na Ziemiach Odzyskanych, to może więc się powołać i na bardzo starą historyczną tradycję, stojącą u świtu państwowości polskiej i u świtu jej związków ze Stolicą Apostolską.

Taż Polska może się powołać jednak i na okoliczność innej jeszcze natury. Kiedy w XVI wieku poczęła się upowszechniać reformacja, jednym z ognisk katolicyzmu, które się utrzymało, było biskupstwo wrocławskie, sukcesoriale w stosunku do biskupstwa założonego w r. 1000 na Śląsku przez Bolesława Chrobrego w porozumieniu z cesarzem Ottonem III i papieżem Sylwestrem II. Podporą tej jednostki kościelnej była później w czasach reformacji i w dobie dalszej ludność polska w zwartym osiedleniu żyjąca na szerokich połaciach Śląska.

Do tej tradycji nawróciła współczesna Polska. Wiadomo, ile trudu i troski włożył Episkopat Polski ze śp. kardynałem Hlondem na czele w organizowanie życia religijnego na Ziemiach Odzyskanych. Nie trzeba tu przytaczać danych statystycznych, ażeby stwierdzić, w jak ogromnej mierze dokonała się rekatolicyzacja Ziem Odzyskanych. Zaludnienie ich do czasu przed drugą wojną światową przeważnie protestanckie, stało się obecnie wyłącznie katolickie.

W interesie katolicyzmu leży więc całkowita normalizacja życia kościelnego na Ziemiach Odzyskanych, to zaś wymaga utworzenia ordynariatów i usunięcia stanu prowizoryjnego w tym zakresie na tych terenach. Jeśli postulat ten stawia Polska socjalistyczna, tym lepiej dla katolicyzmu. Świadczy to bowiem, że Polska socjalistyczna uznaje potrzeby swej wierzącej ludności.

Ale utworzenie ordynariatów na Ziemiach Odzyskanych to zagadnienie innej jeszcze natury. Wszelki stan prowizoryjny na tych ziemiach to szczypta zachęty do jego zmiany. Skoro zaś to dokonać się może tylko na drodze wojny, wszelka taka zachęta z natury rzeczy stać się musi współczynnikiem przygotowywanej agresji.

Z tej też racji polskie koła katolickie muszą apelować do Episkopatu, ażeby idąc po linii zobowiązań przyjętych w umowie zawartej z Rządem i działając w interesie katolicyzmu i pokoju, mocno stawiał sprawę stabilizacji organizacji kościelnej na Ziemiach Odzyskanych.

Z. W.

Aleksander Rogalski

POWIEŚĆ KATOLICKA

Wydawnictwo „Pax” wydało w ciągu ubiegłego i bieżącego roku cztery powieści pióra trzech wybitnych przedstawicieli literatury katolickiej za granicą, a mianowicie Georges’a Bernanosa „Pod słońcem szatana” i „Pamiętnik wiejskiego proboszcza”, Bruce’a Marshalla „Chwałę córę królewskiej” oraz równie głośno dyskutowaną dzisiaj, co swego czasu pierwsza powieść Bernanosa, Grahama Greene’a „Sedno sprawy”. Dzięki temu czytająca publiczność katolicka w Polsce otrzymała pierwszorzędną wartości pożywkę intelektualną i artystyczną, a zarazem możność wniknięcia w rozmaite ważne elementy katolickiego poglądu na świat, katolickiej postawy, przeżyte przez odrębne, zdecydowanie zarysowane organizacje pisarskie i typy duchowe.

Każda z tych powieści na swój sposób niesie pewien ładunek rewolucji, rewolucji zarówno o aspekcie metafizycznym, religijnym, moralnym jak i — choć przeważnie w sposób wtórny — socjalnym! Ich pojawienie się u nas trafia więc na chwilę bardzo sposobną: nigdy tak nie odczuwaliśmy głęboko jak dziś potrzeby nie tyle odnowienia katolicyzmu, bo katolicyzm jest wiecznie młody — ile odnowienia form, w jakich przeżyć nam należy katolicyzm. Jeśli dawniej rentierski stosunek do posiadanej religii mógł nie pociągać za sobą przykrych następstw w dziedzinie doczesnej, to dzisiaj ta ciągła niewierność dla Ewangelii, która przecież nakazuje nam zachowywać ustawiczną gotowość, czujność i heroizm religijny, która nam nigdy nie obiecywała łatwego życia i łatwych sukcesów — grozi usunięciem tego rodzaju katolików za burzę konkretnego, dziejotwórczego życia i procesu cywilizacyjnego. Nic nie stanowi tak potężnej gwarancji przyszłości katolicyzmu i społeczeństw katolickich, jak życie pełnią katolicyzmu, zgodnie z jego duchem, który nie pozwala się wtłoczyć raz na zawsze w jakiś jeden kształt życia, związać nierozzerwalnie z jedną formacją historyczną, z jednym ustrojem społeczno-politycznym. Niepamięć o tym spowodowała, że wielu katolików znalazło się po stronie ginącego świata: ich wierność dla katolicyzmu okazała się zdradą wo-

bec katolicyzmu, który jest przecież nie tylko czcigodną przeszłością, ale także przyszłością i który, jak pisze Marshall, nie tylko nie przeżył swej użyteczności, ale, przeciwnie, nie zaczął jej nawet jeszcze w pełni okazywać.

Wymienione książki z tych przyczyn oraz z powodu znaczenia, wykraczającego poza ramy zjawisk ściśle katolickich, zasługują na coś więcej aniżeli na zwykłą recenzję. Poświęcamy im przeto obszerniejsze omówienie, nie kuszając się zresztą o wyczerpanie wszystkich w nich tkwiących wartości, a podkreślając te momenty, które wydają się najbardziej uderzające i istotne.

„POD SŁONCEM SZATANA”

Georges Bernanos wznosi się na tle współczesnej literatury francuskiej jak skalisty blok w morzu. Co mu zapewnia odrębne stanowisko, to przede wszystkim jego bezlitośnie ostry, szorstki, gwałtowny, często impertynencki styl. Nie uznawał on żadnych kompromisów, stale z kimś walczył i stałe się o coś spierał, i to zawsze namiętnie. W książkach swych przedstawiał, posługując się językiem wolnym od wszelkiej szminki, od wszelkiego upiększenia dramat nowoczesnego świata: chrześcijan, którzy tylko z imienia są jeszcze chrześcijanami, w rzeczywistości zaś pędzą żywot, wypełniony gonitwą za własnymi interesami i troską o zachowanie drobnych wygod burżujskiego dnia powszedniego, lecz z pogardą i z poczuciem wyższości spoglądając na „pogan” — i po drugiej stronie tychże właśnie „pogan”, którzy nie uznają Boga, którzy ostateczny cel swego życia szukają w sobie samych.

Ta wizja sytuacji duchowej obecnego świata nie opuszczała Bernanosa nigdy. Jego życie stało pod znakiem bezkompromisowej walki o prawdziwe, wymaganiom Jezusa Chrystusa odpowiadające chrześcijaństwo.

Przypomina on pod wieloma względami proroków ze Starego Testamentu. Podobnie jak oni wieścił jedną, niepodzielną prawdę i wszelką, z ludzkich względów aż nadto zrozumiałą próbę uszczknięcia nieco z tej absolutności, bezwzględności prawdy i dopasowania jej do świata doczesnego piętnował jako zdradę wobec świętej sprawy Boga. Stojąc w pośrodku puszczy dzisiejszego świata zachodniego, przestrzegał, groził, zaklinał, podnosił swój głos i można o nim powiedzieć,

jak o ostatnim proroku Starego Przymierza, św. Janie Chrzcicielu, że „nie nosił miękkich szat i nie był trzcina chwiejącą się na wietrze”. Nie mówił do ludzi, aby się przypodobać, lecz by ich zmusić do słuchania kogoś wyższego. Nieustannie przypominał chrześcijanom, że chrześcijaństwo nie jest religią zaświatów, lecz że ono urabia i przeobraża to życie ziemskie mocą nauki Chrystusowej. Z bezlitosną gwałtownością Bernanos ciska chrześcijanom niewygodną prawdę w twarz: aby być chrześcijaninem, nie wystarczy chodzić do kościoła i żyć poza kościołem, jakby Chrystus nie umarł na krzyżu. Chrześcijaninem być to znaczy: pracować przez całe życie, co dzień wszystkimi swymi siłami nad wcieleniem w czyn wysokiego ideału, skoro jako jego świadek koronny przyszedł Chrystus na świat i umarł.

W swojej najgłośniejszej książce Bernanos wprowadza do zadowolonego z siebie, żyjącego w wygodzie, faryzejskiego świata burzawicznych katolików element grozy, wstrząsu i niepokoju, ukazując im w sposób nadzwyczaj ekspresywny ciągle żywą, ciągle istniejącą rzeczywistość zła, realność szatana, ukazując zarazem, jak straszliwie trudnym dziełem jest zbawienie człowieka, ile wymaga ono ofiar, ile mąk, ile w nim niebezpieczeństw się kryje.

Była to właściwie prawda tak stara jak Kościół, ale potrzeba było całej wulkaniczności sztuki pisarskiej Bernanosa, całej jego namiętnej, delirycznej, konwulsyjnej religijności, by narzucić ją stępałym sumieniom i znużonej wyobraźni nowoczesnych chrześcijan, by objawić jej groźną aktualność.

Treść książki wypełnia walka kapłana, który najbardziej serio, jak tylko to jest w mocy ludzkiej, pojął swoje powołanie — z szatanem o wieczne zbawienie dusz grzeszników. Charakter dramatyczny nadaje owej walce to, że zaangażowane są w niej największe wartości; to, że obie strony kładą w nią całą swoją istotę, że sukcesy uzyskane w poszczególnych jej fazach bynajmniej nie dają zadowolenia i że ostateczne rozstrzygnięcie bynajmniej nie jest takie pewne.

Można by wyrazić zdziwienie, że właśnie pisarza francuskiego ośwładnął ten mroczny aspekt chrześcijaństwa, który tak znamienne piętno wycisnął na twórczości Dostojewskiego, gdyby się nie zwróciło uwagi na Pascala i jansenistów oraz na mistyków hiszpańskich, św. Jana od Krzyża i św. Teresę z Avila, którzy pozostawili nam przejmujące świadectwo udręk zadawanych im w ciągu niemal całego życia przez

przeciwnika Boga (w żyłach Bernanosa płynęło, jak wiadomo, sporo krwi hiszpańskiej). Ostatecznie musimy pamiętać, że największy geniusz kultury romańskiej, Dante, był nie tylko twórcą „Nieba”, ale także „Czyśćca” i „Piekła” i jego infernalne koncepcje i obrazy zrobiły nawet większą karierę na Zachodzie niż jego zachwycenia niebiańskie.

Ponieważ Georges Bernanos jest bodaj najwybitniejszym w światowej literaturze współczesnej eksploratorem satanizmu, poświęcimy temu momentowi nieco uwagi.

Najpierw jednak krótko przypomnimy, jakie jest stanowisko Kościoła w odniesieniu do problemu zła i szatana. Otóż jest rzeczą charakterystyczną, że w Starym Testamencie szatan zajmuje mało miejsca, jego władztwo pozostało jeszcze wtedy nie ujawnione. Dopiero Nowy Testament ukazuje go jako wodza zjednoczonych sił piekielnych, jednocześnie jednak daje wizję jego ostatecznej klęski, na którą złożył się Krzyż i Odkupienie. W katolickiej koncepcji szatana decydujący jest ten moment, że był on aniołem stworzonym przez Boga. Był wprawdzie aniołem upadłym i zbuntowanym, niemniej jednak aniołem, istotą wyższą, i jego bunt i upadek nie zdołały mu odebrać tej natury anielskiej, w jaką wyposażył go jego Stwórca. Już to samo dowodzi, jak błędny jest pogląd, który stale pokutował w tradycji chrześcijańskiej, choć zawsze też zwalczany był przez myśl ortodoksyjną, mianowicie, jakoby szatan był osobowością wcielającą zasadę zła, której antytetycznie odpowiadałaby zasada dobra, zaktualizowana przez Boga, jakoby szatan był nie tylko przeciwnikiem Boga, lecz nawet rywalem Boga, anty-Bogiem, czymś równym Mu co do znaczenia i siły. Pogląd ten, który stanowi pozostałość po manicheizmie, kierunku sekciarskim, zwalczanym przez św. Augustyna, a głoszącym pod wpływem zoroastrianizmu wiarę w istnienie we wszechświecie dwóch równorzędnych sił: dobra — Boga i zła — szatana, w wieczną walkę królestwa światła z królestwem ciemności, poważnie zaciążył na literackich koncepcjach zła w literaturze krajów zachodnio-chrześcijańskich (m. in. także na światopoglądzie Żeromskiego).

Prawowierny chrystianizm zawsze stanowczo odrzucał ten dualizm, nie przyznawał złu charakteru pozytywnego, nie czynił z niego zasady realnej, substancji, co tak znamionowało wszelkie bez mała herezje wschodnie.

Lecz to, iż zło nie jest substancją, nie jest rzeczywistością, nie oznacza bynajmniej w świetle nauki Kościoła, by było ono „nicością”, by należało w ogóle zaprzeczać jego istnieniu. Są bowiem stopnie istnienia i jest hierarchia bytów. Jedynie Bóg jest w sensie prawdziwym i pełnym słowa: *Vere est, summe est*. Wszystkie istoty stworzone są, ponieważ uczestniczą w bycie Boga, są zaś w tym stopniu, w jakim zbliżają się czy też oddalają od Boga. W tej perspektywie zło jest jakby zmniejszeniem bytu w bycie stworzonym (a przez to zmiennym), do którego ono weszło. Byt anioła upadłego jest zmniejszony, lecz nie unicestwiony, ponieważ wszystko, co jest, jest dobre, i gdyby dobro stworzenia, istoty stworzonej było całkowicie wyeliminowane, stałaby się ona nicością, przestałaby istnieć! Natura więc demona, diabła czy szatana byłaby mieszaniną bytu i nicości. Zło jest próżnią, nie pełnią. Zło nie jest bytem, jest zepsuciem bytu, infekcją, bezładem. *Malus modus vel mala species, vel malus ordo*.

Zło jest tym, co mogłoby nie istnieć, co zawdzięcza swoje istnienie istnieniu ludzkości, odsłaniając w całej swej głębi i dwoistości tajemnicę wolności. Szatan jest tym bytem wolnym — naucza Kościół — tym aniołem, który pierwszy odłączył się od źródła wszelkiego bytu i zbliżył się do nicości, z której został wyciągnięty przez Stwórcę. (Patrz „*Les Etudes Carmelitaines*”: „Satan” 1948).

Jak w świetle powyższych przypomnień wygląda „satanizm” Bernanosa? Służyć on ma przede wszystkim celom dydaktycznym, jest elementem dynamizującym życie religijne współczesnych chrześcijan, zastygłych w stereotypach. Bernanos głosi, że nie może być mowy o prawdziwym życiu religijnym bez udziału w nim szatana: im kto lepszym chrześcijaninem, im kto w większe łaski wyposażony, ten na silniejsze wystawiony będzie pokusy. U ludzi świętych ataki zła przybierają postać tak gwałtowną, że często narażają świętość na szwank.

Tylko tchórzliwość chrześcijan pozwala zamykać oczy na realność szatana. Stary, doświadczony spowiednik „świętego z Lumbres”, ksiądz Menon-Segrais w dłuższym wywodzie zwraca uwagę na niezbędność szatana jako czynnika, bez którego nie może być mowy o żadnych prawdziwych osobistych wartościach duchowych. Mówi on do księdza Donissana:

„Niejeden kapłan boi się wypowiedzieć imię szatana. I cóż oni czynią z życia wewnętrznego? Smutne pobożowisko instynktów. Z moral-

ności? Higienę zmysłów. Łaska jest dla nich jeno słusznym rozumowaniem, które porusza umysł, kuszenie — cielesnym pożądaniem, usiłującym go przekabacić. W ten sposób przeczuwają zaledwie najpospolitsze epizody wielkiej walki wewnętrznej. Uważa się, że człowiek dążyć może tylko do wielkiego i pożytecznego, przy czym świadomość kieruje jego wyborem. Nadaje się, owszem, do oderwanych postaci książkowych ten przeciętny człowiek, którego nigdzie się nie spotyka. Takie dzieciństwa nic nie tłumacza! W świecie tak czujących i myślących zwierząt nie ma miejsca dla świętego, albo trzeba wmówić weni obłąd. Czyni się to, rzecz pewna. Ale tak łatwo nie rozwiąże się zagadnienia. Każdy z nas — ach! — gdyby ksiądz mógł zapamiętać sobie słowa starego przyjaciela — jest po kolei przestępcą i świętym. Już to dążąc ku dobremu, i to nie z rozumnego wyrachowania, lecz jedynie z czystego i dziwnego porywu całej jaźni, z nadmiaru miłości, która właśnie w wyrzeczeniu się i cierpieniu upatruje przedmiot swych pragnień, już to dręczony tajemniczym popędem do spodlenia, upodobaniem w popiele, szalem zwierzęcości i niepojętej nostalgii. O, cóż znaczy doświadczenie, nagromadzone od wieków doświadczenie życia moralnego! Co wart jest przykład nieszczęsnych grzeszników i ich strapienia!... Złe jak i dobre kocha się — i służy mu się — dla niego samego”.

Ks. Donissan podejmuje walkę z szatanem z całą świadomością jej zaciętości i jej grozy, ożywia go bowiem najwyższy patos. „Bóg natchnął mnie myślą — mówi — że jestem powołany do prześladowania szatana w duszach ludzkich, choćbym miał wystawić na niebezpieczeństwo swój spokój, swoją godność kapłańską i nawet zbawienie własne”. Nie ożywia go radość płynąca z pewności przyszłej nagrody, lecz smutek, płynący w żałowaniu chwały, jaką ludzkość utraciła, gdy wyszła z rąk bożych, i kieruje nim determinacja: „Pragnąłem uchylić się od tego krzyża — wyznaje spowiednikowi. — Jestże to możliwe? Zawsze brałem go z powrotem. Bez niego życie nie ma znaczenia: najlepší staje się jednym z tych ciepłych, których Pan nasz wypłuwa. W nędzy ostatecznej, poniżeniu, zdeptaniu, zgębieniu, zelżeniu przez najszkaradniejszą istotę, czym byśmy się stali, gdybyśmy nie czuli przy najmniej obelgi? Nie on jest panem świata, pokąd święty gniew wzbiera w naszych sercach, pokąd stworzenie ludzkie rzuca mu w twarz: „Non serviam!”

Ogarnięty płomieniem namiętności ks. Donissan woła: „Ach, raczej desperacja i wszystkie jej katusze niż tchórzliwa powolność wobec dzieł szatana!” I dla wydarcia dusz z rąk szatana ofiaruje on wszystko, co posiada: życie swoje, pociechy Ducha Świętego, a nawet swoje zbawienie.

W tej koncepcji szatan urasta do niesłychanie groźnej, wszechwładnej potęgi: mieszka on w sercach ludzkich, „wspaniały i nikczemny, odszczepieńcza gwiazda poranna: Lucyfer, czyli fałszywa Jutrzenka...” i zarazem jest panem tego świata, trzyma go w ręku, jest jego królem. „Jesteśmy pod stopami szatana — mówi ks. Donissan księdzu Sabiroux — ... Jesteśmy zdeptani, zatopieni. On nie zadaje sobie nawet tyle trudu, żeby nas usunąć, jesteśmy tak słabi, że łatwo czyni z nas swe narzędzie ...”

W tym wszystkim pobrzmiewają wyraźne echa manicheizmu, przypominają się tu ponure nauki wschodnich herezjarchów. W pojęciu Bernanosa szatan urasta do rozmiarów potęgi, która zdolna jest nawet trzymać w szachu Boga. Można by więc zadać pytanie: czy to jest książka katolicka? Czy Bernanos nie posunął się za daleko w przedstawianiu potęgi osobowego zła, skoro do walki z nim uruchamia najwyższy kapitał duchowy? Niewątpliwie z punktu widzenia teologicznego „Pod słońcem szatana” nie wydaje się książką nienaganną, co występuje wyraźnie, gdy się ją zestawi z jego ostatnią powieścią „Monsieur Ouine”. Treścią jej jest również problem zła, lecz diabeł nie zajmuje w niej miejsca odrębnego, jak w „Pod słońcem szatana”, dzięki czemu autor nie wyposażył go w rzeczywistość, której w świetle nauki chrześc. posiadać on nie może. Ukazuje Bernanos jego obecność rozprzestrzenioną w całym świecie, wszczepioną w samo łono Bytu, bez którego nie byłby on niczym. Tak więc w swej ostatniej książce przezwyciężył Bernanos pokusę manicheizmu, której uległ, gdy pisał swą pierwszą namiętną i płomienną książkę „Pod słońcem szatana”.

Mimo wszystko jednak można tu mówić raczej o pokusach i skazach aniżeli o heretyckości takiego przedstawienia szatana.

„Proboszcz z Lumbres” w swej ostatniej na ziemi skardze, zanesionej do Sędziego, stwierdza, że szatan wszystko może zabrać człowiekowi z wyjątkiem cierpienia, które jest jakby rękojmnią obecności Boga w nas. Jest to dziedzina niedostępna dla szatana; ona oczyszcza i wywyższa nawet najnikczemniejszego z ludzi. Ostatecznie wysiłki

szatana są bezpłodne i ludzkość koniec końców odzyska świat, z którego wypędził ją grzech. A dokona się to dzięki mękom i cierpieniom wszystkich grzeszników „zwłaszcza zaś świętych, którzy nie są „świętymi z rumieńcem, ze zlocistą brodą, świętymi z obrazów”.

Z punktu widzenia literackiego na uwagę zasługuje scena bezpośredniego dialogu „świętego z Lumbres” z szatanem, odbytego w ciemnościach nocnych. Posiada ona dużą ekspresję, ale jest mało przekonująca, jak mało przekonujące są w ogóle wszelkie literackie artystyczne kreacje sataniczne, ponieważ w tej niezwykle trudnej dziedzinie rzadko któremu twórcy udaje się uniknąć karykaturalności i groteskowości, co sprawia, że nie osiąga się zamierzonego efektu wielkości i grozy, jaką tchnąć winny postacie demoniczne. Ciekawe, że Bernanos dał swemu demonowi ten sam atrybut, jaki posiada diabeł Tomasza Manna w „Doktorze Fauście”, atrybut zimna. „Jestem Zimnem. Istotą mego światła jest zimno nie do wytrzymania”, powiada o sobie diabeł Bernanosa. U Tomasza Manna zaś pojawienie się diabła w ciepłym pokoju Adriana sygnalizuje ścinający krew w żyłach mróz...

„Pod słońcem szatana” mimo wszelkie swoje słabości i uchybienia literackie i doktrynalne należy do szlachetnego gatunku beletrystyki religijnej. Nie jest książką literata, napisaną „pour épater les bourgeois”, lecz dziełem człowieka przenikniętego na wskroś świadomością doniosłości naszego dramatu istnienia, książką — czynem, aktem prawdziwej i płomiennej miłości chrześcijańskiej.

„PAMIĘTNIK PROBOSZCZA WIEJSKIEGO”

Na czym polega sens społeczny powieści „Pod słońcem szatana”? Mieści się on właśnie w tym bezlitosnym zderzeniu z katolicyzmem miękkich szat, w jakie go spowinęło zadowolone z siebie, traktujące go jako „swoją” religię, nacechowane bezwładem i egoizmem mieszczaństwo, które nadawało dotychczas ton kulturze. Zdawało by się, że jeśli jest to katolicyzm głębi, to tym samym jest to katolicyzm ezoteryczny. Tymczasem rzecz ma się przeciwnie i słusznie wyjaśnia Bolesław Piasecki w przedmowie do powieści „Pod słońcem szatana”: „Katolicyzm głębi duszy ludzkiej warunkuje skuteczność i wartość oddziaływania społecznego wiernych. Służba konkretnemu dobru jednostki i grupy społecznej została zagubiona przez fideizm i konserwatywny tradycjonalizm. „Święty z Lumbres” przeżywa ustawiczną obecność Boga —

jakże przeraźliwie jasno wie, że w tej obecności trzeba działać, trzeba służyć od razu, natychmiast konkretnym potrzebom spotkanych ludzi...”

W napisanym później „Pamiętniku proboszcza wiejskiego” element społeczny występuje jednak wyraźniej, nie potrzeba go wyprowadzać za pomocą dedukcji. Wprawdzie i tu mamy do czynienia z integralnymi wartościami i zjawiskami katolicyzmu, ponieważ książka poświęcona jest problematyce świętości i kreśli sposób, w jaki kapłan pragnący zrealizować świętość przeżywa walkę świata grzechu ze światem Łaski.

Ale „Pamiętnik wiejskiego proboszcza” zawiera jednocześnie krytykę pewnych form stosunku do religii, pewnych form cywilizacji chrześcijańskiej, a krytyka ta jest zarazem krytyką zła społecznego. „Niesprawiedliwość i niedola, to mi rozpala krew”, mówi jedna z postaci Bernanosa, proboszcz z Torcy. Ten sam ksiądz wspomina o entuzjazmie, jaki wywołała w nim encyklika Leona XIII, „*Rerum Novarum*”: „Zdawało nam się, mówi, że ziemia zatrzęsa się nam pod nogami”, zwierza się z tego, że z serdecznością zawsze myśli o Rosjanach ze względu na głębię, z jaką przeżyli wszelkie formy niedoli społecznej, zwłaszcza o Maksymie Gorkim, i daje wyraz przekonaniu, że gdyby Kościół mógł jakiś lud postawić na ołtarzu, to by niezawodnie wybrał lud rosyjski. Nie brak w „Pamiętniku księdza proboszcza” miejsc, w których do głosu dochodzi nawet demaskatorska pasja w stosunku do klas posiadających, biorąca się z miłości bliźniego. Zginiętym trupem nazywa Bernanos feudalną klasę, a jej stosunek do religii uważa wręcz za profanację religii — w gwałtownej rozmowie „proboszcza wiejskiego” z hrabiną. Nie ma większej nieprawości na tym świecie — woła — niż obłuda możnych. „Przyjmujecie Chrystusa, ale co z Nim robicie? Czyż nie było dość cennym przywilejem urodzić się wolnym od doczesnego jarzma, które czyni z życia ludzi ubogich monotonne poszukiwanie tego, co niezbędne, wyczerpującą walkę z głodem, pragnieniem, czyni z niego ten nienasycony brzuch, który codziennie żąda swojej porcji?” Bogaczy gromi też proboszcz z Torcy: „Nieszczęśnicy! Złoto, z którego wy wszyscy tyle sobie robicie, czyż jest czymś innym jak złudzeniem, marzeniem, a czasami tylko obietnicą marzenia? Ubóstwo to duży ciężar na wadze mego Ojca Niebieskiego, a wszystkie wasze złudne skarby nie wyrównują szal...”

W ogniu takiej krytyki stapia się też pogląd, reprezentowany przez warstwę posiadającą, wedle którego Kościół jest czymś w rodzaju suwerennego państwa ze swymi prawami, urzędnikami, armią — momentem o niesłychanej chwale historii ludzkości. Dla bohatera bowiem Bernanosa Kościół jest jak oddział wojska, który kroczy poprzez czasy przez nieznane okolice. „Żyje z kolejnych ustrojów politycznych i społecznych, tak jak wojsko żyje z ludności z dnia na dzień”.

W wypowiedziach tych jak i w całym klimacie duchowym książki Bernanosa wyraża się jego rewolucyjność wobec form, jakie przybrał katolicyzm w cywilizacji burżuazyjnej i kapitalistycznej. Lecz rewolucyjność nie jest niczym innym jak ukazywaniem tego, co zawsze było w katolicyzmie, co zawsze stanowiło jego istotę.

Kto znał poprzednio „Pamiętnik proboszcza wiejskiego”, tego nie mogły zaskoczyć pisane po wojnie artykuły Bernanosa w „Bataille”, w których nieznuzenie powtarzał, ile pogardy czuje do dzisiejszej generacji: „najmienniejszej, jaką kiedykolwiek Francja posiadała” — i jaką ulgę czuje, że stoi z dala od kraju, w którym jeszcze przed nie-
zbyt dawnym czasem oklaskiwano Monachium i zawieszenie broni.

„SEDNO SPRAWY”

Podobnie jak Bernanos tak i Graham Greene odznacza się surową, mroczną, augustiańską postawą wobec człowieka i życia. Zasadnicze problemy wiary katolickiej przeżywa on w sposób, który wyłącza niemal całkowicie radość i szczęście. Trudno w nim szukać choćby śladów franciszkanizmu, łacińskiej fascynacji cudownością fenomenu życia. Jego religijna wizja świata opiera się nie na podziwie wspaniałości świata stworzonego przez Boga, jak u Claudela, którego twórczość jest w lwiej części jednym wielkim hymnem „Magnificat”, lecz na rzeczywistości grzechu. Mówi już o tym motto, umieszczone w jego „Sednie sprawy”, motto, na które składają się następujące słowa Péguy’ego: „Grzech mieści się w samym sercu chrześcijaństwa. Nikt nie posiada takiej kompetencji w materii chrześcijaństwa jak grzesznik. Nikt inny, chyba tylko święty”.

Zgodnie z tym oświadczeniem Graham Greene uczynił centralną postacią swej powieści, napisanej w roku 1948, człowieka wierzącego, który przybiera postawę aktywną, dynamiczną wobec prawd swej

wiary dopiero z chwilą, gdy przekracza próg grzechu śmiertelnego i który rzeczywistość religijną, nadprzyrodzoną przeżywa w sposób najintensywniejszy w momencie popełniania największego grzechu, jaki popełnić może katolik, grzechu świętokradztwa.

Już świat materialny, fizyczny, w którym żyje bohater Greene'a, nacechowany jest brzydotą i smutkiem, co tym bardziej uderza, że akcja jego powieści rozgrywa się na terenie zachodnio-afrykańskiej kolonii brytyjskiej, a jej bohaterem jest brytyjski oficer policji Scobie, ale daremnie by tu szukać blasków i uroków, które tak obficie roztaczało pióro piewcy brytyjskiego imperium kolonialnego, Rudyarda Kiplinga. W swoim biurze Scobie „zawsze wyczuwał odór ludzkiej nędzy i niesprawiedliwości — była to woń ogrodu zoologicznego, trocin, odchodów, amoniaku i braku wolności”. Brzydota wdarła się do mieszkań, wyciska swoje piętno nawet na twarzach kobiet, które budzą uczucia miłosne: ciała tych kobiet lepią się od potu, twarze ich zapadnięte lub przedwcześnie zniszczone, w chwilach zaś, które powinny ukazać ich największy powab, kojarzą się z mięsem armatnim. Nawet grzech zdradza swoją obecność w woni rozkładu, którą czują grzesznicy. Niekatolicy nie wydają się szczęśliwsi. Protestant Harris cierpi z powodu nędzy swego życia codziennego, protestant Wilson doznaje czczości posmaku, który zostawał po nasyceniu żądz.

Dochodzi do tego, że nie piękno, którego nie ma, lecz brzydota dobywa z serca mężczyzny miłość i tklivość. Scobie uświadamia sobie swoją miłość do żony wtedy, kiedy wydaje mu się najbrzydsza i najbardziej bezbronna. Litość osiąga u niego moc namiętności. Kocha Helenę, z którą popełnia cudzołóstwo, ponieważ budzi w nim ogromną litość i smutek z powodu swej brzydoty, „przejściowej brzydoty dziecka”. Nie może się angażować uczuciowo wobec ludzi pięknych, inteligentnych i pełnych wdzięku, bo mogli sami dać sobie radę. Litość okazuje się nawet formą bardziej stałą niż miłość, która szybko przemija. Litość przegryza serca jak zgnilizna.

Nieosiągalne jest szczęście ludzkie na ziemi. Żaden człowiek nie może zrozumieć drugiego człowieka i urządzić mu szczęścia: „Jakże głupią rzeczą było spodziewać się szczęścia na świecie tak pełnym nędzy — myśli Scobie. — Pokaż mi człowieka szczęśliwego, a ja ci pokażę egoizm, samolubstwo, zło — albo też całkowitą ignorancję”. Uczucie bezpieczeństwa, spokoju i wolności, jakie daje kontemplacja

świata, nieba gwiaździstego jest złudne: „Jeśliby znać fakty — dumał Scobie — czy trzeba by mieć litość nawet dla planet? Gdyby dojść do serca rzeczy, osiągnąć tego, o czym mówi się zwyczajnie: sedno sprawy?” Toteż Scobiemu wydawało się tylko raz, że osiągnął ostateczny kraniec szczęśliwości, mianowicie wtedy, gdy był sam i gdy nie odczuwał ani miłości, ani litości.

Nawet wyraz największego odczucia życia — akt miłosny wydaje się bohaterom Greene’a beznadziejnie smutny i nudny. Zazdroszczą oni motylom, bo one umierają wtedy, podczas gdy ludzie muszą dźwigać na sobie całe brzemie konsekwencji. Schematyzmem nacechowane jest życie: „Życie powtarzało zawsze te same wzory...”

Gdy życie uchodzi za nieznośny ciężar, wówczas upragnioną staje się śmierć. Więc gdy Scobie dowiedział się, że jego znajomy dyrektor banku, Robinson, z całkowitym spokojem dźwiga resztkę dni, jakie mu jeszcze pozostały, wtedy budzi się w nim następująca refleksja: „Robinson demonstrował coś najbardziej godnego zazdrości z tego, co człowiek może posiadać: szczęśliwą śmierć”.

Z tym wszystkim książka Grahama Greene’a stanowiłaby jedną więcej jeremiadę z rodzaju tych, jakie znają dzieje ducha ludzkiego, jeden głos więcej w chórze lamentów nad nędzą losu ludzkiego na ziemi rozbrzmiewających w literaturze krajów zachodnich. Byłaby refleksem kryzysu cywilizacji burżuazyjnej, przejawem śmiertelnego wyczerpania i znużenia górnej warstwy społeczeństw zachodnich, która straciła wiarę w przyszłość i widzi przed sobą tylko śmierć lub katastrofę ludzkości, i Greene byłby tylko partnerem Sartre’a.

Sedno jednak książki Greene’a nie mieści się w jego osobistym widzeniu świata, lecz gdzie indziej. Pokazuje on w sposób niezwykle dramatyczny i sugestywny walkę dwóch koncepcyj miłości bliźniego: boskiej i ludzkiej w planie katolickim, a w walce tej idzie o stawkę najwyższą: o zbawienie wieczne prowadzącego ją człowieka. Ten problem posiada tak doniosłą wagę, że przesłania wszystko; że rozstrzygający go człowiek, Scobie, sprawia wrażenie, jakby życie konkretne, realne przeżywał somnambulicznie, pochłonięty całkowicie tą najważniejszą, w jego wnętrzu nieustannie rozgrywaną się sprawą. Jest tu jednocześnie zdecydowane przewyciężenie egzystencjalistycznej, Sartre’owskiej wizji życia i losu ludzkiego, skoro autor wyposaża to nędzne, jałowe, beznadziejnie smutne i nudne życie w sens, którego brak

staje się przyczyną najsilniejszych udręk postaci powieści egzystencjalistycznych, i to w sens najwyższy, przedstawiony w sposób, pozabawiony wszelkich wahań i wątpliwości, gdyż jest widoczne, że zarówno Scobie jak i jego twórca posiadają niezłomną, silną i głęboką wiarę w katolicyzm.

Cały dramat Scobiego, wszystkie jego cierpienia i najpotworniejsze jego grzechy są właśnie następstwem jego silnej wiary. Ludzie niewierzący lub wierzący konwencjonalnie i mdło przechodzą przez życie względnie lekko i łatwo godząc się z wieloma rzeczami, ale w Scobim katolicyzm zaszczerpił pierwiastki, które nadadzą całemu jego życiu i jego charakterowi stygmat powagi i nieuleczalnego cierpienia.

Jednym z tych pierwiastków jest przede wszystkim poczucie odpowiedzialności za szczęście i bezpieczeństwo ludzi, z którymi zetknęło go życie, głównie ludzi, którzy w nim budzili litość i wrażenie bezsilności, słabości. Nadaje mu to osobliwe piętno, wyodrębnia go spośród innych ludzi, co ujawnia się choćby w scenie samotności, w której Scobie snuje refleksje nad cierpieniami rozbitek, leżących w szpitalu: „Widać było światła w prowizorycznym szpitalu; ciężar całej nędzy leżał na jego ramionach. Jakby się pozbył jednej odpowiedzialności tylko po to, by podjąć inną. Odpowiedzialność tę dzielił ze wszystkimi ludźmi, ale to nie dawało pociechy, bo zdawało mu się czasem, że jest jednym, który to przyznaje. W Miastach Lamentu jedna dusza mogła zmienić zamyśl Boga”. Innym wolno było lekko i beztrudno traktować losy swoich bliźnich, ale nie katolikowi Scobiemu. Widział on w tym swoje zadanie, swój obowiązek, od którego nie ma uwolnienia, które trzeba spełnić jak najlepiej.

Człowiek, obdarzony tak wysokim poczuciem odpowiedzialności i tak wybujałą zdolnością do miłosierdzia i litości, popada po piętnastu latach pożycia małżeńskiego w dwa wynikające z siebie zatargi: w zatarg między odpowiedzialnością za szczęście żony a odpowiedzialnością za szczęście kochanki, młodej, nieszczęśliwej kobiety, ocalonej z rozbicia statku, której mąż zginął w parę miesięcy po ślubie (stosunek Scobiego do niej pozbawiony jest wszelkiej trywialności, związała go z nią nie żądza zmysłów, lecz smutek i litość), oraz w donioślejszy jeszcze zatarg między miłosierdziem dla ludzi a miłością Boga. Obydwa te narastające jednocześnie zatargi doprowadzają Scobiego

do śmierci samobójczej, popełnionej z całą świadomością i przemyśleniem, bo sądzi, że to jedyne z nich wyjście, choć zarazem jest przeświadczony, że poświęca własne zbawienie wieczne.

Szczęście i spokój dwóch istot, znajdujące się w jego ręku, wydały mu się cenniejsze niż miłość Boga (choć odpowiedzialność za nie płynęła właśnie z jego miłości Boga), nie mówiąc już o własnym szczęściu doczesnym i wiecznym. Stało się tak dlatego, ponieważ u Scobiego miłość ludzi rozwinęła się kosztem wiary, ufności w miłosierdzie Boże. Ta miłość, czy raczej litość, była u niego tak silna, że sam ją nazwie „straszną, rozwiązłą namiętnością, której doświadcza tak niewielu”, że poświęci jej najwyższą cenę, choć wie dobrze, czego uczy Kościół, że powinno się „dbać o własną duszę, niezależnie od ceny, jaką inne dusze za to zapłacą”, lecz było to ponad jego siły. W jego sytuacji zdecydowanie się na spełnianie nakazów Kościoła oznaczałoby porzucenie jednej z dwóch kobiet, z których każda, i żona, i kochanka, wydawały mu się równie biedne, samotne i bezbronne bez niego. I na to nie mógł się zdobyć. Nie może zrozumieć tego, „jak można kochać Boga kosztem jednego ze stworzeń? Czy kobieta — zapytuje — przyjąłaby miłość, dla której musiałaby poświęcić dziecko?” Scobie nie może uwierzyć w miłosierdzie Boże dla tej, którą musiałby opuścić. Lecz chcąc zachować odpowiedzialność wobec dwóch tak różnych kobiet, znaleźć się musi na ścieżce strasznego występkę i musi nią kroczyć aż do pograżenia się ostatecznego w otchłani. By nie niszczyć szczęścia i spokoju żony, która jest również praktykującą katoliczką, zarazem jednak nie opuścić tej drugiej kobiety, Scobie decyduje się na świętokradczę komunie. Stawiał miłość do tych istot ponad własnym bezpieczeństwem, ponad miłością Boga, uderzał Boga, kiedy był słaby, kiedy był w jego mocy. Czyni to z całą świadomością i rozpaczą. Nie chcąc, aby żona dowiedziała się o cudzołóstwie w wypadku, gdyby odmówił wspólnego z nią komunikowania, postanowił raz na zawsze, „za każdą cenę w wieczności” oczyścić się w jej oczach, dać jej pewność, której potrzebowała. Grozę czynu powiększa fakt, że popełnia go człowiek głęboko wierzący i w gruncie rzeczy miłujący Boga. Strony, na których kreśli Greene przeżycia swego bohatera w tym przełomowym momencie dla jego życia doczesnego i wiecznego, stanowią świadectwo zarówno jego wysokiego artyzmu jak i żarliwości jego wiary.

„...Ukląkł i udawał, że się modli. Słowa mszy brzmiały jak oskarżenie. „Wnijdę do ołtarza Bożego: do Boga, który uwesela młodość moją”.

Nigdzie jednak nie było wesela. Spojrzał w górę spomiędzy swych dłoni: wydawało mu się, że gipsowe podobizny Najświętszej Panny i Świętych wyciągają z obu stron ręce do wszystkich, poza nim jednym. Był na tym przyjęciu nieznanym gościem, którego nikomu nie przedstawiono. Łagodne, malowane uśmiechy kierowały się w inną stronę — było to nie do zniesienia. Kiedy msza doszła do *Kyrie Elej-son*, znowu spróbował się modlić: „Panie, zmiłuj się... Chryste, zmiłuj się... Panie, zmiłuj się...” — ale wstyd i strach przed czynem, który miał popełnić, zmroziły jego mózg. Ci upadli księża, którzy odprawiali czarne msze konsekrując Hostię nad ciałem nagiej kobiety, przyjmując Boga wśród nieodrzecznego, przerażającego rytuału, dokonywali przynajmniej aktu potępienia z emocją większą od ludzkiej miłości; robili to z nienawiści do Boga albo z jakiegoś dziwnego, perwersyjnego nabożeństwa do jego nieprzyjaciela. Ale on nie kochał zła, ani też nie nienawidził Boga; jakże mógł nienawidzić tego Boga, który z własnej woli oddawał się w jego ręce? Miał zbzczyć Boga, bo kochał kobietę — czy to chociaż była miłość, czy też tylko uczucie litości i odpowiedzialności? Próbował znowu usprawiedliwić się: — „Sam możesz dbać o siebie. Co dzień przeżywasz krzyż. Możesz tylko cierpieć. Nigdy nie możesz zginąć. Przyznaj, że musisz ustąpić pierwsze miejsce tamtym”. — Patrząc, jak ksiądz nalewa do kielicha wino i wodę, jak na ołtarzu przygotowuje się jego potępienie, jakby potrawa, myślał: „Ja muszę stanąć na ostatnim miejscu; jestem podkomisarzem policji, służy pod mną stu ludzi, na mnie spoczywa odpowiedzialność. Czuwać nad innymi, to mój zawód. Jestem stworzony, by służyć”.

Sanctus, Sanctus, Sanctus. Rozpoczął się kanon mszy świętej: szept księdza Ranka przy ołtarzu pospieszał bezlitośnie ku konsekracji. — „Dni życia naszego pokojem obdarzaj, a od wiecznego potępienia nas wybaw...” — *Pax, pacis, pacem*: wszystkie przypadki słowa „Pokój” huczały mu w uszach. Myślał: „Odrzuciłem na zawsze nawet nadzieję pokoju. Na mnie spoczywa odpowiedzialność. Za chwilę pójdę za daleko w moich oszukańczych zamiarach, by móc się kiedykolwiek cofnąć”. *Hoc est enim Corpus* zadzwieczał dzwonek i ksiądz podniósł

w palcach Boga — tego Boga, lekkiego teraz jak opłatek, którego przyjście leżało na sercu Scobiego ciężko, jak ołów. *Hic est enim calix sanguinis* — i drugi dzwonek.

Luiza dotknęła jego ręki.

— Kochany, czy dobrze się czujesz? — Pomyślał: „Oto druga szansa. Nawrót moich bólów. Mogę wyjść. Doprawdy, któż cierpi ból, jeśli nie ja?” Ale wiedział, że gdyby teraz wyszedł z kościoła, pozostałoby tylko jedno: pójść za radą księdza Ranka, załatwić swoje sprawy, zdezerterować, wrócić za parę dni i przyjąć Boga z czystym sumieniem i ze świadomością, że zepchnął niewinność z powrotem tam, gdzie było jej właściwe miejsce: pod fale Atlantyku. Niewinność powinna młodo umierać, jeśli nie ma zabijać ludzkich dusz.

— „Pokój zostawiam wam, pokój mój daję wam”.

— Nic mi nie jest — rzekł. Dawne utęsknienie zakłuło go w oczy; podnosząc wzrok na krzyż nad ołtarzem myślał dziko: „Masz oto swoją gąbkę umaczaną w żółci. Ty mnie zrobiłeś tym, czym jestem. Masz pchnięcie włócznią”. Nie potrzebował otwierać mszału, by wiedzieć, jak kończy się ta modlitwa. „Ciało Twe, Panie Jezu Chryste, które ja, niegodny, przyjąć się odważam, niech mi nie wyjdzie na sąd i potępienie”. Zamknął oczy i pozwolił wejść ciemności. Msza zdążyła ku końcowi: *Domine, non sum dignus... Domine, non sum dignus... Domine, non sum dignus...* U stóp szafotu otwarł oczy i zobaczył stare Murzynki człapiące do balasek, kilku żołnierzy, mechanika, jednego ze swych policjantów, kancelistę z banku; sunęli statecznie ku Pokojowi; Scobie pozazdrościł im prostoty i dobroci. Tak, teraz, w tej właśnie chwili byli dobrzy.

— Idziesz, kochany? — spytała Luiza i znowu dotknęła go jej ręka; uprzejma, stanowcza ręka detektywa. Wstał, poszedł za Luizą i ukląkł przy niej, jak szpieg w obcym kraju, który nauczył się jego obyczajów i posługuje się jego językiem, niczym tubylec. „Teraz tylko cud może mnie wybawić” — mówił sobie, patrząc jak ksiądz przy ołtarzu otwiera tabernakulum; ale Bóg nigdy nie robi cudu, aby wybawić siebie samego. „Jestem krzyżem — myślał Scobie. — On nigdy nie wypowie słowa, które by go wybawiło od krzyża, ale gdyby przynajmniej drzewo było tak zrobione, by nic nie czuło, gdyby gwoździe były niewrażliwe, jak sobie to ludzie wyobrażają”.

Ksiądz zszedł po stopniach od ołtarza, niosąc Boga. Slina wyschła Scobiemu w ustach; czuł się tak, jakby mu wyschły żyły. Nie mógł podnieść oczu; widział tylko ornat księdza niby czaprak najeżdżającego nań średniowiecznego rumaka; szelest stóp, natarcie Boga. Gdyby tylko łucznicy wypuścili strzały z zasadzki, i przez chwilę śnił, że kroki księdza rzeczywiście ustały; „może coś się jeszcze stanie, nim do mnie dojdzie; jakaś niewiarygodna przeszkoda...” Lecz otwarł usta (nadszedł czas) i spróbował po raz ostatni pomodlić się: „O Boże, ofiaruję Ci moje potępienie. Weź je. Użyj go dla nich” — i poczuł na języku błady, papierowy smak wyroku, który skazywał go po wszystkie czasy”.

Jedno świętokradztwo pociąga za sobą drugie. Wywołuje to jednak nie otepienie, lecz przeciwnie, coraz większą wrażliwość na skutki popełnionego zła: „Ja noszę nieustannie w sobie moją zgniliznę, mówi Scobie. — Wrosła we mnie i nigdy jej się nie pozbędę”. Przed jego oczami rysowała się niekiedy „skrwawiona twarz, oczy zamknięte nieustannym gradem uderzeń; pijana od ciosów, głowa Boga, skłaniająca się na boki”. Wydało mu się, że „Bóg zamieszkał w jego ciele, a ciało jego psuło się coraz szerzej wokół tego ziarna”.

Wśród tych straszliwych cierpień duchowych jawi się przed nim myśl o samobójstwie. Wolał sprawić ból Bogu niż Helenie lub Luizie, swej żonie, ponieważ cierpienie Boga było niewidoczne, trudno wyobrażalne. Lecz uwolni się z poczucia odpowiedzialności wobec tych kobiet, gdy przestanie żyć i z tą chwilą zarazem przestanie zadawać cierpienia Bogu, przestanie Go nadal systematycznie obrażać. Zamach samobójczy Scobiego poprzedza rozmowa z Bogiem, równie przejmująca jak scena pierwszej świętokradczej komunii.

„Będzie Ci lepiej, jeśli mnie utracisz raz na zawsze — mówi Bogu Scobie. — Wiem, co robię. Nie proszę o zmiłowanie. Zamierzam się potępić — cokolwiek by to miało oznaczać. Tęskniłem za spokojem, a już nigdy nie zaznam spokoju. Ale Ty będziesz miał spokój, kiedy stanę poza Twoim zasięgiem... Będziesz mógł zapomnieć o mnie, Boże, na całą wieczność”.

Lecz w Scobim odezwał się zaraz drugi głos... „jakby odezwał się sakrament, który zamieszkał tam na jego wieczne potępienie”:

„Mówisz, że mnie kochasz, a jednak zrobisz mi to, zrabujesz mi siebie na zawsze. Stworzyłem cię z miłością. Plakałem twoimi łzami.

Nigdy się nie dowiesz, od czego cię zbawiłem, zasiałem w tobie pragnienie pokoju, tak abym pewnego dnia mógł nasycić to pragnienie i patrzeć na twoje szczęście. A teraz odtrącasz mnie, stawiasz mnie poza swoim zasięgiem... Kiedy zwracasz się do mnie, nie mówisz „o Panie”, tylko po prostu „Ty”; jestem tak pokorny jak pierwszy lepszy żebrak. Czy nie mógłbyś mi zaufać tak, jak ufasz wiernemu psu? Byłem ci wierny przez dwa tysiące lat. Powinieneś tylko teraz prosić księdza, podejść do konfesjonału, wypowiadać się... Żal już się zjawił, chwycił cię za serce. Nie żalu ci brak, tylko paru prostych uczynków: trzeba pójść do fińskiego domku (w którym mieszkała kochanka Scobiego, *objaśnienie moje*) i pożegnać się. Albo też, jeśli musisz, odtrącaj mnie nadal, ale już bez dalszych kłamstw. Idź do domu, pożegnaj się ze swoją żoną i żyj ze swoją kochanką. Jeśli będziesz żył, wrócisz do mnie prędzej czy później. Jedna z nich będzie cierpieć, ale czy nie możesz zaufać mi, że zatroszczę się o to, by cierpienie nie było zbyt wielkie?”

Lecz Scobie nie rezygnuje z swej decyzji. Kocha Boga, ale Mu nie ufa. Nie może się zgodzić na cierpienie jednej z kobiet, aby zbawić samego siebie. Nie pozwala mu na to poczucie odpowiedzialności, bez którego nie byłby tym, czym był. Tylko śmierć może go z impasu wydobyć, śmierć, która drogim osobom zadaje krótkie cierpienie.

Samobójstwo Scobiego jest więc aktem największej rozpacz. „O Boże, woła on przed śmiercią, jeśli mnie tak kochasz, jak wiem, że mnie kochasz, pomóż mi opuścić Cię, Boże drogi, przebacz mi”.

Z ostatnich kart książki możemy wnosić, że dla miłości doczesnej nie warto było ryzykować utraty miłości wiecznej, że istoty, za których spokój i szczęście czuł się Scobie odpowiedzialny, nie były tego warte i potrafią sobie dać radę bez niego. Ale nabieramy zarazem przeświadczenia, że Scobie niekoniecznie musiał zostać potępiony, że Bóg może łamać czasem własne prawa i wyciągnąć miłosierdną dłoń w mrok i chaos samobójstwa. Ponura więc książka Greene’a kończy się jakby pewnym akcentem optymizmu i spokoju.

Jak już z tego wszystkiego, co się tu powiedziało, wynika, „Sedno sprawy” Grahama Greene’a jest powieścią o wyjątkowym cięźarze gatunkowym. Raz dlatego, że stanowi wyraz głębokiego przeżycia jednego z największych problemów teologii katolickiej, jakim jest antynomia między złem i cierpieniem ludzi i świata a miłosier-

dziem Bożym, przy czym Greene nie usiłuje znaleźć konkretnego rozwiązania dla tego problemu, on go tylko stawia, bo nie jest teologiem, lecz pisarzem. A po wtóre, że swymi wybitnymi wartościami literackimi jeszcze raz dowodzi fałszywości tezy André Gide'a, iż „szlachetnymi a wzniosłymi uczuciami robić można tylko złą literaturę”, tezy, która pełnowartościową literaturę katolicką uznawała za absurd, za *contradictio in adiecto*.

„CHWAŁA CÓRY KRÓLEWSKIEJ”

Jeśli u Greene'a trzeba zejść do samego dna, by znaleźć tam nikłe isierki nadziei i wiary, to u Marshalla już samo widzenie świata i życia nacechowane jest pogodą i optymizmem. Rytm radości i chwały przenika całą jego książkę od tytułu aż do samego końca, który bynajmniej nie jest *happy endem*, bohater jej bowiem umiera na skutek ran odniesionych w nalocie bombowym. Widoczne jest, że mamy tu do czynienia z dwiema różnymi organizacjami duchowymi i z dwoma odmiennymi temperamentami pisarskimi. Różnica ta polega jeszcze na czymś innym. Wydaje się, że „Sedno sprawy” nie nawróci na katolicyzm żadnego niewierzącego czytelnika mimo swoich głębokich wartości religijnych, a to dlatego, że katolicyzm Greene'a jest mocny i niezłomny do tego stopnia, że staje się ekskluzywny, że jest światem dostępnym tylko dla wtajemniczonych: obcym oczom wyda się niezrozumiały, dziwaczny, a może nawet odpychający, lecz autor nie wydaje się o to dbać zaabsorbowany pewnością swego posiadania, posiadania tego bezcennego daru, jaką jest wiara i wierność Kościołowi. Tymczasem katolicyzm „Chwały córki królewskiej” jest ekspansywny i apologetyczny podobnie jak katolicyzm Chestertona, jest młodzińczy i władczy. Dlatego też nie ulega wątpliwości, że możliwości oddziaływania książki Marshalla są znacznie szersze, że dostarcza ona bardzo wiele materiału i podnięt do przeżyć i refleksyj nie tylko publiczności katolickiej. Nie może to jednak oznaczać, rzecz jasna, by była ona wybitniejszym zjawiskiem literackim niż „Sedno sprawy”.

Lecz optymizm Marshalla nie jest bynajmniej łatwy i tani. Nie ma on żadnych złudzeń co do warunków materialnych i moralnych, w jakich żyją miliony ludzi na świecie, i nie zamyka oczu na bezmiar zła i cierpienia ludzkiego. Lecz umie on się wznieść na takie stanowisko, z którego zło i cierpienie oglądane traci swą hipnotyczną siłę, przestaje

być jak u Greene'a obsesją, zostaje jakby doprowadzone do właściwych rozmiarów w powszechnej strukturze bytu. Jest to stanowisko nadprzyrodzonej miłości i łaski, jest to próba posługiwania się w ocenie ludzi i zjawisk nie tylko kategoriami ludzkimi i doczesnymi, ale także, i to głównie kategoriami nadprzyrodzonymi. Jednocześnie, gdy dla Greene'a katolicyzm to przede wszystkim odpowiedzialność, dla Marshalla katolicyzm to przede wszystkim szczęście. Marshall sprawia wrażenie człowieka urzeczonego szczęściem, człowieka, który przeżywa katolicyzm w sposób tak świeży i tak dynamiczny, że posuwa się aż do swojego rodzaju agresywności i prowokacyjności, co stanowi zresztą jedną z atrakcyjnych stron jego książki.

Główny jego bohater, ksiądz Smith, modli się codziennie za dusze tych, którzy każdego dnia umierają zgodnie z wymaganiami statystyki, a więc za dusze „tylu nieuświadomionych bluźnierców, tchórzów, skąpców, cieszących się powodzeniem businessmenów i rozpustników, którzy przy ostatnim drgnięciu powieki muszą pojmować nagle straszliwy fakt, że ostatecznie objawienie było prawdziwe i że spis ich mactw, pijatyk, okrucieństw, obłapań i plotek zostanie odczytany przez Wszechmocnego Boga we własnej Osobie”. Optymizm Marshalla, jego wiara w miłosierdzie Boże pozwala mu nawet skruszyć twardość dogmatu o piekle. „O piekło wiemy tyle tylko, że jest to stan, który istnieje” — powiada Marshall słowami biskupa. „Wiemy, że piekło istnieje, ponieważ Bóg nam to powiedział, a Bóg nie może skłamać ani być okłamanym. Ale nikt nie kazał nam wierzyć, że w piekle przebywa ktokolwiek. Nawet Judaszowi z Kariotu Bóg mógł udzielić łaski ostatecznej skruchy pomiędzy upadkiem z drzewa a chwilą, gdy wypadły mu wnętrzności. A nawet jeśli jakieś nieszczęsne dusze zaludniają piekło, sądzę, że mamy prawo przypuszczać, iż męki ich są raczej duchowej niż cielesnej natury. Bowiem istotą piekła jest oddzielenie od Boga, a nawet niewierzący i grzesznicy w piekle będą kochać Boga i odczuwać Jego utratę...”

Napór miłości Bożej sprawia, że przewyciężony zostaje wszelki formalizm, który stanowi często fortecę nietolerancyjności i obskurantyzmu, i ks. Smith jest przekonany, że stary marynarz, który wiódł bardzo grzeszne życie i zmarł, żałując za grzechy, lecz nie żałując uroków świata, uzyska zbawienie. Antynomia zła i niesprawiedliwości świata i dobroci Boga, przeżywana najboleśniej przez biednego An-

gusa, który po życiu pełnym nędzy i trudów umierać musi młodo jako ofiara niesprawiedliwości ustroju, topnieje w słońcu ufności w Boga, a ponadto jej destrukcyjnemu wpływowi przeciwdziała przeświadczenie, że katolicyzm nie jest bynajmniej religią łatwą, tak jak niełatwa była śmierć Chrystusa, która nadaje mistyczny sens wszelkim cierpieniom i niesprawiedliwie doznawanemu złu. „Pamiętając o tym — czytamy u Marshalla — Kościół jest cierpliwy, jak cierpliwy jest Bóg poza swoją zasłoną. Jest cierpliwy, ponieważ wie, że do nawrócenia ludzi nie starczą same argumenty, ale potrzebna też jest i łaska Boska, i jest cierpliwy, ponieważ wie, że dźwiga na swych barkach wielką odpowiedzialność: odpowiedzialność za zbawienie jak największej ilości dusz poprzez wszystkie wieki... Nie dziwi go fakt, że grzech i zamęt panują na świecie. Raczej dziwi się, że panuje także cnota i ład”.

Wprawdzie czasem w obliczu nikłych wyników dzieła ewangelicznego i w obliczu ogromnej obojętności ludzkiej wydawać się może, że Kościół zawiódł, ale „Kościół Boży nie zawiódł, ponieważ Bóg przyrzekł, że nawet bramy piekielne nie zwyciężą go, a poza tym posłannictwo jego mierzy się wiecznością, a nie czasem”. Marshall jest też niezachwianie pewny, że chrześcijaństwo bynajmniej się nie przeżyło, lecz że przeciwnie, nie zaczęło ono nawet jeszcze okazywać swej pełnej użyteczności, której może nie okaże nigdy, „ponieważ Bóg nigdy nie obiecywał, że tak będzie”.

Świeży, zdrowy duch reformy przenika książkę Marshalla. Zdaje on sobie dobrze sprawę z tego, jak wiele starzyzny zagnieździło się w materialnej, ludzkiej budowie Kościoła i że trzeba raz po raz przywracać w nim właściwą hierarchię wartości. Nieczystość uważa on za wielki grzech, ale nieraz wydaje mu się, jakby księża nie widzieli poza nim innych, równie ciężkich, a może jeszcze cięższych grzechów. „Czyż dyrektorzy banków, maklerzy giełdowi, prawnicy, przemysłowcy, ci wszyscy, którzy zachęcają młodzież do przepychania się łokciami przez życie i ci, co gaszą jasny blask jej oczu, nie są większymi grzesznikami niż pijacy i rozpustnicy, ponieważ grzechy popełniane przez nich w kantorach i biurach rozprzestrzeniają się po całym świecie i plamą niewinnych?” — zapytuje się ksiądz Smith. Nurtujące go myśli rozwija później w kazaniu, wygłoszonym do księży. Zwraca on im uwagę na niedostatek miłosierdzia, panujący wśród chrześcijan, będący jedną z głównych przeszkód dla wielu ludzi dobrej

woli w odnalezieniu drogi do Kościoła. Zbyt często uczy się w kościele moralności w małym, nie zaś w dużym zakresie: ludzie „słyszą, jak z kazalnicy naszych potępia się cudzołózców, złodziei i morderców, nie słyszą natomiast, byśmy potępiali pracodawców — wyzyskiwaczy, akcjonariuszy przedsiębiorstw zbrojeniowych, ludzi ciągnących zyski z filmów gangsterskich, lub polityków, godzących się na okrucieństwa w dalekich krajach”. Gdyby każdy z trzystu istniejących dziś milionów katolików był gorącym naśladowcą Chrystusa, mogliby niebywale potężnie zaważyć na szali dobra i nie doszłoby do tego, że „heretycy i schizmatycy, a nawet ateści chlubią się praktykowaniem doskonalszego miłosierdzia niż nasze”. Dlatego Marshall nawołuje katolików ustami swych postaci powieściowych do odważnego uprawiania cnót „jeszcze bardziej niepopularnych niż czystość i pokora”, do surowej i bezkompromisowej religijności. „Doktryna, owszem Przenajświętszy Sakrament i niebo, i piekło, i czyściec, ale krzyczymy o nich odważnie i nowymi słowami tak, by zmęczony, stary świat nawyków i szanownych pozorów usłyszał i zrozumiał, że chrześcijaństwo jest jedyną prawdziwą i zuchwałą rewolucją” — powiedział dobitnie ks. Smith w rozmowie z swym biskupem.

Wśród obfitej galerii figur nie brak w powieści Marshalla przedstawicieli klas posiadających, a choć są oni przeważnie raczej śmieszni aniżeli odrażający, to jednak nigdy nie ma wątpliwości, po czyjej stronie zaangażowane jest serce autora. Akcja jego powieści rozgrywa się w katolickim środowisku w Szkocji wśród niezwykle surowych i ciężkich warunków, lecz nigdy nie daje on wyrazu nostalgii za chwałą i władzą materialną Kościoła. Przeciwnie, wyraża on zadowolenie z tego stanu rzeczy, ponieważ „stwarza on zarówno księżom jak i wierzącym uodparniające duchowe i materialne warunki pierwotnego chrześcijaństwa”. O szczerzej zaś i głębiej miłości autora dla biednych mówi choćby to miejsce:

„W tyle nawy, gdzie modlili się najbiedniejsi, czuć było zwykły zapach brudnej odzieży i potu, ale ksiądz Smith nie przejmował się tym zbyt, ponieważ wiedział, że jest to woń świętości, a równocześnie miał nadzieję, że Bóg da biedakom piękniejszy aromat w raju. Za każdym razem, gdy zalatywał go ten zapach, rozumiał, co Chrystus miał na myśli, mówiąc: „Bowiec pierwszy będzie ostatnim, a ostatni pierwszym”, i miło mu było wyobrazić sobie, że któregoś dnia

ubodzy otrzymają wynagrodzenie za wszystkie swe niewygody i poniżenia, siedząc w pierwszym rzędzie stall tam, w niebie i witając się za pan brat z Bogiem, św. Ignacym, św. Dominikiem i z całą resztą arystokracji”.

Rzecz jasna, że można by w tym widzieć przykład typowego dla wszelkich religii będących narzędziem politycznym klas posiadających obdarzania biedaków weksłami szczęścia, płatnymi w fikcyjnym życiu przyszłym, po to, by ich tym łatwiej obłupiać ze szczęścia doczesnego i trzymać posłusznie w ryzach. Ale oznaczałoby to niedostrzeganie głównej, substancjalnej misji Kościoła, która jest misją nadprzyrodzoną, a nie socjalną ani polityczną, choć niejednokrotne próby nadużycia Kościoła dla interesów tronu i kapitału mogłyby tę sugestię narzucać. Kto zdaje sobie w pełni sprawę, gdzie się mieszczą prawdziwe wartości w katolicyzmie i jakie są te wartości, ten w powyżej przytoczonym miejscu książki Marshalla nie będzie widział cynizmu lub naiwności sługi kapitalizmu, lecz przejaw prawdziwej, chrześcijańskiej miłości dla mas najszerzych.

Wydawałoby się, że optymistyczna, ważna, świeża, komunikatywna książka Marshalla znajdzie przychylne przyjęcie u naszych publicystów marksistowskich. Tymczasem, jak wiemy z polemiki między „Dziś i Jutro” i „Nową Kulturą”, „Chwała córy królewskiej” spotkała się z ich surową krytyką. Co zarzucają niektórzy polscy marksiści książce Marshalla? Zarzucają jej, że napisana jest „ku chwale kapitalizmu”, że jej bohater, ks. Smith daremnie oburza się na wyzysk robotników, „jeżeli całym swoim życiem oraz metodami postępowania, i to zarówno praktyką jak ideologią, w imię której takich właśnie metod się trzyma, ideologią pokory, posłuszeństwa swojej władzy kościelnej i władzy świeckiej, dowodzi całkowitej beznadziejności walki na ziemskim padole z tym, co tak gorąco potępia”. Innymi słowy, zdaniem pewnych publicystów marksistowskich książka Marshalla jest w zestawieniu z rewolucyjnymi przemianami, jakie się dokonują u nas, anachroniczną i niepotrzebną. Sugeruje to wyraźnie „Nowa Kultura”, pisząc m. in. co następuje: „...wydaje się bezsporne, że właściwego stosunku do rewolucyjnych przemian i do socjalizmu nie może czytelnika polskiego nauczyć pisarz kraju, w którym rządzi burżuazja, nie związany z klasą robotniczą tego kraju. Jeżeli bowiem książki takie, jak powieść Marshalla, nie pełnią tam, gdzie się ukazują, jedynie funkcji sygnału alar-

mującego dla rządzących, lecz także w jakimś bardzo skromnym zakresie uświadamiają o bolączkach systemu, to u nas zakres uprawianej przez nie krytyki kapitalizmu i proponowane rozwiązania nie mogą nie być uznane za całkowicie zdystansowane przez naszą rzeczywistość i całkowicie anachroniczne... Zwolennikom socjalizmu nowych perspektyw (książka Marshalla) nie ukaże, jej oddziaływanie na niezdecydowanych wydaje się wątpliwe, bo mało jest ludzi, którzy zechcą walczyć ze złem kapitalizmu, nie widząc perspektyw zwycięstwa, przeciwnikom natomiast — to pewne — wskazać może ona najwłaściwszą taktykę dostosowania się do nie milej im rzeczywistości”.

Jak odpowiedzieć na te zarzuty? Kryje się w nich wiele słuszności, ale wyrażają one jeden zasadniczy błąd, który doskonale sformułował znany i u nas głośny marksista francuski, Roger Garaudy, gdy zarzucił wielu marksistom, że widzą oni katolików nie takimi, jakimi są, ale takimi, jakimi chcieliby, aby byli. Można ubolewać głęboko nad tym, że choć katolicyzm, jak zresztą w ogóle chrześcijaństwo, przywiązuje wielką wagę do sprawiedliwości społecznej, to jednak nie ona zajmuje w jego skali wartości szczybel najwyższy, lecz dobro nadprzyrodzone ludzkości. Jest to jednak fakt, z którym trzeba się liczyć w imię realizmu. Z tych też względów w powieści Marshalla mimo tkwiących w niej elementów protestu przeciwko systemowi ucisku społecznego, idzie przede wszystkim o sprawy nadprzyrodzone, ponieważ jest to *par excellence* powieść katolicka. To uwaga pierwsza. A oto uwaga druga: istnieje dialektyka czasu i miejsca. W imię tej dialektyki należałoby obiektywnie ocenić wspomniane elementy społeczne książki Marshalla. Nie mogą one wprawdzie zadowolić realizatorów socjalizmu, tak są mdłe i anemiczne w porównaniu z dynamiką rewolucji socjalistycznej, ale nigdy nie zadowoli marksistów katolicka koncepcja i realizacja reform społecznych i społecznej sprawiedliwości. Mimo to wydaje się, że z wszystkimi swymi wadami i niedostatkami książka Marshalla należy do tych nielicznych katolickich książek, które mogą ułatwić marksistom zrozumienie istoty katolicyzmu jako systemu religijnego, służącego przede wszystkim celom nadprzyrodzonym, i które mogą budzić w nich sympatię dzięki swemu szczeremu patosowi społecznemu i etycznemu. Przedstawia ona jeden z tych momentów, w których może znaleźć zastosowanie teza „wyciągniętej ręki”, styk marksizmu z katolicyzmem.

W każdym razie nie ulega wątpliwości, że wpływ „Chwały córy królewskiej” na polskich czytelników katolickich może być, zważywszy etap społeczno-polityczny, na jakim się obecnie znajdujemy, nad wyraz dobroczynny. Jest to bowiem książka optymistyczna, humanistyczna, ufna światu i życiu, wyposażona w wielkie walory moralne. W żadnej mierze nie może stanowić ona przeszkody we współpracy katolików polskich w budownictwie socjalistycznym. Przeciwnie, raczej większą jeszcze zachętę w tym kierunku, ponieważ wielkie dzieło gospodarcze i społeczne Polski Ludowej wymaga optymizmu, humanizmu i wysokich wartości moralnych.

Omówione powyżej cztery książki dają razem wzięte interesującą ilustrację uniwersalizmu katolickiego, skoro są w nich pogłosy różnych tradycji myślowych i różnych postaw duchowych. Różne linie się w nich krzyżują: tomistyczna (u Marshalla) i augustiańska (u Bernanosa i Greene’a), średniowieczna i renesansowa, humanistyczna i teocentryczna. Wszystko to i wiele jeszcze innych rzeczy składa się na katolicyzm. Jest w nim ponadto miejsce na najróżniejsze temperamenty pisarskie i doktryny estetyczne. Dzieje się tak dlatego, ponieważ katolicyzm stanowi *universum*, ponieważ katolicyzm odwołuje się do całego zawsze człowieka, do jego inteligencji, woli i uczucia, ponieważ każe nam uznawać zarówno świat rzeczy niewidzialnych jak i świat rzeczy widzialnych.

Oto ogólna refleksja, jaka się nasuwa po jednoczesnej lekturze „Pod słońcem szatana” i „Pamiętniku proboszcza wiejskiego” Bernanosa, „Chwały córy królewskiej” Marshalla i „Sedna sprawy” Greene’a.

Zygmunt Wojciechowski

POCZĄTKI CHRZEŚCIJAŃSTWA W POLSCE NA TLE STOSUNKÓW NIEMIECKO-WIELECKICH

Referat przedstawiony na posiedzeniu Komisji Słowianoznawczej Polskiej
Akademii Umiejętności w Krakowie w dniu 14 czerwca 1950 r.

I.

Kiedy się w końcu 1948 r. zdecydowałem zająć opracowywaniem historii polityki zagranicznej Polski, postanowiłem zacząć od epoki Chrobrego. Przez epokę Chrobrego rozumiem czas od świtu historycznej Polski piastowskiej do katastrofy państwa po śmierci Mieszka II. Do tej epoki włączam też pierwszą fazę restauracji państwa przez Kazimierza Odnowiciela, gdyż faza ta rzuca ważne światło również na okres miniony. Używam terminu epoka Chrobrego, gdyż działalność tego panującego rzuca przemożny cień na cały rozpatrywany okres czasu.

Zabierając się do tej pracy, musiałem się strzec przed tzw. faktografią, tj. powtarzaniem faktów znanych, rekonstruowaniem faktów dotąd nieznanych i nawiązywaniem jednych i drugich na nic zdarzeń ujętych chronologicznie. Aczkolwiek ten etap pracy musi być przez historyka przebyty, to jednak ani na tym praca jego się nie kończy, ani też przedstawienie faktów nie będzie celowe, jeśli przedtem historyk nie dojdzie do zasady porządkującej te fakty.

Na tej drodze piętrzy się cały szereg trudności natury różnorodnej. Jedną z nich było niedocenianie zagadnienia bizantyńskiego w historii polskiej wieków średnich. Tymczasem zagadnienie to snuje się przez cały okres średniowiecza aż do upadku Konstantynopola w połowie wieku XV. Bez rozgryzienia tego problemu i bez zupełnej znajomości stosunków rusko-bizantyńskich nie można też pisać w sposób kompetentny o historii stosunków polsko-ruskich.

Inna trudność była odmiennej natury. Wiadomo, że historia stosunków polsko-niemieckich pozostawała pod przemożnym działaniem chwili dziejowej. Od drugiej połowy wieku XIX rozpoczął się wielki

rozwój państwa pruskiego i historiografia pruska skłonna była patrzeć na historię stosunków polsko-niemieckich z punktu widzenia współczesnego. W tych warunkach wszelkie uznanie innego charakteru relacyj polsko-niemieckich w przeszłości mogło uchodzić za próbę naruszenia współczesnego układu stosunków. W tej też epoce praojczyznę Słowian lokowano na Polesiu, a margrabia Gero podbijał Polskę aż po Koło nad Wartą.

Mało było umysłów w Polsce, które zdolne były przeciwstawić się tej przemożnej sugestii. Znakomitym wyjątkiem był Wojciech Kętrzyński, ojciec świeżo zmarłego prof. Stanisława Kętrzyńskiego. Było może wielu zdolniejszych historyków od niego, trudno by jednak wskazać innego uczonego, który by bardziej niż Kętrzyński był samodzielny w swoich poglądach na historię stosunków polsko-niemieckich. Dość wspomnieć jego pożótkłą dziś dysertację na temat Lugiów; do wyników jego wraca współczesna nauka polska. Dość wspomnieć jego poglądy na zjazd gnieźnieński, jego studia nad historią dawnych Prus.

Ten nacisk chwili w ubiegłym dwudziestoleciu wyraził się w akcesie znacznego zastępu historyków niemieckich do przygotowywanej agresji hitlerowskiej. Każdego poważnego obserwatora niepokoić musiało, że deklaracje polityczne składane od r. 1934 różniły się diametralnie od poglądu szeregu historyków niemieckich, którzy razem z Geronem podbijali dalej Polskę. Były i tutaj chlubne wyjątki, będące zarazem drogowskazami w kierunku prawdy historycznej. Należał do nich nie żyjący już dzisiaj znakomity mediewista niemiecki Paul Kehr, należał i należy do nich równie znakomity uczony, historyk organizacji kościelnej w Polsce, profesor wiedeński Heinrich Felix Schmid, mający swego poprzednika w dawnym profesorze uniwersytetu we Lwowie H. Zeissbergu.

Co prawda położenie historiografii polskiej było w tym czasie lepsze, gdyż po wejściu Poznania w granice Rzeczypospolitej poznański ośrodek naukowy mógł się tym zagadnieniom poświęcić w sposób specjalny.

W tych warunkach powstały niektóre moje prace przedwojenne, a zwłaszcza książka „Polska nad Wisłą i Odrą w X wieku”, ogłoszona w r. 1939. Z konieczności autor musiał poważną część tekstu poświęcić

polemice, a co gorsza, konstrukcyjnie książka była ułożona według schematu narzuconego przez polemikę.

W ogłaszanych od początku 1946 r. szkicach z epoki Chrobrego wszedłem na drogę nowej metody pracy, powyżej nakreślonej. Kładłem tam tym samym wielki nacisk na to, ażeby nie wnioskować tylko z faktów w źródłach w związku z Polską zapisanych, ale również z faktów innych, choćby źródła nie mówiły *expressis verbis* o ich związku ze sprawami polskimi. W ten sposób ogłosiłem najpierw szkic pt. „Bolesław Chrobry i rok 1000”¹⁾. W nim padłem jeszcze ofiarą tego skądinąd podstawowego tekstu historycznego, jaką jest kronika Thietmara. Ten biskup merseburski uchodzić mógł za przedstawiciela opinii wschodnio-niemieckiej, ale dalsza analiza faktów wykazała, że był to pogląd błędny. Dałem temu wyraz w następnych szkicach pt. „Bolesław Chrobry i kryzys stosunków polsko-niemieckich”²⁾ i „Patrycjat Bolesława Chrobrego”³⁾. W tej ostatniej rozprawce położyłem również nacisk na związek historii polskiej tego czasu ze stosunkami niemiecko-bizantyńskimi.

W poniższym przedstawieniu będę mówił o początkach organizacji kościelnej w Polsce, rozpatrywanych na tle stosunków niemiecko-wieleckich, ale nawet tak zacieśniając problem, nie będę się starał go wyczerpać. Chodzi mi ciągle o ustalenie zasady porządkującej. Skoro ten odcinek pracy uznaję za zakończony, przyjdzie czas, aby w pełnym przedstawieniu umieścić cały materiał faktyczny, wynikający ze źródeł tej epoki. W tej chwili postulatem jest dla mnie, aby nie wprowadzać takich zagadnień, jak np. „Polityczna strona zjazdu gnieźnieńskiego”, czy „Kościelna strona zjazdu gnieźnieńskiego”, albowiem takie rozbiwanie zagadnień pomniejsza wyniki. Można mówić o skutkach politycznych zjazdu i o konsekwencjach zjazdu w zakresie organizacji kościelnej, ale w momencie, kiedy zjazd się odbywał, był jeden główny problem, o którego rozwiązanie chodziło w czasie zjazdu. Dziś chciałbym odpowiedzieć na pytanie, o co chodziło w momencie przyjmowania chrztu przez Polskę, jak również w czasach dalszych aż do restauracji organizacji kościelnej dokonanej przez Kazimierza Odnowiciela.

¹⁾ W Przeglądzie Zachodnim, 1948, plr. 1, s. 237—252 i os. odb. Poznań 1948.

²⁾ Tamże, 1948, plr. 2, s. 369—383.

³⁾ W Rocznikach Historycznych, r. XVIII, 1949, s. 27—48.

II.

Historia poglądów na początki chrześcijaństwa w Polsce jest niewątpliwie historią powolnego zbliżania się do prawdy historycznej przy systematycznym, choć nieszybkim, eliminowaniu poglądów niesłusznych.

Nad historią tych poglądów zaciążył przemożnie Thietmar, jak już wspomniano. Właściwie od niego należałoby tę historię zacząć. Thietmar, mówiąc o utworzeniu arcybiskupstwa magdeburgskiego (który to fakt miał miejsce w r. 968), zaznaczył, że do sufraganów arcybiskupa „dodany” został biskup brandenburski i Jordan, biskup poznański ⁴⁾. Znakomity dziejopis historii Kościoła w Polsce Władysław Abraham w słynnym dziele „Organizacja kościelna w Polsce do połowy wieku XII” dał wiarę temu twierdzeniu, aczkolwiek z całą ścisłością stwierdził, że „w aktach urzędowych współczesnych, dotyczących założenia i określenia prowincji metropolitalnej magdeburgskiej, nie ma wzmianki o biskupstwie poznańskim” ⁵⁾. Te fakty były punktem wyjścia dla badań Kehra. Udowodnił on mianowicie w rozprawie, ogłoszonej w roku 1920, ponad wszelką wątpliwość, że biskupstwo poznańskie nie wchodziło do związku metropolitalnego magdeburgskiego ⁶⁾. Wywody Kehra pokwitował z polskiej strony Abraham w odczycie ogłoszonym drukiem w r. 1921; w ubiegłym roku (1949) na łamach „Przeglądu Zachodniego” opublikowane zostało przygotowane przez Abrahama jeszcze w r. 1924 drugie wydanie tego odczytu ⁷⁾.

Pogląd ten przyjął się na ogół w literaturze przedmiotu. W polskiej literaturze historycznej wyjątkiem pod tym względem był Stanisław Zakrzewski ⁸⁾; uczonego tego w ogóle znamionowało wielkie zaufanie do Thietmara jako źródła historycznego. Studium Gerarda Labudy pt. „Gniezno i Magdeburg”, ogłoszone w r. 1938, jeszcze bardziej pogłębiło wywody Kehra i Abrahama; Labuda doszedł do podobnych co ci uczeni wyników ⁹⁾. Odmienne zdania wypowiedane w przedwojennej

⁴⁾ Wyd. z r. 1935 (Mon. Germ. Hist., Scriptores, Nova Series, t. IX), II, 22.

⁵⁾ Wyd. II, Lwów 1892, s. 33.

⁶⁾ Das Erzbistum Magdeburg und die erste Organisation der christlichen Kirche in Polen, Berlin 1920.

⁷⁾ Przegląd Zachodni, 1949, p. 2, s. 551—567.

⁸⁾ St. Zakrzewski, Bolesław Chrobry Wielki, Lwów 1925, s. 386, nota 17.

⁹⁾ W Rocznikach Historycznych, r. XIV, 1938, s. 187—238.

literaturze niemieckiej, głównie przez A. Brackmana¹⁰⁾, nie wpływały z przesłanek naukowych i dlatego na tym miejscu bliżej się nimi zajmować nie będziemy. Po wojnie G. Labuda wątpił¹¹⁾, czy pierwsze biskupstwo polskie powstało istotnie w Poznaniu. Ale wątpliwość ta wydaje się niesłuszną, gdyż tej części wiadomości Thietmara nie mamy powodu odrzucać. Sprawa ta jest w istocie mniej ważna, gdyż biskup Jordan i następca jego Unger, rezydując w Poznaniu, byli w istocie rzeczy biskupami dla całych ziem polskich; ten stan rzeczy zmienił się dopiero po utworzeniu arcybiskupstwa gnieźnieńskiego.

W ścisłym związku z tym pozostawało zagadnienie okoliczności politycznych towarzyszących przyjęciu chrztu. Thietmar, streszczając kronikę swego poprzednika, Widukinda, dziejopisa Ottona I, popełnił świadomie zapewne nieścisłość, dając podstawy do sugestii, jakoby chrzest Polski był konsekwencją klęski zadanej Mieszkowi I przez margrabiego Gerona. Pogląd ten zadomowił się był na ogół w literaturze przedmiotu¹²⁾ do chwili, w której spotkał się był z ostrym i słusznym sprzeciwem ze strony St. Zakrzewskiego i K. Tymienieckiego¹³⁾. Obaj ci uczeni udowodnili, że główny tekst mówiący o tych wypadkach, tj. Widukind, ani słowem nie wzmiankuje o jakiejś wojnie pomiędzy Geronem a Mieszkem: mówi tylko o odesłaniu przez Gerona jego krewniaka, grafa saskiego Wichmana, do plemienia wieleckich Redarów, na których czele później Wichman dokonał napadu na Mieszka I. Ale wiadomo dobrze z Widukinda, że Wichman był zbuntowany w stosunku do Ottona I i że Gero bał się obecności Wichmana na swoim dworze¹⁴⁾. J. Widajewicz dopatrywał się w tym jednak pewnej intrygi Gerona¹⁵⁾; piszący te słowa przyjmował formułę

¹⁰⁾ W kilku rozprawach przedrukowanych w tomie zbiorowym „Gesammelte Aufsätze”, Weimar 1941. Por. także G. Sappok, *Die Anfänge des Bistums Posen*, Leipzig 1937.

¹¹⁾ G. Labuda, *Studia nad początkami Państwa Polskiego*, Poznań 1946, s. 232.

¹²⁾ St. Zakrzewski, *Mieszko I jako budowniczy państwa polskiego* (b. r. wyd.), s. 61—62.

¹³⁾ St. Zakrzewski, jw., s. 61—63; K. Tymieniecki zabierał kilkakrotnie głos w tej sprawie, ostatnio w *Rocznikach Historycznych*, t. XVII, 1948, s. 167.

¹⁴⁾ Widukind, (wyd. in us. schol. z r. 1935), lib. III, cap. 66—67 s. 141—142.

¹⁵⁾ J. Widajewicz, *Wichman*, Poznań 1933; podobny pogląd wypowiada tenże autor w poprzedniej pracy pt. *Licicaviki Widukinda i w pracach dalszych*.

kompromisową tej treści, że Geron, wyprawiający się wtedy na Łużyce, pragnął odwrócić Redarów w inną stronę i z tego względu mógł zainicjować uderzenie Redarów na Mieszka¹⁶⁾. Podobny pogląd wypowiadał M. Z. Jedlicki¹⁷⁾. Ostatni, piszący o tym przedmiocie, G. Labuda, w zgodzie z Tymienieckim w ogóle odrzucał tekst Thietmara¹⁸⁾.

Dyskusja ta była ważna, gdyż w istocie rzeczy odsłaniała kulisy polityczne przyjęcia chrztu przez Polskę. Zdaniem St. Zakrzewskiego chrzest nie był przyjmowany przeciw Niemcom¹⁹⁾; Zakrzewski zwracał przy tym uwagę na znaczenie przymierza wielocko-czeskiego w połowie wieku X, przed przyjęciem chrztu przez Polskę²⁰⁾. Piszący te słowa kładł wielki nacisk na porozumienie Mieszka I z Ottonem I przeciw Wieletom i na tym tle tłumaczył układ zawarty między Geronem jako pełnomocnikiem Ottona I a Mieszkem w okolicy r. 963. Niemniej przyjęcie chrztu za pośrednictwem Czech uważał za rodzaj asekuracji przeciw Niemcom i przypisywał Mieszkowi czynną rolę w utworzeniu biskupstwa poznańskiego jako biskupstwa tzw. misyjnego, tj. niepodległego żadnemu związkowi metropolitalnemu. Tej asekuracji dopatrywał się następnie w rzekomym przesłaniu włosów siedmioletniego Bolesława Chrobrego do Rzymu w r. 973 (kiedy Otto I pacyfikował w Quedlinburgu stosunki pomiędzy Mieszkem i margrabim Hodonem) i w końcu w słynnym dokumencie tzw. Dagome iudex, pochodzącym, jak wiadomo, z lat 990—992²¹⁾.

G. Labuda w obszernym analitycznym studium, ogłoszonym już po wojnie, sprowadzał dzieje polityczne Polski w 7. dziesiątku X wieku, jeśli chodzi o zagadnienia zachodnie, do konfliktu wielocko-polskiego; Punktu przełomowego w tym konflikcie dopatrując się w zerwaniu Porozumienia wielocko-czeskiego i nawiązaniu porozumienia polsko-czeskiego. Efektem tego stanu rzeczy miał być chrzest Polski. Tym

¹⁶⁾ Z. Wojciechowski, *Polska nad Wisłą i Odrą w X w.*, Katowice 1939, s. 48—49.

¹⁷⁾ M. Z. Jedlicki, *Stosunek prawny Polski do Cesarstwa do r. 1000*, Poznań 1939, s. 20—58.

¹⁸⁾ G. Labuda, *Studia l. c.*, s. 31—54.

¹⁹⁾ St. Zakrzewski, *Mieszko I*, l. c., s. 68.

²⁰⁾ St. Zakrzewski, *Bolesław Chrobry Wielki*, l. c., s. 48.

²¹⁾ Z. Wojciechowski, *Polska nad Wisłą i Odrą w X w.*, l. c., s. 99—100.

samym tenże autor eliminował współczynnik niemiecki ze zdarzeń tych lat²²⁾.

Obecnie po tak obfitej i płodnej dyskusji można próbować ją zresumować, zadając pytanie, dlaczego Mieszko I przyjął chrzest, a tym samym z jakich przyczyn powstały pierwsze zręby organizacji kościelnej na ziemiach polskich?

Należy przypomnieć okoliczności, w jakich chrzest był przyjmowany. Wszystko to dzieje się po klęsce poniesionej przez Słowian obo-drzyckich i wieleckich nad rzeką Raxą w r. 955. Katastrofa ta, jak w rozprawie pt. „Patrycjat Bolesława Chrobrego” starałem się wyka-zać, umożliwiła ekspansję Mieszka I w stronę takich centrów handlo-wych, jakimi były Szczecin i Wolin. Równocześnie ośrodek polityczny Wieleatów przesuwają się ku granicom Polski, przy czym przywództwo objęło plemię Redarów, siedzące daleko od Łaby przy Odrze, bliższe zatem Polsce niż niemieckiemu władztwu nad Łabą. Tym samym powstały wszechstronne warunki dla porozumienia polsko-niemieckiego, a przyjęcie chrztu przez Polskę było integralną częścią układu politycznego²³⁾. Zapewne, że Mieszko I znał sposoby zaprowadzania chrześcijaństwa na Słowiańszczyźnie zachodniej. Zapewne, że mógł się w przyszłości obawiać powtórzenia tego na ziemiach polskich. O tym, że Niemców się bał, świadczy znane miejsce Thietmara. Zapewne, że pragnął mieć organizację kościelną, niezależną od jednej z metropolii niemieckich. Ale o utworzeniu biskupstwa poznańskiego w r. 966, jako biskupstwa niepodległego metropolii magdeburskiej, biskupstwa zdaje się tzw. misyjnego, zadecydowały inne względy.

Zagadnienie wieleckie było w znacznym stopniu zagadnieniem silnego ludu, wyznającego wiarę pogańską. Jeśli ktoś zatem chciał opanować Wieleatów, doprowadzić musiał do przyjęcia przez nich chrztu. Organizacja kościelna na ziemiach wieleckich stawiała się wtedy jednym ze sposobów politycznego władania nad nimi.

²²⁾ Por. w tymże przedmiocie uwagi St. Zajączkowskiego w *Rocznikach Historycznych*, t. XVII, 1948, s. 233—234.

²³⁾ Jeśli chodzi o źródłowe uzasadnienie układu polsko-niemieckiego z r. ok. 963, nie mam do dodania do argumentacji przedstawionej w książce „Polska nad Wisłą i Odrą w X w.”, l. c., s. 49—50. Na tym miejscu, zgodnie z założeniami metodycznymi wyżej przyjętymi, kładziemy nacisk na oczywisty związek między takimi faktami jak antagonizm niemiecko-wielecki, antagonizm polsko-wielecki i chrzest Polski.

Nie można było tego jednak dokonać w momencie, kiedy na wschód od Wielec w rozciągły się kraje słowiańskie, których ludność wyznawała wiarę pogańską. Trzeba było ich osaczyć nie tylko pod względem politycznym, ale i kościelnym, tzn. trzeba było doprowadzić do chrztu plemię siedzące za Odrą. G. Labuda zwrócił przy tym trafnie uwagę na wielkie znaczenie kultu Swarozycy w wieleckiej Radogoszczy; za J. Widajewiczem wskazał na ślady tego kultu na Pomorzu gdańskim²⁴). To były zatem przyczyny, dla których Niemcy musiały dążyć do chrztu ówczesnej Polski. W tych też warunkach nie mogły myśleć o wciąganiu Polski w ramy jednej ze swoich metropolii, bo były na to za słabe i taka próba mogłaby wywołać opór ze strony księcia polskiego, dla którego korzyści polityczne z przyjęcia chrześcijaństwa były oczywiste. Skoro politycznie przeciwstawiał się Wieleci, wyróżnić się musiał od nich religijnie, zważywszy, że w tej dziedzinie Wieleci byli od pogańskich Polan silniejsi. W ogóle były tylko dwie możliwości: albo porozumieć się z chrześcijańskimi Niemcami przeciw Wieleci na płaszczyźnie przyjęcia chrześcijaństwa, albo pod hasłem kultu Swarozycy uderzyć razem z Wieleciami na Niemców. Ale wtedy trzeba się było Wieleci podporządkować, a, dodajmy, w dalszej przyszłości zostać zgładzonym tak, jak to w ówczesnej Europie musiało stać się udziałem świata pogańskiego.

Porozumienie Mieszka z Niemcami w sprawie chrztu mogło być tym łatwiej przeprowadzone, że ówczesna Polska żyła w formach monarchicznych. Inaczej niż związek wielecki. Tu mogła być decyzja księża, tam jej być nie mogło, ponieważ tego księcia nie było. Powstanie biskupstwa poznańskiego i założenie metropolii magdeburskiej są to więc zjawiska równorzędne, temu samemu celowi służące. Późniejsza, zresztą dość rychła reakcja magdeburska na te zdarzenia należy już do innego zespołu zjawisk i nie może przesłaniać oczywistości zdarzeń z r. 966.

Pozostaje do rozważenia sprawa stosunku ówczesnego papieństwa do przyjęcia chrztu przez Polskę. Łączy się to oczywiście z zagadnieniem, w jakim stopniu papieństwo było aktywne przy tworzeniu biskupstwa poznańskiego jako biskupstwa misyjnego. Dotyczy to także i możliwego stosunku Mieszka I do tej sprawy.

²⁴) G. Labuda, *Studia*, I. c., s. 74—75.

Dotychczasowy pogląd na te sprawy zestawiany bywał, jak wspomniano, z rzekomymi późniejszymi próbami nawiązywania stosunków między papiestwem a Polską jako formą asekuracji przeciw Niemcom²⁵⁾. Ale poszczególne przytoczone na poparcie tej tezy argumenty nie dadzą się po najnowszej krytyce źródłowej utrzymać. W szczególności dotyczy to najpierw rzekomego przesłania włosów siedmioletniego Bolesława Chrobrego do Rzymu. Wiadomość ta opierała się na napisie grobowym Bolesława Chrobrego, który jednak ostatnio został tak odczytany przez R. Gansinca²⁶⁾, że nie ma miejsca dla takiej interpretacji. Co się zaś tyczy traktowania dokumentu *Dagome iudex* jako rzekomej asekuracji przeciw Niemcom, również i ten pogląd nie dał się utrzymać. Dokument *Dagome iudex*, wedle trafnego poglądu Labudy, stoi w związku z zajęciem Śląska i Ziemi Krakowskiej przez Mieszka I; potwierdza ten zabór dokonany podówczas na Czechach²⁷⁾. Z naszej strony uzupełniając ten pogląd, staraliśmy się wskazać, że dokument ten wystawiony został najprawdopodobniej w momencie, kiedy zmarła sprzymierzona z Mieszkiem I wdowa po Ottonie II cesarzowa Teofanu; na dworze polskim być może nie było się pewnym losów sojuszu po śmierci cesarzowej i postarano się o zatwierdzenie nowej granicy przez papieństwo²⁸⁾. Ale tuż potem kooperacja polsko-niemiecka poszła jeszcze dalej.

Zanim przejdziemy do krótkiego jej omówienia, cofnąć się należy do okresu po r. 966, na którym przerwaliśmy tok głównego wywodu.

²⁵⁾ Por. wyżej notę 21.

²⁶⁾ R. Gansiniec, Napis grobowy Bolesława Chrobrego, *Sprawozdania Folsk. Akad. Umiej.*, 1949, s. 556—560. Gansiniec ułożył inaczej od A. Bielowskiego porządek wierszy napisu. Tekst nabrał wskutek tego jasności i sensu. Ale w związku z tym Bolesław, który „posiadał Rzym, jako prawdziwy Chrystusa zapaśnik”, jest Bolesławem królującym w Rzymie rajskim. Według Gansinca, „tendencja ta wychodzi daleko poza chęć przedstawienia Bolesława jako chrześcijanina, który naprawdę zasłużył na to, by dostąpić zbawienia — autor widzi w Bolesławie świętego, któremu należy się zaszczyt kultu publicznego na ołtarzach... Tekst napisu nie daje podstaw do tłumaczenia... do dziś tak popularnego wśród naszych historyków, o dokonaniu postrzyżyn celem przesłania włosów papieżowi do Rzymu, aby pozyskać protekcję Stolicy Apostolskiej” (s. 558).

²⁷⁾ G. Labuda, Znaczenie prawno-historyczne dokumentu „*Dagome iudex*”, *Nasza Przeszłość*, t. IV, 1948, s. 33—62, i os. odb. Kraków 1948.

²⁸⁾ Z. Wojciechowski, *Patrycjat Bolesława Chrobrego*, l. c., s. 38.

Następnym punktem zwrotnym w stosunkach polsko-niemieckich w X wieku było wielkie powstanie Słowian połabskich z r. 983. I znów nie można go rozpatrywać i tłumaczyć jedynie na płaszczyźnie stosunków słowiańsko-germańskich i widzieć w tym powstaniu wyłącznie jeden z elementów walki plemiennej słowiańsko-germańskiej. Żeby tę tezę uzasadnić, należy przytoczyć okoliczność powstań podnoszonych przez Sasów jeszcze pogańskich przeciw Karolowi Wielkiemu, powstań tłumionych w krwawy sposób. Trudno w tym ostatnim wypadku mówić o walce plemiennej. Historycy niemieccy ostatniej doby byli w nieładzie kłopoty, gdy przyszło im osądzać te fakty. Najpierw popełnili ten błąd, że w Karolu Wielkim widzieli władcę o germańskich horyzontach politycznych. Nie doceniali zaś tej okoliczności, że niezależnie od swego pochodzenia był to władca odnawiający Imperium Romanum, który miał na oku zamierzenia uniwersalistyczne w sensie chrześcijańskim. Dla władcy takiego pokroju pogańscy Sasi, sprzeciwiający się przyjęciu chrztu i wzniecający powstania, byli zdecydowanym przeciwnikiem, którego tępienie nie napotykało na żadne germańskie opory wewnętrzne.

Podobnie w końcu X wieku miała się sprawa z powstaniem Słowian połabskich. Tutaj obok antagonizmu wyznaniowego istniał również antagonizm plemienny, albowiem chodziło o dwa różne ugrupowania plemienne. Ale plemiennie bliscy Słowianom połabskim książęta piastowscy w osobach Mieszka a później Bolesława Chrobrego nie wahali się stanąć po stronie panującego niemieckiego.

Jest rzeczą nader wątpliwą, aby w tych okolicznościach mogło dojść do zmiany w charakterze organizacji kościelnej ziem polskich, podobnie zresztą jak do zmiany stosunku prawno-politycznego. Taka zmiana mogła iść tylko w kierunku polepszenia sytuacji partnera polskiego, gdyż w tym czasie, licząc przez najbliższych kilkanaście lat od wielkiego powstania z r. 983, partner polski był panującemu niemieckiemu niezwykle potrzebny. Tą to okolicznością należy tłumaczyć zmianę, która poszła w kierunku polepszenia sytuacji partnera polskiego, a dokonała się na zjeździe gnieźnieńskim w r. 1000.

Na innym miejscu zajmowaliśmy się bliżej tym zjazdem²⁹⁾. Powtórzymy też tutaj z dawniejszych wywodów tylko to, co dla

²⁹⁾ W rozprawie pt. *Patrycjat Bolesława Chrobrego*, I. c.

zrozumienia kreślonej tu nici wypadków jest niezbędne. W przededniu zjazdu w r. 1000 dwa były problemy interesujące żywo cesarstwo. Z jednej strony dawny konflikt z Bizancjum o terytoria południowo-włoskie, przemieniający się w konflikt o zasięgu szerszym z uwagi także na możliwe zagrożenie Węgier od strony Bizancjum po dokonanych podboju Bułgarii przez cesarza Bazylego Bułgarobójcę. Z drugiej strony stan stałej wojny na północnym wschodzie z plemionami wieleckimi. Rozpatrywany na tym tle fakt utworzenia metropolii gnieźnieńskiej wraz z kilku sufraganiami da się łatwo wyjaśnić. Utworzono arcybiskupstwo w Gnieźnie, a obok tego biskupstwa w Kołobrzegu, Wrocławiu i Krakowie, utrzymując biskupa poznańskiego, pozostawiając go jednak bez podporządkowywania nowemu arcybiskupstwu. Ta ostatnia okoliczność była zupełnie zrozumiała ze względów natury personalnej, jak na to wielokroć już zwracano uwagę. Nie chciano dotknąć biskupa poznańskiego Ungerę, był on przecież naturalnym kandydatem na arcybiskupstwo, a skoro ze względu na osobę św. Wojciecha tym arcybiskupem został jego brat, Gaudenty, dano Ungerowi tę przynajmniej satysfakcję, że pozostawiono go w bezpośredniej zależności od Stolicy Apostolskiej, zapewne tylko na czas jego życia. Utworzenie biskupstwa krakowskiego miało swoją przyczynę szczegółową, ile że ta erekcja nawiązywała do biskupstwa istniejącego tu w czasach Wielkich Moraw³⁰⁾.

Gdy zaś weźmiemy pod uwagę:

Kołobrzeg

Gniezno

Poznań

Wrocław

zobaczymy, że chodzi o biskupstwa położone blisko zachodniej granicy ówczesnej Polski. Stąd wniosek wyraźny, że Ottonowi III i jego otoczeniu zależało w pierwszym rzędzie na pogłębianiu chrześcijaństwa na ziemiach graniczących ze Słowiańszczyzną zachodnią. Utworzenie biskupstwa w Kołobrzegu miało tu szczególne znaczenie, zważywszy chęć otoczenia plemion wieleckich od najbliższego wschodu krajem chrześcijańskim. Jak ważne miejsce w całym tym planie miało

³⁰⁾ Co ostatnio udowodnił J. Widajewicz w rozprawie pt. Prohor i Prokulf, *Nasza Przeszłość*, t. IV, 1948, s. 17—32.

biskupstwo w Kołobrzegu, świadczy i ta okoliczność, że właśnie przeciwko niemu skierowała się pierwsza reakcja, wychodząca od plemion wieleckich. Zanim pod wpływem ruchu pogańskiego padną placówki episkopalne w Poznaniu i Gnieźnie, na dwadzieścia kilka lat przedtem, jeszcze w pełni rządów Chrobrego, stanie się to losem Kołobrzegu. Arcybiskupstwo gnieźnieńskie i biskupstwo poznańskie to były placówki w ówczesnym ośrodku politycznym państwa. Jego pełne uchrześcijanienie było z natury rzeczy jednym z warunków zdolności partnera polskiego do utrzymania się w wyznaczonej mu roli. Niedawne badania śp. Władysława Semkowicza na temat Sobótki wykazują znów ³¹⁾, jak ważną rolę miał do spełnienia Wrocław w stosunku do tak silnego pogańskiego centrum, jakie stanowiła Sobótko. Stąd też mogły iść reperkusje ku zachodowi w stronę Słowiańszczyzny łużycko-serbskiej.

Przecież nie było chrześcijaństwa ani na Pomorzu Gdańskim, ani na Kujawach, ani w Sieradzu i Łęczycy, ani na Mazowszu, ani w Ziemi Sandomierskiej. Jeżeli więc organizację kościelną tworzone nie tam, lecz na zachodnich ziemiach polskich, to z przyczyn przed chwilą wskazanych. Tu też leży jedno ze źródeł różnicy pomiędzy organizacją kościelną ziem polskich a ziem czeskich. Zastanawiano się wiele nad powodami, dla których nie powstała w Czechach organizacja metropolitalna. Polska wyprzedziła pod tym względem Czechy o lat prawie czterysta. Stało się to z tego względu, że w Pradze było potrzebne takie biskupstwo, jakie utworzono w Krakowie. Nie było zaś zagadnienia wieleckiego, które stało u narodzin zarówno biskupstwa poznańskiego w r. 966, jak i organizacji metropolitalnej w r. 1000.

Realizacja tego planu złączona została z nadaniem Bolesławowi Chrobremu godności patrycjusza cesarstwa rzymskiego. W ramach odnowionego Imperium Romanum, opartego na założeniach uniwersalistycznych, bastion polski miał współdziałać w chrystianizacji i podporządkowaniu Wioletów nowemu imperium oraz w rozszerzaniu chrześcijaństwa na zewnątrz, przede wszystkim w stronę kraju Prusów. Takie założenia tej polityki wynikają ze znanego listu św. Brunona z Querfurtu do cesarza Henryka II ³²⁾. List ten powstał w drugiej fazie wojny Chrobrego z Henrykiem II, kiedy cały poprzedni system polityczny zo-

³¹⁾ Góra Sobótko i jej zabytki polskie. Poznań 1949.

³²⁾ Mon. Pol. Hist. t. I, Lwów 1864, s. 224—228.

stał wywrócony do góry nogami i kiedy kontury dawnego systemu zarysowywać się mogły — na skutek kontrastu — szczególnie ostro.

Wiadomo, że uniwersalistyczna koncepcja Ottona III spotkała się jeszcze za jego życia z silną opozycją w Niemczech. Po śmierci Ottona III ofiarą jej padł jego dawny współpracownik, margrabia Miśni Ekkehard, a zagrożony został i sam Chrobry. W wyniku tego stanu rzeczy doszło do długotrwałej wojny, u której progu założenia polityczne z lat 966, 983 i 1000 zostały zupełnie przekreślone. Henryk II sprzymierzył się z pogańskimi Wioletami i przy ich pomocy zwalczał głównego pozostałego przy życiu przedstawiciela obozu Ottona III. W tych to właśnie okolicznościach powstał wzmiankowany już list św. Brunona z Querfurtu.

Ta zmiana aliansów, przypominająca swymi kontrastami słynną zmianę aliansów z połowy w. XVIII, ułatwiała wprawdzie Henrykowi II wojnę z Chrobrym, ale nie umożliwiła mu ostatecznego zwycięstwa. W dodatku na północnym wschodzie powstała nowa sytuacja nie zamierzona przy zawieraniu sojuszu niemiecko-wieleckiego.

Porozumienie Henryka II z Wioletami wywołało protest nie tylko ze strony św. Brunona z Querfurtu, ale i samego Thietmara, który miał wątpliwości, czy panujący chrześcijański postępuje słusznie³³⁾. Gorszą rzeczą było dla Henryka II, że pojawiły się oznaki porozumiewania się wieleckich Hobolan z Bolesławem Chrobrym³⁴⁾. Skoro wojna przestała być światopoglądową, jak byśmy dziś powiedzieli, skoro panujący chrześcijański połączył się z poganami przeciw innemu władcy chrześcijańskiemu, władca ten mógł w tej chwili wyzyskać pokrewieństwo plemienne ze Słowianami połabskimi. Taka sama reakcja zachodzić mogła po stronie wieleckiej, o czym właśnie mamy konkretne wiadomości źródłowe. W ten sposób konflikt łatwo mógł się przerodzić w konflikt świata germańskiego ze światem zachodnio-słowiańskim w szerszym tego słowa znaczeniu.

Ale gdy to zjawisko było w każdym razie dopiero w zarodku, inna rzeczywistość poczęła się wyraźnie rzucać w oczy. Skoro pogańscy Wieleci stali się sprzymierzeńcami Henryka II, nie mogło być mowy o zwalczaniu wiary pogańskiej w ich kraju w sposobie dotąd praktykowanym. Równocześnie powstała możność pogańskiej ekspansji

³³⁾ Thietmar, VII, 60.

³⁴⁾ Tamże, VI, 57.

Wioletów w kierunku ziem piastowskich. O tym mamy konkretne wiadomości źródłowe. Z jednej strony z dokumentu tzw. Dagome iudex, pochodzącego z lat 990—992, wiemy, że Mieszko I co najpóźniej w końcowych latach panowania włada całym Pomorzem Zachodnim, z drugiej zaś strony dowiadujemy się pod r. 1007, że pomorscy Wolińanie zgłosili się do Henryka II z propozycją zawarcia przymierza³⁵⁾. Oczywiście nie mogło to być przymierze pomiędzy dwoma partnerami chrześcijańskimi. Następnie dowiadujemy się pod r. 1013, że biskup kołobrzeski Reinbern bawił w tym czasie na Rusi, a więc widocznie stracił podstawę dla swej egzystencji na Pomorzu³⁶⁾. Sytuacja Pomorza w czasach Bolesława Chrobrego nie jest nam zupełnie jasna, nie ulega jednak wątpliwości, że już w tym czasie nastąpiło tam zniesienie chrześcijaństwa, skutkiem czego granica chrześcijańsko-pogańska ustalić się musiała na pograniczu Wielkopolski i Pomorza Zachodniego oraz Wielkopolski i Kujaw i Pomorza Gdańskiego. Jeśli za Mieszka II dowiadujemy się o utworzeniu nowego biskupstwa ze stolicą w Kruszwicy, to erekcja tego biskupstwa oznacza wycofanie placówek chrześcijańskich z obszaru Pomorza i utworzenie bastionu w Kruszwicy na Kujawach.

Nie wynika z tego, jakoby pomiędzy Chrobrym a Henrykiem II nie było prób kompromisu. Jeden taki kompromis zawarty został w Merseburgu w r. 1013, a sądzić wolno, że jedną z nieostatnich jego przyczyn była sytuacja na północnym wschodzie. Jest rzeczą znaną, że w tymże roku 1013 syn Chrobrego, Mieszko, późniejszy Mieszko II, poślubił Ryksę, siostrzenicę Ottona III. Ryksa była córką siostry Ottona III Matyldy, wydanej za mąż za pfalcgrafa Ezzona-Ehrenfrieda. Dziećmi z tego małżeństwa byli m. in. Herman, późniejszy arcybiskup koloński, i Ryksa. Syn Mieszka II i Ryksy, Kazimierz, późniejszy Kazimierz Odnowiciel, urodzony w r. 1016, otrzymał na drugie imię Karol, co było w zgodzie z tradycją karolińską, żywą u Ottona III³⁷⁾.

Innym przejawem kompromisu był udział wojsk niemieckich w wyprawie na Kijów, podjętej przez Bolesława Chrobrego w r. 1018 po

³⁵⁾ Tamże, VI, 33.

³⁶⁾ W. Abraham, Powstanie organizacji Kościoła łacińskiego na Rusi, t. I, Lwów 1904, s. 15.

³⁷⁾ O. Balzer, Genealogia Piastów, Kraków 1895, s. 81, oraz Z. Wojciechowski, Bolesław Chrobry i rok 1000, l. c., s. 250—251.

zawarcia pokoju w Budziszynie. Wyprawa na Kijów miała akcenty antybizantyńskie, przypominające okoliczności, w których zbierał się zjazd gnieźnieński w r. 1000. Ale zbyt wiele stało się po r. 1000, aby można było sytuację skleić i nawrócić do zarzuconych założeń. Dowodem na to, że zaszły głębokie zmiany w pojęciach, jest fakt koronacji Bolesława Chrobrego, który nastąpił w r. 1024, zaraz po śmierci Henryka II. Wszelkie dawniejsze koncepcje pozostawiały Chrobrego w ramach choćby najszerzej pojętej państwowości niemieckiej: w r. 1000 został Chrobry patrycjuszem odnowionego imperium rzymskiego, a więc nie władcą suwerennym. Suwerenność, osiągnięta w pokoju budziszynskim, była stanem faktycznym. Koronacja, dokonana w r. 1024, stawiała kropkę nad „i”, nie pozostawiając żadnych wątpliwości co do postawy Chrobrego w stosunku do wszelkich tytułów zwierzchności Niemiec nad ówczesną Polską.

III.

Wiadomo, że Chrobry zmarł w rok po koronacji, ale syn jego i następca tronu Mieszko II koronował się zaraz po objęciu władzy. O tym, jak w Niemczech patrzano na koronację obu tych Piastów, świadczą zestawione przez Tadeusza Wojciechowskiego teksty Roczników kwedlinburskich, magdeburskich i Wipona Żywotu imperatora Konrada: „Trucizna pychy załaza duszę Bolesława, tak iż po skonie cesarza Henryka ośmielił się pochwycić koronę królewską na hańbę króla Konrada. Rychła śmierć ukarała tę zuchwałość. Syn jego, Mieszko, takież buntownik jak i ojciec; ale cóż tobie korona, ty krwawa bestio”³⁸⁾.

Ta opinia jest w jawnej sprzeczności ze znaną opinią o Mieszku II, wypowiedzianą przez księżnę Matyldę, zamężną za Fryderykiem, księciem Górnej Lotaryngii. Matylda, wysyłając do Mieszka II księgę liturgiczną „Ordo Romanorum”, czyli tzw. „Pseudo-Alkuina”, dołączyła do księgi list. Mieści się w nim pochwała Mieszka, jako tego, który chwalił Boga nie tylko w języku łacińskim, ale również greckim, który pobudował tyle kościołów, który, idąc w ślady ojca, tak bardzo opiekuje się religią i nawraca pogan³⁹⁾. List datuje najprawdopodobniej z r. 1025,

³⁸⁾ T. Wojciechowski, Szkice historyczne jedenastego wieku, Kraków 1904, s. 154.

³⁹⁾ Mon. Pol. Hist., t. I, Lwów 1864, s. 323—324.

być może 1027⁴⁰⁾. Jest bardzo ważny, ponieważ wypełnia lukę w źródłach, istniejącą pomiędzy latami 1025 a 1028. Mąż Matyldy, Fryderyk lotaryński, był współuczestnikiem sprzysiężenia książąt niemieckich przeciw Konradowi II w r. 1025; drugie takie sprzysiężenie zaszło w dwa lata później. Jest rzeczą oczywistą, że Mieszko II współdziałał z opozycją niemiecką przeciw Konradowi II. List jest wyraźnym dowodem tego stanu rzeczy i w pierwszym rzędzie należy do historii politycznej omawianej epoki, w drugim zaś dopiero do historii kultury tego czasu.

Z tego wynika, że Mieszko II nie porzucił chrześcijańskich podstaw swego panowania, ale owszem, je umacniał. Antagonizm z Niemcami miał więc genezę polityczną. Nie chciano w Niemczech dopuścić do istnienia na wschodzie państwa suwerennego, choć chrześcijańskiego. Ale ten stan rzeczy musiał powodować dalsze następstwa. I znów osią zagadnienia stała się sprawa wielecka. Od udziału Wieleków po jednej lub drugiej stronie zależały szanse powodzenia przeciwników.

W r. 1028 istnieje pomiędzy Polską a Niemcami stan wojny, skoro się dowiadujemy, że w tym roku dokonał Mieszko II niszczącego najazdu na wschodnią Saksonię⁴¹⁾. Wieleci w tym czasie idą jeszcze po linii dawnego porozumienia z Niemcami; pod r. 1029 dowiadujemy się bowiem o przybyciu do Konrada II poselstwa wieleckiego. Poselstwo to uskarżało się na Mieszka „tyrana”, żądało pomocy przeciw niemu i obiecywało posłuszeństwo. Ale już w tym momencie rocznikarz wyraża wątpliwość co do intencji posłów⁴²⁾. Wiąże się to z faktem, że w r. 1030 nastąpił nowy niszczący najazd Mieszka na tereny pomiędzy Łabą a Salą, tym razem z udziałem Wieleków. Wzięto licznych jeńców, w tym ówczesnego biskupa brandenburskiego; ofiarą najazdu padły i kościoły. Przytoczona wyżej opinia Roczników magdeburgskich o Mieszku II pod tym właśnie rokiem została zapisana.

Ta zmiana układu sił spowodowała wybuch powstania w kraju Obodryców (1031—1032). Walka Niemiec z Wielekami trwała tymczasem

⁴⁰⁾ A. Pośpieszyńska, Mieszko II a Niemcy, *Roczniki Historyczne*, t. XIV, 1938, s. 258—263.

⁴¹⁾ Przedstawienie poniższe oparte na pracy A. Pośpieszyńskiej (por. wyżej nota 40) i na *Annalen des Deutschen Reichs im Zeitalter der Ottonen und Salier*, wydawcy G. Richter i H. Kohl, t. I, Halle 1890.

⁴²⁾ A. Pośpieszyńska, l. c., s. 273 (*roczniki hildesheimskie*).

dalej (1031—1035). W r. 1036 zawarty jest rozejm, opłacony przez Wieleatów zakładnikami i znacznym trybutem, ale nie mogło to być rozwiązanie ostateczne ⁴³⁾. W tych warunkach rozprawa z Mieszkim II musiała się była przenieść na polski teren wewnętrzny.

Katastrofa przyszła w momencie, kiedy na skutek sporu dynastycznego doszło do ucieczki i współdziałania brata Mieszka, Ottona, z Niemcami, a brata, Bezpryma, z Rusią. Pokonany Mieszko chroni się do Czech a rządy w państwie obejmuje Bezprym (1031).

O co w tym sporze między Polską a Niemcami chodziło, świadczy najlepiej zachowanie się Bezpryma po objęciu władzy. Bezprym bowiem według wiadomości podanej pod rokiem 1031 przez Roczniki hildesheimskie, odesłał Konradowi koronę królewską wraz z insygniami i obiecał, że się Konradowi podporządkuje. Ale do końca wypadków było jeszcze daleko.

Objęcie bowiem rządów przez Bezpryma oznacza początek wielkiej rewolucji politycznej, społecznej i religijnej. Siły nowego porządku nie dały się z miejsca zniszczyć. Ich ofiarą padł Bezprym, zamordowany w początku kwietnia 1032 r. Źródła przypisują tę śmierć nadmiernemu okrucieństwu Bezpryma i współdziałaniu braci. Nadmierne okrucieństwo skierowane było niewątpliwie w stronę dawnych zwolenników Mieszka II, z którymi Mieszko II, przebywający w Czechach, musiał pozostawać w łączności.

Teraz dopiero powstały warunki dla powrotu Mieszka II do kraju i dla układu z Konradem II. Utraciwszy poprzednio (1031) Łużyce, musiał obecnie (1032) zgodzić się na podział kraju pomiędzy siebie, brata Ottona i brata stryjecznego Dytryka. Dytryk był synem jednego ze stryjów Mieszka II, wygnanych przez Bolesława Chrobrego wraz z ich matką a macochą Chrobrego, Odą, niedługo po śmierci Mieszka I.

Ale i takie załatwienie sprawy równało się krótkiemu prowizorium, o czym świadczą zdarzenia z r. 1033 i 1034. W r. 1033 ginie zamordowany z kolei Otto. W r. 1034 pada ofiarą mordu sam Mieszko II, dokonawszy przedtem ponownego zjednoczenia państwa, a w szczególności restytuowawszy władzę piastowską na Pomorzu.

Władzę po nim objął syn pierworodny Bolesław, tzw. Zapomniany ⁴⁴⁾. Rewolucja była już jednak w pełnym biegu. Jej ofiarą padł

⁴³⁾ W. Bogusławski, *Dzieje Słowiańszczyzny północno-zachodniej*, t. III, Poznań 1892, s. 438—449.

⁴⁴⁾ O. Balzer, *Genealogia Piastów*, I. c., s. 76—81.

Bolesław co najpóźniej w r. 1037. Wtedy też opuszcza kraj królowa-wdowa Ryksa wraz z młodszym synem Kazimierzem-Karolem, który pierwotnie był przeznaczony do stanu duchownego, skąd jego przydomek „Mnich”.

IV.

Bieg wypadków mógł być dla Niemiec w pewnym stopniu zadowalający. Powstanie obodrzyckie większych następstw nie wywołało. Wielu podporządkowali się cesarstwu w r. 1036. Bezprym zaraz po objęciu rządów odesłał insygnia koronacyjne do Niemiec i zapowiedział swoje podporządkowanie się cesarstwu. Po tej samej linii musiał z kolei pójść Mieszko II w r. 1032. Gwarancją dla cesarstwa stawały się równocześnie osoby Ottona i Dytryka, bliżej z Niemcami związane. Ale gdy brakło Ottona (który zginął w r. 1033) i Dytryka (o czym świadczy wiadomość o zjednoczeniu państwa przez Mieszka przed śmiercią), zamordowanie Mieszka w r. 1034 i zamęt, w jakim państwo polskie znalazło się po jego śmierci, usuwały obawy co do możliwych niebezpieczeństw ze strony partnera polskiego. Pojawiły się jednak nowe komplikacje, z których jedna tkwiła korzeniami w zatargu polsko-niemieckim.

Wzmiankowano już poprzednio o sumie wysiłku wkładanego przez Niemcy w podbój i chrystianizację Słowiańszczyzny połabskiej, zwłaszcza wieleckiej. Wprawdzie w r. 1036 stosunki polityczne na tym terenie częściowo ułożyły się w sposób pokojowy, ale do chrystianizacji tego kraju, co było warunkiem trwałości rządów niemieckich w tych stronach, było w tym czasie dalej niż kiedykolwiek przedtem. Reakcja pogańska wylała się na wschód od Odry i objęła najpierw Pomorze, od Odry po Wisłę. Jeśli słuszne jest przypuszczenie, wyrażone ongi przez Stanisława Zakrzewskiego a reprezentowane później przez piszącego te słowa, że Piastowie Dytryk miał sobie wyznaczony dział na Pomorzu⁴⁵⁾, fakt ten w każdym razie nie miał żadnego wpływu na chrystianizację tego kraju. Jeśli słuszne jest dalsze przy-

⁴⁵⁾ Z. Wojciechowski, *Polska nad Wisłą i Odrą w X w.*, Katowice 1939, s. 110—112. Pewne uzasadnione wątpliwości wyraził w stosunku do tego poglądu K. Myśliński, *Książę pomorski Bogusław czy Bogusław-Teodor*, Jantar, 1946, s. 50—53. Jeżeli chodzi o istotny argument, mający świadczyć za Piastowskim pochodzeniem dynastii pomorskiej, jest nim określenie Świętopełka Pomorskiego jako „genere propinquus”, obacz *Polska nad Wisłą i Odrą*, s. 119.

puszczenie, wysuwane przez obu wspomnianych autorów, że po katastrofie Mieszka II potomkowie Dytryka wrócili na Pomorze (o czym mogłoby świadczyć imię książęce Ziemomysł, spotykane w tym kraju w czasach Kazimierza Odnowiciela), to w każdym razie kraj pozostał pogański, a i ta gałąź dynastii według wszelkiego prawdopodobieństwa porzuciła chrześcijaństwo.

Ale fala reakcji pogańskiej poszła dalej, ruszyła ławą ku południowi. Tam ongi stawał Mieszko II bastion chrześcijański w Kruszwicy, w miejscu szczególnie ważnym, albowiem na wododziale Odry i Wisły, lecz i ten bastion runął, a fala reakcji pogańskiej wdarła się na teren rdzennej Wielkopolski. Znana jest wiadomość Galla Anonima o dzikich bestiach, które miały sobie urządzić legowisko w ruinach katedry gnieźnieńskiej. Na Śląsku odżył ośrodek pogański na Sobótce. Reakcja pogańska była tam tak silna, że zaginęła pamięć o biskupach wrocławskich z czasów przed restauracją państwa przez Kazimierza Odnowiciela⁴⁶⁾. W Niemczech było więc nad czym się zastanowić, tym bardziej, że przyszły innego jeszcze rodzaju komplikacje.

Mieszko II zabezpieczył się był mocno na granicy zachodniej. Doszedł do wspólnego języka z Wioletami, miał doskonałe stosunki z księciem Udalrykiem czeskim. Po rozprawieniu się z Mieszkiem musiała przyjść więc kolej na księcia czeskiego. W r. 1033 ruszyła przeciwko niemu wyprawa pod dowództwem koronowanego na króla niemieckiego, za życia ojca, Henryka III (1033); w rok później książę Udalryk ginie zamordowany, a rządy w Czechach obejmuje syn jego Brzetysław.

Tenże Brzetysław stał się jednak źródłem nowych niespodzianek. On to bowiem po śmierci Bolesława tzw. Zapomnianego w niezwykle niszczącym napadzie uderzył na Polskę, docierając aż do Gniezna. Plany jego były kopiowane na pomysłach Chrobrego. Chciał utworzyć metropolię w Czechach i dla tego celu uwiózł do Pragi relikwie św. Wojciecha z Gniezna, chciał też utworzyć państwo czesko-polskie połączone w jedną całość. Nie po to jednak w Niemczech prowadzono kilkudziesięcioletnią wojnę z Chrobrym i Mieszkiem II, ażeby dopuścić obecnie do realizacji tych pomysłów przez Brzetysława.

⁴⁶⁾ T. Silnicki, *Dzieje i ustrój Kościoła na Śląsku do końca XIV wieku*, Historia Śląska, t. II, z. 1, Kraków 1939, s. 27.

W tych warunkach należało poprzeć przebywającego w Niemczech pretendenta do tronu Polski, Kazimierza-Karola. Z przekazów natury pośredniej wynika, że uznał się on lennikiem niemieckim⁴⁷⁾, wrócił zatem do podporządkowania się Niemcom w ramach pojęć właściwych epoce. W tym czasie pojęcia właściwe czasom Ottona III wyszły już z pamięci i użycia. Nie został tedy Kazimierz Odnowiciel patrycjuszem, lecz lennikiem, aczkolwiek słusznie nauka polska widzi w tym kategorię prawa międzynarodowego, czyniąc dystynkcję pomiędzy lennem w tym właśnie znaczeniu a lennem o charakterze ściśle wewnętrznym⁴⁸⁾.

Poparcia udzieliły Kazimierzowi osoby związane z nim węzłami rodzinnymi, a równocześnie uosabiające dawne tradycje ottoniańskie. Główne bowiem poparcie uzyskał Kazimierz, jak już wzmiankowano, od swego wuja, brata matki Ryksy, arcybiskupa kolońskiego Hermana.

Z kolei dopiero doszło do zbrojnej rozprawy pomiędzy następcą Konrada II Henrykiem III a Brzetysławem. Pobity Brzetysław musiał przyjąć bardzo ciężkie warunki; w ich rzędzie znalazło się postanowienie o zwrocie jeńców, zabranych w Polsce w r. 1038⁴⁹⁾. Jest rzeczą wysoce prawdopodobną, że w czasie wyprawy Henryka III przeciwko Brzetysławowi Kazimierz współdziałał z Henrykiem III, atakując Śląsk. Niemniej ani na drodze zbrojnej, ani w ramach traktatu zawartego z Henrykiem III w Ratyzbonie całego Śląska nie odzyskał. Przeczorny władca niemiecki wolał pozostawić część Śląska, prawdopodobnie Śląsk zaodrzański, w rękach Brzetysława. Brzetysław nie był już w tym czasie niebezpieczny, a takie rozwiązanie sprawy dawało panującemu niemieckiemu pewną asekurację w stosunku do księcia polskiego. Z tą dynastią doświadczenia nie były przecież do tego czasu najlepsze.

Pozostawała sprawa organizacji kościelnej ziem polskich, zniszczonej na skutek wielkiej rewolucji i najazdu Brzetysława. Był to najsposzobniejszy moment dla arcybiskupstwa magdeburskiego do realizacji swoich z dawna przygotowywanych zamiarów. Zredukowaliśmy

⁴⁷⁾ O. Balzer, *Skarbiec i archiwum koronne*, Lwów 1917, s. 45, nota 1.

⁴⁸⁾ M. Z. Jedlicki, *Les rapports entre la Pologne et l'Empire Germanique, La Pologne au VII-e Congrès International des Sciences Historiques*, v. III, Varsovie 1933, s. 117—131 i K. Koranyi, *Ze studiów nad międzynarodowymi traktatami w średniowieczu*, Lwów 1936, s. 11—55.

⁴⁹⁾ St. Kętrzyński, *Kazimierz Odnowiciel*, Kraków 1899, s. 36—38.

wyżej znaczenie tych pretensyj. Były one magdeburskie a nie niemieckie, w pełnym politycznym tego słowa znaczeniu. Kiedy jednak doszło do wojny, pretensje magdeburskie znalazły się na jednej linii z celami ogólnoniemieckiej polityki. Teraz, kiedy organizacja kościelna w Polsce została zniszczona, mogła być chwila sposobna, jak wspomniano, do realizacji tych zamierzeń.

Z wywodów Abrahama wiemy⁵⁰⁾, że gdy na przełomie lat 1003/4 wybrał się biskup poznański Unger do Rzymu, został po drodze w Niemczech uwięziony i odstawiony do Magdeburga. Abraham trafnie przypuszczał, że wówczas to wymuszono na Ungerze uznanie zwierzchności Magdeburga. Thietmar o tym wszystkim musiał wiedzieć doskonale i rozmyślnie tę zwierzchność „antydatował”. Wtedy też musiano w Magdeburgu sporządzić falsyfikat aktu erekcyjnego arcybiskupstwa magdeburskiego z r. 968. W falsyfikacie tym umieszczono słowa o przesunięciu granicy arcybiskupstwa „za Odrę”.

Na razie falsyfikat pozostał w archiwum, wydobyto go jednak w momencie, gdy na porządku dziennym znalazła się sprawa odnowienia organizacji kościelnej w Polsce. Wiadomo, że falsyfikat przedłożono do zatwierdzenia dwu kolejnym papieżom: Benedyktowi IX (1033—1048) i Leonowi IX (1048—1054). Rządy tych papieży przypadają właśnie na czas panowania Kazimierza Odnowiciela, a zatwierdzenie uzyskane przez Magdeburg musiało stać w oczywistym związku z próbą przeciwdziałania odnowieniu organizacji metropolitalnej w Polsce.

Z tym może znów stać w związku ta okoliczność, że pierwszy znany biskup odnowionego Kościoła w Polsce, dawny opat tyniecki Aron, został biskupem krakowskim. Został on wyświęcony przez arcybiskupa kolońskiego Hermana⁵¹⁾.

Nie kładlibyśmy jednak nadmiernego nacisku na przeciwdziałania magdeburskie i nie w nich jedynie widzielibyśmy przyczynę tworzenia pierwszego po katastrofie biskupstwa w Krakowie. Wielkopolska była podmyta rewolucją, katedra zniszczona i trzeba było zaczynać od terenu rewolucją nie tkniętego, czy mniej tkniętego. Tak przecie ongi zakładano pierwsze biskupstwo nie w stołecznym pogańskim Gnieźnie,

⁵⁰⁾ Por. wyżej, nota 7.

⁵¹⁾ W. A b r a h a m, *Organizacja Kościoła w Polsce*, wyd. 2, Lwów 1893 s. 129.

lecz oddalonym od Gniezna Poznaniu, gdzie nie trzeba było pokonywać oporów miejscowych. Przypomnieć w końcu trzeba, że polityczna restauracja monarchii w Polsce dokonuje się właśnie z Krakowa z tych względów, a nie z uwagi na przeciwdziałanie magdeburskie, które w tym wypadku nie mogło być brane pod uwagę. Jeśli Aron przybiera następnie tytuł arcybiskupa, to oczywiście nie jest on arcybiskupem krakowskim, lecz polskim, gdyż arcybiskupi gnieźnieńscy byli arcybiskupami Polski⁵²⁾.

Takie postawienie sprawy nie mogło napotykać na opór ze strony politycznej niemieckiej, gdyż restauracja organizacji kościelnej w Polsce leżała w istocie na linii polityki niemieckiej. Magdeburg nie mógł sobie przecież poradzić ani z rechrystianizacją Polski, ani wziąć na siebie ciężaru chrystianizacji Pomorza Zachodniego, który to problem stanął na porządku dziennym ponownie od czasów Kazimierza Odnowiciela. Tym samym restytucji organizacji metropolitalnej w Polsce nie wiązalibyśmy dopiero z nową pozycją, jaką państwo polskie zajęło w czasach Bolesława Śmiałego wobec Niemiec. A w ogóle zagadnienie magdeburskie zostało w literaturze naszej historycznej nieco wyolbrzymione, ponieważ mówią o tym teksty, których brak, gdy chodzi o wyświetlenie przyczyn powstania organizacji kościelnej w Polsce, w latach 966 i 1000, jak również przyczyn jej restytucji po powrocie Kazimierza Odnowiciela. Tego nie można było formułować na piśmie, ale wnioski te wypływają z zestawienia skądinąd znanych faktów.

Wracano zatem — *mutatis mutandis* — do założeń r. 1000. Książę polski miał swe własne tytuły władcze, a obok tego był lennikiem panującego niemieckiego. Restytuowana organizacja kościelna ziem polskich miała zapobiec tym niekorzyściom dla interesów niemieckich na północnym wschodzie, które powstały na skutek repoganizacji ziem połabskich i polskich.

Ale i ten stan rzeczy nie dał się długo utrzymać. Dynastia polska miała przecież za sobą tradycję Chrobrego i Mieszka II, tradycję dwu koronacyj i całkowitej suwerenności państwowej. Tego się przekreślić nie dało. Z drugiej jednak strony wyprowadzono wszelkie wnioski ze zdarzeń w epoce Mieszka II. Zrozumiano, że warunkiem suveren-

⁵²⁾ Tamże, s. 130—131.

ności państwa w stosunku do Niemiec jest najbardziej poprawne i pokojowe ułożenie stosunków z Rusią. W tym też sensie dochodzi do skutku wielki zwrot w systemie politycznym Polski. Niesposób go na tym miejscu opisywać⁵³⁾, ale całe odnowienie państwa i następna polityka zagraniczna oparte zostały przez Kazimierza Odnowiciela na przymierzu z księciem kijowskim Jarosławem Mądrym i małżeństwie Kazimierza z córką Włodzimierza I, Dobroniegą-Marią. Syn i następca Kazimierza Odnowiciela Bolesław Śmiały poszedł po tej samej linii politycznej. Przy pomocy posiłków ruskich odważył się na nową walkę o Łużyce. Silne już podówczas włączenie Czech w zręby państwowości niemieckiej, skutkiem czego Czechy stały się bastionem niemieckim w tych stronach, uniemożliwiło realizację tych planów⁵⁴⁾.

Z powyższego przedstawienia sprawy wynika znaczna waga zagadnienia wieleckiego w X i XI wieku. Prof. Labuda trafnie wskazywał na wagę stosunków wielecko-czesko-polskich w X wieku⁵⁵⁾. Z naszej strony większą od Labudy wagę przypisujemy współczynnিকowi niemieckiemu tych stosunków, wiążąc go jednak z nimi w jedną całość. Tak postawione zagadnienie wieleckie jest w zgodzie również z poglądami Widajewicza⁵⁶⁾ na miejsce Wielec w historii Słowian, w historii stosunków słowiańsko-niemieckich i historii powszechnej. Sądzymy, że dalsze badania jeszcze więcej pogłębią to zagadnienie, przywracając pamięci dzieje wielkiego ludu, zajmującego w historiografii do tego czasu zbyt nikłe miejsce.

⁵³⁾ Uczynił to St. Kętrzyński w rozprawie powołanej w nocie 49.

⁵⁴⁾ Obacz książkę zbiorową pt. Polska—Czechy, pod redakcją Z. Wojciechowskiego, Katowice—Wrocław 1947, s. 40.

⁵⁵⁾ Por. wyżej, nota 11. Od strony archeologicznej wskazał na wagę zagadnienia polsko-wieleckiego W. Hensel w pracy pt. Wstęp nad osadnictwem Wielkopolski wczesnohistorycznej, Poznań 1948, s. 201.

⁵⁶⁾ W pracy pt. Masudi o Wielec, Pamiętnik Słowiański, t. I, Kraków 1949, s. 55—82.

PIERWSZY START WŁADYSŁAWA ORKANA

I. Z domu

1.

Niezależnie od tego, kim był Władysław Orkan sam z siebie i sam przez siebie, przez swój talent, był on także osobliwym i wysoce znanym fenomenem historycznym, wyrazem pewnego granicznego procesu społecznego, który oddziela nasze dzieje wewnętrzne bieżącego stulecia od dawniejszych linią wyraźnie zdecydowaną. Procesowi temu na imię: przemiana podmiotu kulturowego Polski. Z odmętów szarego bytowania na wyżynę twórczości przodowniczej wyniosła Orkana ta sama fala, która zamarła na tak długo masę chłopską podźwignęła do godności pełnoprawnego obywatelstwa. Ale okoliczności owego wynoszenia były w tym wypadku nader charakterystyczne i warte są szczegółowej uwagi. Charakterystyczne zaś nie przez to, że były trafem, czymś jedynym, niepowtarzalnym, ale właśnie, że są znakiem przejawu szerszego, generalnego, a tylko znakiem o szczególnej czystości i wyrazistości przebiegu.

Wł. Orkan zajął w pokoleniu twórców młodopolskich miejsce własne jako ten, co wyrósł bezpośrednio z pnia chłopskiego. Wśród ogromnego przez tyle wieków zastępu pisarzy polskich, których wydał stan szlachecki, zjawia się on jako odrośl i rzecznik stanu plebejskiego, tak długo do ziemi wyłącznie przypisanego.

Jednakowoż wśród pisarzy synów chłopskich nie był on w dobie Młodej Polski ani jedynym, ani nawet pierwszym; był jednym z kilku. Czy słusznie więc mówimy o jego pod tym względem reprezentatywności?

Słusznie w całej pełni. A oto dlaczego.

Zostając na wyżynach zasługi twórczej, można by w tej dobie mówić o trójcy pisarzy, którzy wyszli bezpośrednio ze wsi, którzy są w pierwszym pokoleniu emanacją stanu chłopskiego: Kasprowicz —

Reymont — Orkan. Nie obchodzi nas tu w tej chwili różnica ich kalibru jako twórców. Jeżeli zaś chodzi o ów charakter ich chłopskości, o warunki ich wyjścia ze środowiska wiejskiego, o swoisty przejaw owego fenomenu historycznego, wyżej wspomnianego, to trzeba powiedzieć, że zachodzą między nimi różnice wcale znaczne.

Najodrębniej i najdziwniej złożyły się owe warunki przy Reymontcie. Chłopak Balcerków wyszedł ze swej wsi Kobiełe Wielkie sposobem tam wypraktykowanym i najzwyczajniejszym: poszedł do miasta do rzemiosła. Dopiero jako wyzwolony terminator krawiecki uczuł i uprzytomnił w sobie nakaz wewnętrzny, który go w rezultacie wyrwał z obranego środowiska i po różnych poniewierkach ostatecznie postawił wśród czołowych powieściopisarzy polskich. Stało się to sposobem nie przewidzianym, nie przygotowanym, jak gdyby cudownym. Zjawisko było jedyne w swym rodzaju, odosobnione i niepowtarzalne. Niczego ono poza zadziwiającym, nie częstym w takiej sile, wybuchem talentu nie reprezentuje.

Inaczej, ale także swoiście było z Kasprowiczem. Rodzinne jego Szymborze to właściwie nie wieś w pełnym słowa znaczeniu, to raczej w szerszym zasięgu przedmieście Inowrocławia. Ojciec Jana, nie mogąc wyżywić rodziny ze skąpego skrawka ziemi, szukał niewątpliwie pracy w mieście czy w nieoddalnej cukrowni. Był w tym wysiłek finansowy, ale nie było właściwie nic nadzwyczajnego, nic między sąsiadami niebywałego, że syna, skoro odbył w mieście szkołę powszechną, zdecydował się zostawić w tymże mieście na wyższą naukę. A i dla syna w jego trybie bytowania nie było to niczym przełomowym, że dzień w dzień, słoła nie słoła, mróz nie mróz, musiał z domu do szkoły i ze szkoły do domu odrabiać swe zwyczajne 5 kilometrów drogi. Zawsze zostawał na swym rodzinnym pnium. Z domu w pełnym znaczeniu wyszedł dopiero u schyłku gimnazjum, zdobywając w Poznaniu z zawziętością iście chłopską coraz to wymykający mu się patent maturyczny.

W jednym więc i w drugim wypadku nie mamy do czynienia właściwie z jakimś przejawem, który by świadczył, który by był wyrazem tego, że w środowisku macierzystym dokonuje się jakieś znaczniejsze przeistoczenie strukturalne. Nie mamy wrażenia, jakoby tych chłopców wyrwał ze wsi wichur, który zapowiada decydującą zmianę atmosferyczną.

Inaczej jest w wypadku Orkana. Jego awans kulturalny jest skutkiem i znakiem zarazem szerokiego procesu natury społecznej, który by można określić jako spontaniczne przemieszczanie się synów chłopskich poprzez bramę szkoły średniej z jednego stanu w drugi.

Procesowi temu warto się przyjrzeć bliżej, bo stanowi on jedno z donioślejszych zjawisk w przemianach naszego życia narodowego. Przyjrzymy mu się zatem, rozpatrując go na tym naturalnie terenie, który jest nam potrzebny ze względu na bohatera opowieści, ściśle mówiąc, na terenie zachodniej części dawnego zaboru austriackiego.

2.

Stając przed takim zjawiskiem, jak ów exodus — nieustanny i coraz liczniejszy — synów chłopskich ze wsi przez szkołę, stawiamy przyrodzonym prawem umysłu ludzkiego pierwsze pytanie: dlaczego? Co za przyczyna sprawiła, że w ostatniej ćwierci w. XIX sale szkolne galicyjskich gimnazjów prowincjonalnych, a niebawem i stołecznych, zaroily się od chłopaków wiejskich, zawzięcie i z różnym szczęściem szturmujących do trudnych okopów wiedzy? Przyczyna była życiowa, konieczna i nieodparta, a nazywała się: ciasnota w chałupie, nazywała się: brak ziemi.

Przyczyna ta szczególnie jaskrawo występowała na południowych i południowo-zachodnich ziemiach Małopolski. Intensywna gospodarka osadnicza panów małopolskich jeszcze w średniowieczu wytrzebiła tu puszcze leśne i obróciła na użytek rolny każdy zdatniejszy kawałek ziemi. Stąd wyszło, że ziemie te jeszcze za Rzeczypospolitej zaludniły się wcale gęsto, a co za tym idzie, że gospodarstwa skarłowaciały, że wśród chłopów wcześniej wytwarzać się zaczęła większość małorolnych. Jeśli zawierzyć cyfrom statystycznym Szczepanowskiego, w pierwszych dziesiątkach lat drugiej połowy ubiegłego stulecia przypadało w Galicji na 1 km² aż 80 mieszkańców, w tym ludności rolniczej 60 (w Galicji zachodniej jeszcze więcej), podczas kiedy w zaborze rosyjskim było ich 63 (38), a w sąsiednich Węgrzech 50 (33), tzn. niemal o połowę mniej¹⁾. Ileż jaskrawiej wyjdzie ta sprawa, jeśli wziąć pod uwagę, że z tego kilometra ziemi przypadała jakaś 1/4, choćby 1/5 na grunta dwor-

¹⁾ St. Szczepanowski, *Nędza Galicji*, Lwów 1888, wyd. 2. tenże autor stwierdza, że w r. 1860 Galicja miała tyleż ludności co całe Królestwo Pol.

skie — uprawiane, ale nie zamieszkałe; stan zagęszczenia we włości był więc odpowiednio wyższy. Tak w przybliżeniu zastał te stosunki rok 1848, rok uwłaszczenia, i od razu je zdecydowanie zmienił, nie na lepsze bynajmniej.

Mocą tego aktu każdy chłop został samoistnym właścicielem kawałka ziemi, ale tego tylko, który użytkował za pańszczyzny. W ten sposób od razu, już na progu samoistności przydział ziemi dla gospodarstw chłopskich był bardzo skąpy. Nazajutrz po uwłaszczeniu chłop galicyjski ujrzał się wolnym od ciężarów darmowej robocizny, ale obciążonym indemnizacją i... chudobnym, małorolnym w ogromnej swej większości.

Nie jestem w stanie zilustrować szczegółowo ówczesnych stosunków rolnych na przykładzie rodzinnej Orkana Poręby Wielkiej, ale sądzę, że niewiele odbiegnę od tamtej rzeczywistości, gdy za ilustrację użyję wsi swej rodzinnej, położonej nie tak znów odlegle od Nowotarszczyzny, w ziemi sanockiej. Przyjąć wolno, że przekrój społeczny wsi, że stosunki tu i tam były bliźniaczo podobne, z tym chyba zastrzeżeniem, że w Porębie ze względu na niższy gatunek gleby — na pewno nie lepsze.

Kombornia w r. 1848 miała obszaru rolnego 2080 mórg, z czego 350 przypadało dworowi a 1730 chłopom. Włość obejmowała gospodarstw 210, nierównej zasobności w ziemię. Kmieć najbogatszy (był taki jeden na całą wieś) gospodarował na 38 morgach. Gospodarzy pełnorolnych, „rolanów”, jak się ich tam potocznie nazywało — „Ganzbauer”, jak ich mianowały akta rządowe austriackie, tzn. posiadających ponad 20 mórg, było 22, a więc niespełna 10%. Gospodarzy półrolnych, tzn. obsługujących ziemi 10—20 mórg, było 57, czyli około 30%, reszta, 126 zagród miało od 10 mórg w dół, w czym przeszło połowa, 67, tzn. dobrze ponad 30%, było chałupników, mających morgę lub jeszcze mniej. Przeciętnie na gospodarstwo w Komborni przypadało tedy 8,5 mórg ²⁾).

Wniosek stąd prosty, że przeciętna wieś małopolska — a za taką Kombornia słusznie może uchodzić — już w momencie uwłaszczenia miała w większości swej charakter małorolny, ze znacznym odsetkiem chałupników i bezrolnych komorników. Z takim to posagiem wcho-

²⁾ Na podstawie zestawień w Arch. Państw. we Lwowie: „Operat uwłaszczeniowy. Cyrkuł sanocki, nr 55: Kombornia” Zestawienie datowane d. 31. XII. 1851.

dziła ona w życie samodzielne. Posag ten w Porębie W. nie był na pewno sutszy, a według wszelkiego prawdopodobieństwa jeszcze szczuplejszy.

Otóż tak ukształtowana gospodarczo wieś na samym progu swej samoistności stanęła przed groźnym a nieodpartym zagadnieniem: co dalej? Wieś, jak wiadomo, jest środowiskiem o znacznym odsetku przyrostu naturalnego. Ludzi na niej przybywa skoro, ale ziemi nie. Co było poczynać z dziećmi, kiedy dorosły? W okresie przed uwłaszczeniem było to poniekąd zmartwieniem dziedzica; zaradzał potrzebie już to rozszerzając zapas ziemi rolnej drogą karczunku obszarów zalesionych, już też przesiedlając nadmiar ludności do innych swych dóbr mniej zagęszczonych. Teraz te ujścia zostały zamknięte.

Z początku radzono sobie najprościej: dzielono ziemię między synów, córki zaś zaspokajając spłatami. Nic dziwnego, że gospodarstwa karłowaciały coraz bardziej. Co pokolenie — średnia posiadłości chłopskiej musiała spadać co najmniej o połowę, a zapewne więcej. Tak można było zaradzać potrzebie po jakiś rok 1870. Dalej i ta droga się kończyła — jak to Orkan obrazowo miał określić — urwiskiem. Zapas ziemi do podziału wyczerpywał się szybko i zjawilo się widmo nędzy. Musiało się więc szukać dróg życia innych.

Rosnącej biedzie na wsi zaradzać miała częściowo emigracja sił roboczych, najpierw sezonowa do krajów ościennych, potem okresowa, czy nawet stała — do Ameryki. Oczywiście był to tylko półśrodek, przeludnieniu wsi nie mógł on zaradzić. Przy słabym zaś uprzedzonym kraju odpływ chłopów do klasy robotniczej był także bardzo ograniczony. Toteż jako dalsza, wyraźnie się narzucająca, ukazała się droga emigracji zdolności, exodus synów chłopskich do miast, do kadr tzw. inteligencji pracującej.

Tu właśnie popyt na siłę roboczą okazał się podówczas bardzo znaczny. Popyt ten stwarzały osiągnięcia namiestnika Galicji A. Gołuchowskiego na drodze polonizacji kraju. Zaciągana w erze konstytucyjnej sieć szkolnictwa ludowego pilnie i przez czas dłuższy potrzebowała zastępów nauczycielstwa; polszczony system administracji „kraju koronnego” wymagał urzędników; szeregi niższego duchowieństwa, opuszczane przez żywiol szlachecki, oczekiwały uzupełnień. Pole pracy i awansu społecznego dla synów chłopskich otwierało się rozległe. Rozpowszechnianie zaś oświaty po wsiach dawało powoli

podniecie i stwarzało coraz większe szanse dla ubiegających się o kwalifikacje do tej nowej pracy. Zjawiali się więc po wsiach tu i ówdzie pierwsi śmiałkowie, co odważali się wysłać syna do gimnazjum, dali go uczyć — jak było przeważne pragnienie — „na księdza”, albo — Boże się pozał — „na pana”.

Nie od razu atoli sprawa ta ułożyła się należycie. Przy słabym zagęszczeniu szkolnictwa średniego (w r. 1870 było w Galicji gimnazjów 22, przy 6-milionowej ludności, tzn. 1 zakład przypadał na 270.000 mieszkańców a 1 uczeń na 630 mieszkańców³⁾), wysłanie dziecka ze wsi do odległego miasta, gdzie mu trzeba było zapewnić mieszkanie i utrzymanie, zaopatrzyć w ubranie i w książki, przedstawiało się rodzicom jako krok zuchwały. Nic dziwnego, że porywali się na to początkowo prawie wyłącznie kmiecie, tzn. mniej do tego życiowo zmuszeni, i to jeszcze przeważnie ze wsi leżących bliżej zasięgu wielkich miast. Do tego praktyka życiowa pokazała, że znaczny odsetek tych pierwszych chłopskich argonautów nie wytrzymywał ryzyka, załamywał się, nie dochodził do celu, a rozbitkowie ci mogli przykładem swym spłoszyć swych późniejszych naśladowców. Bądź co bądź zaraz ta pierwsza emisja synów chłopskich przyniosła w udanych wypadkach wcale tęgie pozycje: pierwszych biskupów z chłopskiego pnia: Pelczara, Wałęę, Bilczewskiego, wybitnych pedagogów, pracujących zarazem naukowo: J. Czubka, Sz. Matusiaka i in. Ale żeby pokazać spelną, jaki potencjał zdolności kryje się wśród biedoty chłopskiej, na to trzeba było jeszcze sporo czasu i różnych pomyślnych okoliczności.

Czas niósł ze sobą szybki rozwój omawianego tu zjawiska. Po bogatszych ubożsi także, zmuszeni życiem, coraz częściej odważali się na karkołomny eksperyment. W przedostatnim i ostatnim dziesiętku lat wieku ubiegłego było już faktem oczywistym, że gimnazja prowincjonalne w Galicji bywały w większości gimnazjami chłopskimi. Faktem również, że nie znaleźć by już wtedy wsi, z której kilku przynajmniej chłopców nie byłoby „w szkołach”.

A okoliczności? Tych trzeba było także niemało, ale w każdym poszczególnym wypadku innych.

Żeby chłopiec wiejski z Poręby, wsi zasuniętej głęboko między skaliste roztoki górcańskie, żeby syn rodu ubogiego, obezwanego kiedyś

³⁾ T. Pilat, Statystyka Galicji, t. IX (1913), s. 98.

dlatego właśnie wzgardliwym nazwiskiem Smaciarz, żeby, słowem, późniejszy Władysław Orkan dostał się do szkół do odległego Krakowa, żeby się dostał jako drugi z tego samego domu — na to prócz nurtu przemian społecznych trzeba było osobistych okoliczności rzeczywiście niezwykłych. Na te okoliczności złożyły się: warunki urodzenia, zawzięta determinacja matki i łagodna ustępliwość ojca.

3.

Także i w okolicach Poręby nie rodzice przyszłego pisarza byli pierwszymi, którzy się odważyli na zuchwalstwo wysłania synów do szkół. Trafili się w tej i w sąsiedniej parafii bogatsi gazdowie, którzy ich wyprzedzili. Ale rezultat był opłakany. Poprzednik — współparafianin wrócił nie douczony, ni do pracy na wsi, ni do świata, a skończył jako włóczęga i posługacz w karczmie. Jeżeli taki przykład i jeżeli przestrogi sąsiadów nie odstraszyły rodziców Orkana, przyczynił się do tego motyw niezwykły. Małżeństwo ich mianowicie było dłuższy czas bezdzietne. Starszy syn, Stanisław, przyszedł na świat dopiero po 8 latach pożycia, wymodlony, wyjednany postami, pielgrzymkami. Było intencją rodziców poświęcić go na służbę bożą, oddać do stanu duchownego. Możliwe to było oczywiście tylko poprzez szkołę. W Porębie szkoły ludowej jeszcze nie było, chłopiec poszedł na naukę do cystersów w nieodległym Szczyrzycu, a potem dalej. Gimnazjum w pobliżu również nie było: ani w Nowym Targu, ani tym mniej w Limanowej; trzeba się było zdecydować do Krakowa. Leżał daleko, ale od Niedźwiedzia, od Mszany ludzie jeździli tam na targi, można więc było okazją dosłać co synowi albo go odwiedzić.

Jednakowoż przy młodszym, Franciszku, wotum już w grę nie wchodziło. Przeciwnie, sytuacja domowa była przeciw niemu: po odejściu brata zostawał on w domu sam z siostrą do pomocy rodzicom w obsłudze gospodarstwa, gdzie był zdawało się konieczny. A przecież ostatecznie i on podążył za bratem, zawdzięczając to głównie twardej woli matki.

Matka, Katarzyna ze Smreczaków (ur. 1846), była kobietą w prostocie swej niepospolitą; potwierdzają to zgodnie wszyscy, którzy ją znali. Umysłem i charakterem górowała nad otoczeniem. Tak się też fortunnie złożyło, że za młodu doznała ona dość niespodzianego po-

derwania i pchnięcia ku podniesieniu się umysłowemu. Opowiedziała to sama po latach w drukowanym fragmencie wspomnień ⁴⁾).

Było to latem 1866 r. Smreczyńska była od niedawna mężatką, ale w małżeństwie związanym z rozsądku rodziców, nie dobrowolnym, tylko nakazanym, nie znalazła zadowolenia. Musiała to odczuwać tym żywiej, że od młodości miała dziwny głód lepszego ukształcenia i życia głębszego. W ciężkich warunkach, wcześniej przygnieciona pracą, całymi tygodniami pasąc bydło po polanach, zdana na swe samotne myśli, nie mogła owemu pędowi oczywiście zadośćuczynić. Poznawszy przy pomocy matki litery jęła się czytania. Czytała — jak powiada — „z wielką upartością”, ale jedyna przypadkowo dostępna jej książka, biblia, była lekturą dla młodej kobiety za mozolną. Z tego mozolenia się tym żywsze nachodziły na nią żale.

„Czułam się — opowiada — bardzo niezadowoloną z siebie i ze świata. Gniewałam się na wszystko, co mnie otaczało, jak gdyby wszystko winowate było, że nic nie umiem. Czułam wielki ugor w duszy, daleki, pusty i przestronny. Tak mi się zdawało, że niczym innym nie można go zapełnić tylko nauką. A tu pod tym względem wszystkie nadzieje prawie że stracone”.

Niepokój taki i niedosyt duchowy wiejskiej kobiety mógłby się zaspokoić częściowo nauką kościelną, kazaniem. Ale Smreczyńskiej z tej strony pomoc jakoś nie przyszła, owszem, żal jeszcze większy. Proboszcz miejscowy nie umiał widocznie trafić do duszy.

„Słuchałam kazań i nauk pilnie, ale pragnienia duszy mojej to nie zaspokoiło. I nieraz czułam wielki żal do księży, że oni są przecież uczeni, czemu nam też co więcej nie opowiadają!”

W takim była Smreczyńska usposobieniu, wygłodzona duchowo i rozżalona, kiedy ją doszła skądś wieść o dziwnym w dalszej okolicy księdzu, który skupia koło siebie lud prosty z dalekich nawet stron, uczy go i w osobliwy jakiś sposób umie trafiać do dusz, budzić je i podnosić. Zasłyszawsza o głośnym swego czasu proboszczu sidzińskim, ks. Blaszyńskim, i wraz nabrała chęci, by się do niego udać.

Nie było to sprawą łatwą dla młodej mężatki. Zwierzyła się z zamiaru matce i właśnie napotkała na niespodziewany opór; matka zabroniła stanowczo.

⁴⁾ „Zorza”, Lwów 1900: K. Smreczyńska, Pierwsze kroki.

„Oświadczyła mi, że obowiązek mój w domu siedzieć i nie łązić za niczym po świecie... A jeżeli jej nie posłucham, żebym się jej dzieckiem nie liczyła”.

Poniewczasie zrozumiała córka, o co chodzi.

„Mama się obawiała, żebym pod tym pozorem od męża nie uciekła, bo dobrze wiedziała, że mnie wydała z domu poniewolnie, i słusznie mogła myśleć, że mnie tam nic nie wiąże”.

Ale zawzięta kobieta uzyskała wtedy pozwolenie męża i postawiła na swoim.

Z Poręby do Sidziny było żmudnej drogi pieszej na cały dzień. Późnym wieczorem doszła pątniczka do wsi. Widząc kościół oświetlony, weszła i zdumiona zastała tam gromadę wiernych, otaczającą księdza, który mimo późnej pory udzielał nauk. Wmieszała się w tłum. Ksiądz dojrzał świeżo przybyłą, przywitał ją i wnet wciągnął w naukę. Tłumaczył właśnie ewangelię o miłosiernym Samarytaninie i o pomocy bliźnim.

— Co to bliźni? — rzucił pytanie nowo przybyłej. — Owca to bliźni?

„Zastanowiłam się nieco i odpowiedziałam: — Jak się trafi, to bliźni... jak ma czasem dwoje”.

Żalonym uśmiechem i spojrzeniem pokrył ksiądz tę niefortunną odpowiedź. Przytaczał jeszcze przykłady wzięte z duszpasterskiego doświadczenia, a mówiące o głębokim zaniedbaniu umysłowym i moralnym ludu. Zakończył z prawdziwym przejęciem:

„Mgłą mu zasłży oczy i dziwna boleść odbiła się na twarzy jego: — Jak w ciemności skrzesać iskry, jak zapalać ogniska, kiedy dusze popiołami jak ziemią nakryte? Kiedy daremno szukać rozróżnienia zła od dobrego... Wieki przejdą, a żaden cel im nie zaświeci. Biedna ojczyzno!

„Mówił smutnie i jakby do siebie. Ale wielu słuchającym głęboko w pamięć wryły się te słowa jego, bo czuli, że to jest mowa serca...”

Nauka skończyła się blisko północy. Jedna z parafianek wzięła nowo przybyłą z sobą na nocleg. Przyjęła ją jak najżyczliwiej; opowiedziała, że są tu ludzie od Tarnowa, Bochni, ze Spiszu, że napływają stale, by słuchać nauk i spowiadać się u ks. Blaszyńskiego. Smreczyńską uderzyła ta dobroć i serdeczność gospodarzy. Spozrzegła, że to

ludzie jacyś odmienni, jakby innego, większego kalibru. Nie ulegało wątpliwości, że jest to rezultatem owych udzielanych nauk.

Nazajutrz wczesnym rankiem udała się do kościoła i zastała księdza już przy pracy. Porwana jego naukami, choć się wybrała na jeden dzień, została w Sidzinie przez tydzień. Znalazła nareszcie nauczyciela.

„Zabaczyłam na razie o chałupie, o wszystkim. A później byłam już i na dużo przygotowana; choćby mię z domu wypędzili... niechta! Już mię ciekawość nieznanego pojęła za sobą”.

Z zalem opuszczała Sidzinę, niosąc zapal w sercu, dobrą pamięć ludzi, obdarzona przez księdza książką, „Żywotami Świętych” Skargi. Dzieło to miał ks. Blaszyński w wysokim uważaniu, nazywał je z prosta „siekierą najpodatniejszą do zabicia zła w sobie”, i chętnie je rozpowszechniał. Jakoż trafił dobrze. Na jego to najpewniej egzemplarzu uczyła Smreczyńska później czytać dzieci porębiańskie.

Było to jedyne jej zetknięcie się z ks. Blaszyńskim; w parę tygodni później już nie żył ^{4a)}. Wyniosła ona wszelako z owej pielgrzymki nie tylko książkę i dobre wspomnienie. Otrzymała stamtąd pchnięcie, co w świadomą dążność zmieniło nieokreślone jej dotychczasowe tęsknoty, mianowicie pragnienie oświaty i ukształcenia duchowego. Dołączyły się do tego później inne jeszcze współczynniki: pobyty w Krakowie, zetknięcie się z młodym, radykalnym ruchem ludowym, zwłaszcza z Wyslouchową. Wszystko to nadało jej kierunek.

Po dłuższym czasie przyszły dzieci: syn jeden, potem drugi. Światła matka od pierwszych lat żywiła ciche, zapamiętałe pragnienie: dać im możliwość zdobycia tej szerszej oświaty, która jej samej była odmówiona, ale której wysoką wartość odczuwała tak żywo i silnie.

Matka więc napierała na kształcenie synów, także młodszego, miłego jej Franka (ur. 27. XI. 1875 r.) A ojciec?

O ojcu niewiele się tu da powiedzieć. Wnosząc z tego, co się z opowiadań syna przełamało w pryzmacie Sewera i wyraziło w jego powieści „Matka”, tudzież z paru pośrednich napomknień w dziełach literackich samego Orkana, wnosić można, że był to człowiek cichy, w sobie zamknięty, pogodny i dobrotliwy, choć schorowany. Wyróżniało go bliskie zżycie się z przyrodą, z wszelką żywną leśną i powietrzną, pasja podpatrywania jej tajemnic i wielkie w tym zakresie doświadczenie. Przekazał on tę swoją inklinację starszemu synowi,

^{4a)} O ks. Blaszyńskim napisał obszerną monografię ks. dr J. Górka (Tarnów 1914).

który ją wniósł w naukę, ale winien mu niejedno i młodszy, który je znowu zużytkował w twórczości literackiej. Niechętnie podobno słuchał zrazu o zamiarach oddania młodszego do szkół; chciał mieć zeń wyrękę w gospodarstwie i dziedzica na gruncie. Ale cichy i zgodliwy — ustąpił. Tak się los młodszego syna zdecydował.

II. Ze szkoły

1.

Po dwuletnim pobycie w wyższych klasach szkoły ludowej w Szczurczu wpisał się i Franciszek, idąc wytorowanym śladem brata, w roku 1888 do I klasy Gimnazjum św. Jacka w Krakowie. Pomieszczenie uzyskał szczęśliwie w uniwersyteckiej Bursie Akademickiej, zostającej podówczas pod opieką prof. L. Malinowskiego. Żywności po trosze dosyłało z domu, a niejednokrotnie przynosiła ją na plecach matka, odrobiwszy piechotą około 70 km uciążliwej drogi.

O materialnych warunkach bytowania uczniowskiego z tego czasu pisał kolega i przyjaciel Orkana:

„Młodzież ta (chłopska) przechodzi podczas studiów prawdziwe męczarnie. Worek ziemniaków na rok, od czasu do czasu faska masła, 3 do 5 złr miesięcznie — to wszystko, co może posłać góral, i to bogatszy, z wielkim uszczerbkiem dla reszty rodzeństwa, na całe utrzymanie syna w szkołach. Większa część i bez takiego wsparcia obyc się musi”⁵⁾.

Ale młodego porębianina warunki te nie złamały; przetrzymywali je inni, przetrzymał i on.

Pierwszych kilka lat nauki przebiegło normalnie. Chłopiec z powodzeniem zmagał się z trudnościami, jakich nastroczało wdzieranie się w obcy mu dotąd świat kultury i nauki, uczniem był nie przednim, ale przeciętnie dobrym. Odrębność uzdolnień i skłonności indywidualnych nie od razu wystąpiła na jaw. Dopiero w klasach wyższych, V i VI, nauczyciel języka polskiego mógł stwierdzić, że uczeń wybija się na czoło. Koledzy stwierdzili to wcześniej, okazało się wnet, że Smaciarz jest poetą. Opowiadano sobie o szufladzie jego napchanej dzieśiatkami zeszytów zapelnionych wierszami.

Jakoż rzeczywiście zachodził tu osobliwszy wypadek wybuchu pasji twórczej. Młodociany poeta wnet się rozeznał w społecznej funkcji

⁵⁾ „Promień”, 1900 nr 2: A. Wirohoń (A. Galica), W. Orkan.

swego talentu. W wyższych będąc klasach odbijał on i wydawał hektografowane pisemka uczniowskie, organa widocznie jakichś grupiek literackich. Zachowało się kilka numerów pod buńczucznym tytułem „Grom” (wcześniejsze: „Nygus”). Jako redaktor podpisywał Xawer (także z asnykowska X-r), co było owoczesnym pseudonimem Smaciarza. Niebawem przybierze on swój właściwy: Władysław Orkan; w latach 1895 i nast. zasypuje karty krakowskiego tygodnika satyrycznego i literackiego „Diabeł” (red. K. Bartoszewicz) wierszami tak podpisywanymi.

Twory poetyckie Xawera pokazują, że autor ich nie sili się na wymyślność wyrazu, artystycznie są one byle jakie, odsłaniają wszelako symptomatyczną jego postawę wobec świata. Młody chłopak wiejski, rozejrzawszy się w swym otoczeniu, przybrał postawę odporną wobec rzeczywistości, którą był zastał. Wśród zalewu jego wierszy młodocianych dominują (poza nieuniknionymi erotycznymi) przede wszystkim satyryczne, pulsujące drwiną i buntem. Przybysz z Gorców nie myślał zachowywać się cicho i potulnie, miał się za narzędzie burzy. Nazwie się — Orkanem.

Ta postawa buntu połączona z pasją oddziaływania społecznego związała go z owoczesnym życiem ideowo politycznym młodzieży. Orkan został członkiem tajnej organizacji patriotycznej, która podówczas obejmowała starszą młodzież szkolną wszystkich trzech zaborów. Tutaj, na zakonspirowanych zebraniach kółka koleżeńkiego użył chłopiec to, czego mu dom oczywiście dać nie mógł: uświadomienie społeczne i wysoką temperaturę uczuć patriotycznych. Temperaturę zdobywało się w ogniu wielkiej poezji wieszczej, w naszym wypadku poezji Słowackiego przede wszystkim. Warto tu znowu przytoczyć świadectwo kolegi:

„Orkan z lubością szczególną wybierał wiersze Słowackiego, za którego tomikami szperał po antykwarniach. Do „Kordiana” wszelako gorzał największym upodobaniem. Scenę spisku w podziemiach katedry wszyscy umieliśmy za jego sprawą na pamięć, po czym pod jego reżyserią odgrywaliśmy ją w ciemnym mieszkaniu kolegi W. Salawy przy ul. Dominikańskiej. Orkan grał oczywiście rolę Kordiana”⁶⁾.

⁶⁾ „Il. Kurier Codz.” 1932 nr 294: K. Sosnowski, Konspiratorzy krakowscy sprzed 40 lat.

W tym tajnym zespole koleżeńskim Orkan przeszedł pierwszy ferment ideowy. Organizacja, długi czas wyłącznie niepodległościowa, ponadpartyjna, właśnie podówczas, około r. 1895, poczęła się w Krakowie różniczkować. E. Bobrowski, jeden z kierowników grupy gimnazjalnej, odchylił się w stronę socjalizmu. Orkan, należący do jego dziesiątki, związany z nim przyjaźnią, dołączył się do secesji. Już w atmosferze nowego środowiska pisze wiersz „Słońce”, swą „odę do młodości”, dytyramb ideowy, hymn na cześć Słońca - Ludzkości ⁷⁾.

Jesteśmy w możności poznać szczegółowiej owoczesny sąd Orkana o szkole galicyjskiej i o jej oddziaływaniu na młodzież. Zaznajomiwszy się niebawem w Szwajcarii z T. T. Jeżem Orkan przesłał do redagowanego przezeń „Wolnego Słowa Polskiego” artykuł wyłącznie tej sprawie poświęcony. Pociągnięto tam tę szkołę przed surowy trybunał. Ostre słowami uderza autor w ducha serwilizmu i ugody, w skostniałą rutynę panującą w podręcznikach i w całym systemie nauczania. Ale zarazem piętnuje też bezideowość, marazm i kairerowiczostwo przygniatające młodzież zbiedniałą, zastrachaną, bezmyślną i bezskrzydłą. Gorzkie na jej widok nachodzą go refleksje:

„Cóż to będzie? — wołają myśli rozpacznie. Co będzie? Za lat dziesięć, dwadzieścia lub więcej te same manekiny tak samo jak dziś do szkoły, na lekcje lub inne zajęcia — będą chodziły do sądu, kasy, kancelarii, urzędu podatkowego itd., z tą różnicą, że się więcej pochylą ku ziemi, ruchy ich staną się bardziej nerwowymi, a oczy doznaku zagasną... I każda z tych istot będzie mniej lub więcej dobrze funkcjonującym kółkiem w ogromnej maszynie ustroju całego państwa”.

Promień nadziei wśród tego pomrocza wynika jedynie z drobnych komórek ideowego przeciwdziałania samej młodzieży za sprawą co gorętszych jednostek, właśnie z zarzewia tajnych organizacji.

„Byłoby źle i jeszcze gorzej, gdyby nie było jednostek silniejszych, które się same wylamują z tego zabójczego systemu, wcześniej targając się omotywuującą ich ducha i rozwijają się samodzielnie, oddziałując silnie na ogół apatycznej młodzieży. Energia tych wolnych, niezależnych duchów przeciwważy brutalny nacisk rządu i zapędy „na-

⁷⁾ „Tydzień”, 1900 nr 5: Wł. Orkan, Słońce; wiersz z maja 1897 r.

szych" gorliwszych od rządu opiekunów, — uderza w apatię, rozdmuchuje iskry pod popiołem i budzi... do działania wolną myśl" ⁸⁾).

Artykuł kończy się pytańnikiem: kto kogo w tym zmaganiu się o dusze młodzieży przemoże, co zwycięży: siła masowego pryncypu, czy też jednostkowego odrzutu. Ten znak zapytania ciążyć będzie długo nad troską społeczną poety-buntownika.

2.

Jeżelibyśmy teraz chcieli określić bliżej ową młodzieńczą postawę buntu Orkana jako postawę poetycką, to wyraz jej dosyć szeroki znajdziemy w młodocianym zbiorze „dumań” pod tytułem „Nad grobem Matki” (1896). Jest to cykl 12 elegij z prologiem, ujętych w wiersze dziesięciozłotkowe, swobodnie rymowane: cykl cmentarny. Wiązanie kompozycyjne całości daje koncepcja poety snującego medytacje wśród mogił, nad grobem Ojczyzny w noc zaduszną. Sam poeta stylizowany został ni to na lirnika, ni to na wieszczę, żywo odczuwającego nieszczęsne położenie narodu. Jak widzimy, kostium całości udrapowany został romantycznie. Ale spod stylizacji wybliska tam raz po raz rumieniec życia.

Medytacje przechodzą w ton ostrych, gniewem i sarkazmem przepełnionych inwektyw na współczesność polską, w różnych ujęciach. Inwektywy zwracają się przeciw szlachcie, księżom, także przeciwko górnym warstwom inteligencji, przeciw „historycznej szkole krakowskiej”, wreszcie przeciwko rówieśnemu pokoleniu młodzieży. Temu w szczególności poeta zarzuca, że jest pokoleniem „mogilników”, wpatrzone tylko w przeszłość umarłą a nieskwapliwe do usunięcia upiórów, które po tej przeszłości włóczą się wśród żywych: Niezgodą, Pychą, Podłością. Młoda generacja, czarem grobów ogarnięta, nie rozumie, że dopóki snują się owe upiory przeszłości, o jasnej przyszłości myśleć nieposob, i że z nimi to przede wszystkim podjąć należy walkę. Konieczność tej walki widzi poeta sam jeden, odosobniony; sojuszników spodziewa się dopiero spośród upośledzonych i ciemnych pasierbów ojczyzny, spośród ludu wiejskiego. Na razie jest sam, on jeden jasno widzący, porażony zgrozą, sam jeden wśród urze-

⁸⁾ „Wolne Polskie Słowo”, Zurych-Paryż 1899, 20. IV: W. O., Kilka uwag o naszej młodzieży szkolnej.

czonych, coś jak niebawem Jasiek w „Weselu”, usiłujący strząsnąć czar i rozerwać uroczny pochód mogiłek.

Postawa młodego poety znamienita jest pod różnorakim względem. Najbardziej uderzyć w niej musi miara obudzonego poczucia odpowiedzialności. Niedawny pastuszek porębiański, troskami nie wychodzący wiele poza powierzoną mu chudobę i poza sprawy wsi, skoro tylko wyszedł poza progi szkoły, skoro się rozejrzał w tej wytwórni pracowników kultury narodowej, wnet uświadomił sobie, że gmach to jego, że nie jest mu obojętny, że ma w nim być współgospodarzem, że jest współodpowiedzialny za typ formującej się tu twórczości i kultury, za drogi rozwojowe narodu, że w tym gospodarstwie nie jest on bynajmniej przygarniętym podrzutkiem, ale synem i prawnym dziedzicem. Najwcześniejsze jego wiersze pomieszczane w „Diable” wykazują dominujący nurt wzruszenia narodowego, nawiązują do rocznic: stulecia Raclawic, stulecia trzeciego rozbioru Polski itp. i stale wysuwają lud wiejski jako spadkobiercę, który tamte klęski odrobi.

Najwyraźniej niósł Orkan w sobie duży potencjalny ładunek uspołecznienia, silnie wezbrane uczucie patriotyczne, żywą gotowość przejęcia legatu dziejowego i zaprowadzenia w nim nowego porządku. Młode pokolenie chłopskie, zaraz drugie po uwłaszczeniu, dochodziło najwyraźniej do pełnoletności obywatelskiej, podejmując dziedzictwo gotowe było cieszyć się jego wielkością, martwić się nieomogami i niepokoić przyszłością.

Jak więc formować się zaczyna ta Orkanowa świadomość odpowiedzialności? W jakiej postawie chce ją podjąć młody dziedzic spuścizny? Jak ją sobie uprzytomnia w wyrazie poetyckim?

Jak widzieliśmy z wypowiedzi, młody poeta przejął dziedzictwo z dośrodkowaniem inwentarza, nie wyszedł on zrazu poza formację romantycznego indywidualizmu. Przybrał on za swoją tę postawę psychiczną, jaką wyrobiło pierwsze pokolenie porozbiorowe. Wyraziło się to w treści zarówno jak nawet w formie jego utworu. Jakoż frazeologia wierszy jego podzwiewa co chwila echemi Mickiewicza („Oda”), Słowackiego, a z młodszych jak gdyby Berwińskiego. Echa to ideowe tylko, bo w sztuce wyrazu młody poeta — jak się już rzekło — o wiele nie dociąga się do mistrzów. Zbiorek charakterystyczny jest jako zaczyn ideowy, natomiast jako osiągnięcie artystyczne razi spłowiałością wyrazu.

Z postawą tą będzie się młody autor w sobie mocował, przez przeciwstawienie się jej usiłując uprzytomnić sobie i wytyczyć odrębne powinności poetyckie i życiowe. Pójdą one w kierunku uspołecznienia i upolitycznienia zadań poezji i poety. Przeciwno wieszczę — opowie się on w imię poezji tyrtejskiej, pozywającej do walki i zwycięstwa.

To właśnie przeciwstawienie się dało wiązanie kompozycyjne wierszowi programowemu pt. „Mogilnikom”⁹⁾. Dawszy tam świadectwo nieprześcignionej wielkości artystycznej trzech wielkich poetów romantycznych, wyodrębnia on przecież swoje własne stanowisko:

*Zwątpiłeś w pieśń i w pieśni głębszy ton,
Boisz się ozwać przy śpiewie słowików.
Olśnił cię trójcy kryształowy ton
I grasz cmentarne dumki mogilników. —*

*A jednak musisz, musisz naprzód iść,
Gdzie los przeznaczył, — tam, na posterunek!
I nie oglądniesz się na lauru liść,
Ni na nęcący marnych pochwał trunek...*

*Nie możesz wątpić, choć tytanów trud
Pocznie ci myśli kamieniem przywalać...
Wszak oni tylko o p i e w a ł i lud,
A ty go musisz poznać i zapalać!*

*Tobie się trójcy nie lękać, lecz biec
W ciemnie, co tłumom chcą przebłytki zatrzeć,
I na rozstajnych drogach krzyżem lec,
Jak drogowskazy — myślą w przyszłość patrzeć!...*

A więc poezja-pobudka i poezja-wskazanie, poezja organizująca duchowo masy ludowe do walki — oto, zdaniem autora, właściwy głos nadchodzącego pokolenia.

3.

Romantyczna postawa Orkana-twórcy ulec miała niebawem i skądinąd — jeśli nie ostatecznemu załamaniu, to charakterystycznemu rozdwojeniu, z przyczyn na pozór zewnętrznych.

Cykl „Nad grobem Matki” powstał właściwie jeszcze na ławie szkolnej w r. 1895; dwudziestoletni poeta był podówczas uczniem

⁹⁾ „Promień”, 1900 nr 5; wiersz wysłany redakcji 17. IV. 1900 r.

klasy VII. Poza tę klasę studia jego szkolne nie miały się już posunąć. Orkan, wszedłszy w okres dojrzałości fizycznej, uprzytomniwszy sobie, że właściwe jego powołanie jest w dziedzinie twórczości literackiej, — w szkole, by tak rzec, zwilczył się. Nauką wzgardził, na lekcje nie przychodził (opuścił w ciągu roku 260 godzin nie usprawiedliwionych), mieszkanie w Bursie, a więc pod kuratelą, porzucił. Uczeń dotąd dobry, teraz w ocenie postępów na półrocze otrzymał stopień trzeci, tzn. najgorszy, z końcem zaś roku stopień drugi, a więc nie przeszedł do klasy VIII. Nawet z języka polskiego, gdzie dotąd celował, uzyskał notę tylko dostateczną. Gospodarz klasy, wręczając nieszczęsne świadectwo, miał mu powiedzieć:

— No, Smaciarz — proszę ja kogo — teraz ty napisz elegię...

Niby że teraz zostaje mu już tylko pisarstwo i pisarstwo smutne.

Dziwnym obrotem sprawy życzenie pedagoga niewiele chybiło. Dziwność zaś obrotu ujawniła się niebawem w domu, w Porębie.

Jeżeliśmy wspominali poprzednio o niepospolitej umysłowości i wielkoduszności matki Orkana, to teraz właśnie spotykamy się z dowodem tego najoczywistszym, a zarazem najbardziej niezwykłym.

Od czasu powieści Sewera pamięta się o matce Orkana, że nie cofała się przed dwudniową drogą pieszą do synów do Krakowa, by im donieść żywności. Ale matek takich, nie uchylających się przed najcięższym trudem w podobnych okolicznościach, było przedtem i potem po wsiach naszych wcale sporo. Takich matek, co żywiły ambicje, by synom swym umożliwić zdobycie wyższej nauki i osiągnięcie tą drogą awansu społecznego, można już było podówczas liczyć na setki, a niebawem na tysiące. Wiedział o tym Sewer, zaznaczający w zamknięciu swej powieści, że chciał uwydatnić ich zasługę, tych matek-włóścianek, które porównywał do pierwotnych kapłanek i prorokiń, podtrzymujących „znicz miłości i światła”¹⁰⁾. Matka jednak, która widząc, że syn zawiódł jej najwyższe nadzieje, że nie tylko nie pójdzie na księdza, lecz nawet nauk nie dokończy, która widząc to nie dość że oszczędziła mu wymówek, ale przyjęła go z powrotem do domu, a w jego zamyśle przewodnim jeszcze go nawet utwierdziła — taka matka-chłopka była chyba tylko jedna: Smreczyńska.

Kiedy syn jej odsłonił swe tajne pragnienie, że chce zostać poetą, literatem, matka uwierzyła w jego talent i w uprawie tego talentu

¹⁰⁾ „Czas”. 1897 nr 257: Sewer, List do redakcji.

wydatnio go wspomagała, można powiedzieć: nim pokierowała. Nie przesadził Orkan ani odrobinę, mówiąc podczas swego jubileuszu w 1928 r., że jako twórca najwięcej zawdzięcza matce. Tak było rzeczywiście.

Po nieudanym krakowskim wyniku nauki Orkan został w domu i dał się porwać nadchodzącej nań lawinie impulsów twórczych. Były one zgoła odmienne od niedawnych miejskich, książkowych, literackich, zarazem otwierały nowy widok ludzi i świata. Przed młodym literatem stanęła obcesem wieś dnia powszechnego jako materia twórcza, istna kopalnia tematów. Wolno w tym widzieć zasługę matki: ona otwierała te okna. Sama uważna zbieraczka wątków narracyjnych wokół siebie, doskonała narratorka, a z czasem i autorka — odsłoniła synowi wędrującemu po krainach wyobraźni, że świat wsi sam w sobie jest dla literata światem bogatym i pociągającym. *Und wo ihrs packt, da ists interessant!*

Stąd też nasunął się wnet sposób ujęcia tego świata.

Orkan w Krakowie miał się przede wszystkim za liryka, w niemniejszym stopniu za dramaturga. Że mógłby być tęgim prozaikiem, tego jeszcze nie brał w rachubę. Nowelistą, powieściopisarzem zrobiła go wieś. Tamtych form wypowiedzania się nie zarzucił, ale wnet uświadomił sobie, że są to dlań drogi boczne, obok tej — głównej. Na niej też dostrzegł on centralne zadanie swego życia.

Na czym się ono zasadzało?

Beletrysta o tematyce wiejskiej nie był już podówczas u nas rzadkością, tematy ludowe opracowywali więksi i mniejsi. Jeśliby nawet pominąć wielką trójkę powieściopisarzy, widnieją tu nazwiska Dygańskiego, Sewera, pomniejszych: Karczewskiego, Zechentera, a nawet różnych trzeciorzędnych. Jakże tu było wśród nich ujawnić własną, odrębną twarz? Próbował Orkan zrazu kroków po śladach wydeptanych. Zaczynał od obrazków etnograficznych, obrzędowych, mających odbyć w redakcjach dzienników do numerów gwiazdkowych czy wielkanocnych („Wilija”, „Na Godnie Święta” i in.). Próbował się też w sentymentalnych, na tanie wzruszenie obliczonych powiastkach (Sierota „na dochowku” i in.). Własną swą drogę atoli znalazł dopiero w surowym realizmie, a własny swój koloryt — w omroczu. I właśnie to wejście na należytą drogę wierności prawdzie zawdzięcza Orkan znowu sugestii matki. Opowiedział on Sewerowi, co ten z kolei powtórzył

w „Matce”, jak to ona była mądrą korektorką wiersza „Przygrywka”, jak usuwała wytarte klisze literackie na rzecz ujęć zgodnych z rzeczywistością. Ona to poddawała synowi należyty ton pisarstwa, a wiemy, że i treściowo bywała inspiratorką jego opowiadań.

Tak się stało, że Orkan-twórca nie poszedł w kierunku barwnej rodzajowości, nie wyszedł na stylizatora „ludowego”, ale swą opowieść o wsi przepełnił własną szczerą uczuciowością, przesylił ją wiernie dostrzeżoną, odrębną, z kamienistego gruntu wydobytą problematyką. Mógł powiedzieć słusznie, przedstawiając się publiczności czytającej:

*...do ludu nie schodzę jak z łaski,
Ja w nim samym szukam tylko — Prawdy.*

W tej tonacji poczynając Orkan-prozaik od pierwszych zaraz wystąpięń nabierać począł szerokiego oddechu epickiego.

III. Z moderny krakowskiej

1.

Prócz wielkiej poezji romantycznej, prócz surowej atmosfery życia wiejskiego, odsłoniętego ręką matki, był jeszcze trzeci współczynnik, który formował oblicze literackie młodego Orkana, mianowicie atmosfera środowiska krakowskiego, burza i napór kształtującego się tam modernizmu. Młody, pulsujący talentem adept literatury zetknął się z tym żywym procesem fermentu i poddał mu się na czas niejaki. Sąsiad Orkana, kolega po piórze i „dobry towarzysz, który wiedział wszystkie sprawy jego”, takie nam o tym zostawił świadectwo: „... bierze żywy udział w życiu literackim. Przeplątał nawet przez powódź krakowskiego modernizmu, w której jednakże nie utonął”¹¹⁾.

Świadectwo ważne przez to, że wczesne (1900 r.). O poddaniu się Orkana urokom moderny mówi ono wyraźnie, ale mówi jako o fakcie skończonym i minionym. Według tego nie byłaby to „powódź” długotrwała, a z tonu podania wnosić wolno, że Orkan wyszedł z niej zraniony. Zobaczymy, czy to jest ze wszystkim ściśle.

Prawie bezpośrednio z porzuconej ławy szkolnej wkroczył Orkan w zastępy literackie. W r. 1896 wydał tomik wierszy, a od 1897 po-

¹¹⁾ Z cytowanego tu już artykułu A. Wirchonia (Galicy) w lwowskim „Promieniu” 1900 nr 2.

czynając ukazywać się będą jego utwory w periodykach: w warszawskim „Przeglądzie Tygodniowym”, w „Tygodniku Ilustrowanym”, w lwowskim „Słowie Polskim”. Miał już drogę przetorowaną, gdy wchodził w stosunki z krakowską Młodą Polską. Stosunki te zawiązały się na dobre 1897 r., przypuszczać należy: za przyczynieniem się Sewera, który z opowiadań Orkana poznawszy dzieje jego młodości w tym zaraz roku rozślawił je swą „Matką”. Powieść ta otoczyła młodego porębianina aurą niezwyklej poetyckości i otwarła mu bramy w literaturę.

Rok 1897 wyznacza poniekąd przednią granicę zjawiska modernizmu. Wtedy to na dobre zaczęła się ta, o której Wyspiański mówi, „w całej naturze polskiej przemiana”. Umarł Kornel Ujejski, jeden z ostatnich weteranów poezji romantycznej; umarł Asnyk, poeta pokolenia postyczniowego, zamykała się przeszłość literacka. Zostawał na placu K. Tetmajer, od r. 1894 (2. seria „Poezyj”) czołowa pozycja młodej generacji, zostawał tejeż rangi Kasprówicz, zostawała falanga młodych, skupiająca się koło podniesionego właśnie sztandaru „Życia” (1897), koło „Młodości” (1898), koło „Dziennika Krakowskiego” (1897). Gromada schodziła się, jak przystało, po kawiarniach, dysputując, kłócąc się, wieszając na sobie nawzajem psy, ale w tej burzliwej wielości tworząc przecież niejaką jedność.

Miedzy młodymi nie w ostatnim rzędzie stanął Orkan. Nie bardzo przystawał on zresztą do towarzystwa, przychodził z tak odmiennego świata. Jeden z kolegów od stolika kawiarnianego zanotował (zresztą impertynencko) wrażenie, jakie w tej gromadce zrobił młody góralliterat:

„Ta chuda twarz o piekielnie czarnych oczach i zaciętych wargach góralskiego wyrostka, płonącego buntem, rzucającego burżuazyjnej krytyce i czytającemu filisterstwu już drugą powieść i drugi dramat z życia wynędzniałego ludu. Genialna bestia a głupia, pseudonimująca się symbolicznie Huraganem”.

Już z tego świadectwa A. Nowaczyńskiego można się po trosze zorientować, że zawiązany świeżo stosunek młodego terminatora literackiego z krakowskim klanem młodopolskim nie należał do zwyczajnych, i na czym ta niezwyyczajność polegała. Moderniści krakowscy

wyczuli w Orkanie siłę nową, ale zarazem pewną jego w tym gronie obcość a nawet nierównowartościowość. „Głupi”. Zapewne, między tymi inteligentami miejskimi, obytymi po świecie, po Wiedniach i Monachiach, nieudolny b. uczeń kl. VII nie wybijał się od razu może inteligencją, zwłaszcza tą migotliwą, fosforyzującą, która błyska i imponuje w dyspucie, w polemice. On miał ją dopiero zdobywać. Ta różnica była ostatecznie do usunięcia. Jeżeli stosunek z moderną skończył się rychłym zawodem i rozwodem, musiały być po temu przyczyny inne, i to raczej przyczyny ze strony Orkana a nie towarzystwa.

Zanim się o nich powie, wziąć by tę sprawę z drugiej strony.

Co Orkan modernizmowi zawdzięcza? Co od niego wziął?

Jedno musi uderzyć przede wszystkim, gdy się czyta utwory poetyckie Orkana w „Życiu”, pamiętając dawniejsze, choćby z „Diabła” czy z tomiku: wszędzie tu widać ogromne usprawnienie wyrazu artystycznego, umiejętność konstrukcji i zwięzłość. W nowym gronie, wśród bądź co bądź elity literackiej uprzytomnił sobie młody literat, że Sztuka to także i... sztuka, to nie spontaniczny wylew, ale także rozmyśl, i wyłączenie, i dobór, i budowa. Pierwsze świadectwo o świadomej pracy w tym kierunku spotykamy już w r. 1899. Donosząc Bobrowskiemu d. 15. IX., że tworzy wielką swą kompozycję liryczną „Z tej smutnej ziemi”, zaznacza: „Pierwszy raz zwracam uwagę i na formę wiersza”. Ta czujność artystyczna, dbała o formę wyrazu, już go odtąd nie odejdzie. Orkan nauczył się trudnej sztuki kondensacji i rzeźby słowa. Sam zdawał sobie sprawę z tego osiągnięcia. W późniejszej fazie twórczości miał się za klasyka i tak o tym raz powiedział:

„Każdy mój utwór musi przejść przez pryzmat myśli; nie może być tak lub inaczej, lecz tylko tak właśnie, w tej formie, jaka jest. Dlatego we mnie ten klasycyzm. Jestem surowym krytykiem swej twórczości i dążę do skrótów. Tworzyłem rozlewnie i bezkrytycznie bardzo młodo. Wystarczyło sięść i pisać: dramat czy komedię — wszystko jedno. A dziś...”¹²⁾

Otóż to byłaby właśnie jedna zdobycz, którą Orkan zawdzięczał współzawodnictwu w gronie młodopolskim. Wdrożył się w surową etykę pisarską.

¹²⁾ Z niedrukowanego pamiętnika p. Ch.

Drugą było ogólne podniesienie kultury literackiej. Koledzy, bywalcy po świecie, otwierali mu oczy na nowe prądy literackie, nowo wyblaskujące czołowe indywidualności twórcze, nowe słońca, czy... meteory. W tym to gronie osłuchał się z takimi terminami, jak impresjonizm, symbolizm, jak secesja, dekadentyzm; tutaj zasłyszał zapewne po raz pierwszy termin „felibryzm” i wieść o literackim ruchu regionalnym Prowansji, i sam też otrzymał miano „Mistrala naszego Podkarpacia”¹³⁾.

Z owych słońc nowo rozbłysłych jedno zwłaszcza świeciło podówczas blaskiem genialności: Maeterlinck; świeciło nad Europą, a nad Polską, dzięki Miriamowi, szczególnie jasno. W głównej swej rozprawie (1893) drukowanej po raz pierwszy w krakowskim właśnie czasopiśmie „Świat”, mówił Miriam o nim własne i cytował cudze superlatywy, o pierwszym zaraz jego dramacie wyraził się z widoczną egzageracją, że jest „najgenialniejszym dziełem epoki”, że jest „czymś wyższym od którego bądź z nieśmiertelnych utworów Szekspira” itp. Słońcu temu dały się u nas olśnić najtęższe oczy. Urokom sztuki Maeterlincka dał się pociągnąć nawet Wyspiański, w wyższym stopniu Przybyszewski, maeterlinckistami byli przejściowo Tetmajer, nawet Rydel. Czemuż miałyby nie ulec Orkan, on, który tak wytrwale i uparcie żywił ambicję dramaturga?

Maeterlinck urzekał ich wszystkich sztuką wypowiedziania niewypowiedzianego, wyrażania nieznanych potęg duszy, nadawania wyrazu delikatnym odczuciom czy przeczuciom, lękom, przywidzeniom, doznawanym przez dusze przewrażliwione, mimozowate, nerwowe. A pamiętamy, że dla tamtego pokolenia wyczulony neurastenik był wyższą formą gatunku *homo sapiens*. Przykład Maeterlincka skierował uwagę twórców w tę stronę odczuwań, a wprowadzone przezeń sposoby ich wyrażania narzuciły współczesnym pewną manierę stylistyczną.

Maeterlinckizm Orkana wyniknął niewątpliwie z sugestii krakowskiej atmosfery młodopolskiej. Ambitny twórca, widząc tylu wspinających się po tej zbocz, musiał sobie powiedzieć: potrafią oni — po-

¹³⁾ A. Nowaczyński, *Studia i szkice*, 1901, s. 76, w art. Podhalanie.

trafię i ja. Jakoż potrafił, i lepiej nawet niż niejeden z otoczenia (lepiej od Tetmajera). Że lepiej — zawdzięczał to swemu instynktowi realisty. Nastrój maeterlinckowski osadził Orkan na ziemi. Na swojej ziemi.

Z doznań odniesionych w młodości wybrał jeden moment szczególnie tu przydatny. W pogodną noc jesienną z wyżyny ojczywego Gronia można było widzieć w szerokim zasięgu krajobrazu po rozwidlających się coraz dalszych zboczach ognie rozpalane przez tych, co pilnują ziemniaków przed dzikami; można było słyszeć z bliższa i z dalsza zawodne melodie pilnujących. Mrok, uciszone życie osiedli, te ognie i śpiewy — wszystko to stwarzało przejmujący nastrój. Biorąc ten nastrój za wtór w swym obrazie dramatycznym „Noc” (1900), autor nie potrzebował stwarzać sztucznych, wymyślnych sytuacji, nie oddalał się od rzeczywistości. Powłączał tylko w nią akordy czysto już maeterlinckowskie: lęk, przecucia wrażliwych dziewcząt, wyrażające się w napomknieniach, przemilczeniach, a niosące z sobą zimne technienie śmierci, powiew zbrodni rodzącej się dopiero gdzieś w myślach. Ten nastrój poddany przez sugestię literacką, obcą, a więc narnośny, dobrze się skojarzył z rodzimym, autentycznym. Toteż kiedy np. „Sfinks” Tetmajera, z podobnych zrodzonego podniet, odczuwamy dzisiaj jako sztuczne dziwactwo, „Noc” Orkana właśnie przez swój wkład autentyzmu może wciąż jeszcze wywierać wrażenie. Tak szczęśliwe opanowanie arkanów sztuki Maeterlincka zostanie Orkanowi na przyszłość. Jeszcze nieraz się on do niego ucieknie.

Krystalizacja wyrazu artystycznego, nawet pewna maniera stylizacyjnego ujęcia tematu — to nie wszystko, co Orkan zawdzięcza „prowodzi” młodopolskiej. Dalszy nabytek będzie jeszcze ważniejszy.

Rewolucja literacka modernizmu rewolucją była przede wszystkim przez to, że burzyła obiektywistyczny charakter tworu literackiego, obowiązujący w okresie realizmu. W zamian za to stawiała postulat, by materię dzieła tworzyły elementy subiektywne i egotyczne. W ten sposób przeciwstawiała dawniejszej literaturze relacji nową literaturę „spowiedź”¹⁴⁾. Modernizm postawił w literaturze prymat jaźni ludz-

¹⁴⁾ Warto zobaczyć, co o tej przemianie mówi świadek naoczny i bystry krytyk, A. Potocki w swej „Literaturze”, II 4 i n.

kiej, jaźń tę z całym zróżniczkowanym bogactwem, z jej skomplikowaniem i zwickłaniami czynił rdzeniem twórczości. Te właśnie skomplikowania i rozdarcia wewnętrzne między miłością a nienawiścią, między tęsknotą a niemocą, między zapalem a zniechęceniem, niedosytem a przesytem, między orgią a ekstazą, ujmowane z zuchwałą, cyniczną szczerością — oto właśnie żywioł rodzajny, predysponujący nową literaturę.

Ta fala żywiołu ogarnęła też młodego Orkana, ona to chyba podmyła najgłębiej dotychczasową jego postawę, wytrąciła go z dotychczasowego toru. Bez jej uwzględnienia nie będzie nam jasny obraz jego rozwoju. Nie zrozumiemy bezpośredniego sąsiedztwa „Komorników” i „W roztokach”, utworów tak sobie istotami swymi dalekich: przesyconych subiektywizmem perypetyj drugiej z tych powieści, idącej tuż po mrocznym obiektywizmie pierwszej. Sprawę tłumaczy dobrze właśnie inwazja młodopolszczyzny w duszę autora. Zagony tej inwazji wiodą głęboko w strukturę duchową Orkana. Posiew indywidualizmu długo będzie wschodził i krzewił się w złożach jego osobowości i o różne jeszcze przyprowi go w sobie kłopoty.

2.

Odchylił się przecież Orkan od moderny krakowskiej, choć jej niejedno zawdzięczał, i to odchylił się stosunkowo wcześnie. Wyrwał się z owej „powodzi”, a nawet się po niej z odrazą otrząsał. Dlaczego? Można się pokusić o częściowe rozjaśnienie zagadki. Pomocne mogą być w tym przygodne jego wypowiedzi w listach, a więcej jeszcze wczesny osobny artykuł o Młodej Polsce (1899).

Podług tego wnosić wolno, że wchodziły tam w grę pewne rozbieżności personalne. Nie ze wszystkimi rówieśnikami mógł się Orkan w tej gromadzie zharmonizować. Nie znalazł np. języka wspólnego z Wyspiańskim, i to w sprawie, która dla Orkana była bardzo żywotna; różne obaj mieli pojęcia o dramacie i o teatrze wiejskim. Zdaniem Wyspiańskiego, dla ludu winno się pisać takie sztuki, „z których by korzyść doraźną wieś miała”, skąd dowiadywałyby się prawdy, np. o wychodźstwie, o ochronie ziemi i pracy itp. Nie bardzo się to Orkanowi widziało ¹⁵⁾.

¹⁵⁾ Zob. Listy ze wsi, 1935, II 139.

Jeszcze mniej przystać do siebie mogli z Przybyszewskim. W pamiętniku swym Przybyszewski wynurza się (jagoda po św. Marcinie) z wielkimi afektami dla Orkana. Co prawda, czytał go podówczas w Krakowie mało, tyle co w „Życiu”, ale dzięki powieści Sewera zwrócił nań uwagę. Jak inni, wiązał z nim wielkie nadzieje i stwierdza w pamiętniku¹⁶⁾, że się nie zawiódł. Nadzieje te Orkan „już w bliskiej przyszłości nie tylko spełnił, ale do tego korca, jakiego się po nim spodziewano, jeszcze bogaty i szczodry czub dosypał. Ze wszystkich tych młodych i najmłodszych, którzy się wokół „Życia” kupili, on jeden został mocą swego tajemniczego autochtonizmu”.

Nie trudno wszelako stwierdzić, że w naturze tego autochtonizmu orientował się Przybyszewski słabo. Ma on Orkana za Podhałanina, a o wyglądzie tej jego okolicy ojczystej wie tyle, ile widział z okien wagonu, jadąc z Krakowa — do Zakopanego, tzn. prawdę mówiąc, nic.

„Z daleka tylko, z okien wagonu, i to zwykle w pochmurnym, jeżeli nie dżdżystym... czasie (kiedy tam właściwie słońce świeci?), widywałem tę ziemię, która cała wydaje się być „zamarzłą kępą”, i zawsze musiałem myśleć o tej smutnej, niemal ponurej duszy Orkana, która... w kształty tej ziemi się przyobkleła”.

Jasne jest, że Gorców Przybyszewski na oczy nie widział, od Podhała ich nie odróżniał. Gorzej, nie widział i nie znał świata ludzkiego, tak wyłącznie wypełniającego twórczość Orkana, nie znał chłopą z roztok, a wartości świata chłopskiego nie doceniał w ogóle.

„Owszem — przyznaje łaskawie — owszem: jako czynnik „gospodarczy” odegrało chłopstwo ponoć nawet ważną rolę w nowym państwie, ale dusza chłopska nie wchodzi w rachubę jako czynnik kulturalny, chyba jako czynnik nienawistnej wrogości dla wszystkiego, co kulturą zalatuje”.

Szacując Orkana wysoko, a nisko grunt, z którego on wyrósł, nie dziw, że Przybyszewski wystąpił ze swą zabawną koncepcją zabłąkania się reinkarnacyjnego. Zdaniem jego, autor „Komorników” znał chłopów doskonale, ale sam z właściwego rodu chłopem nie był. Orkana, a w wyższym jeszcze stopniu Kasprowicza, Przybyszewski miał za ducha wyjątkowego, „książęcego”, który, wysoko wyrobiony w bytach poprzednich na jakichś wyższych poziomach społecznych, zabłą-

¹⁶⁾ St. Przybyszewski, *Moi współcześni, Wśród swoich 1930*, s. 162 n.

kał się na wieś: „niepojętymi wyrokami swego Przeznaczenia zmuszony był inkarnować się na nowo w łonie podhalańskiej chłopki”.

Tak więc to wszystko, co stanowi cechę macierzystą osobowości twórczej Orkana: jego rodzimość, jego chłopską reprezentatywność, Przybyszewski miał za pozór, za przypadek. Takiego to Orkana on uznawał. Dziwna to miłość, która za przedmiot ma urojenie.

Zresztą powiedzieć trzeba, że była to miłość mocno poniewczasie i od początku nie odwzajemniona. Orkan należał do tych, którzy — jak M. Szukiewicz, jak A. Górski, T. Miciński — po wielkich nadziejach wiązanych z osobą przywódcy moderny bardzo rychło odsunęli się od niego, zawiedzeni i rozgoryczeni. We wspomnianym artykule, a szczerzej jeszcze w zachowanym fragmencie odczytu, dał on temu zawodowi wyraz:

„Zdawać się mogło ludziom z boku, że Przybyszewski, przybywszy do Krakowa, zgrupował młodź dokoła siebie, oddziałał na nią mocą swej indywidualności i stworzył szkołę literacką „swoją”. Tak nie było. Przybyszewski nadawał swój charakter piśmu, drukując w każdym prawie numerze rzeczy swoje... Ale na grono talentów szczerych, jakie zastał, nie wywarł żadnego wpływu, chyba ten jeden, że rozbił pożycie młodych między sobą... Rozprysnęli się, poodsuwali, i każdy poszedł swoją drogą. Natomiast koło Przybyszewskiego... gromadzili się ludzie, nie mający nawet platonicznych stosunków z literaturą; wielbili jego dzieła, nie znając ich, — i pili z nim. To była ich wspólność ze sztuką”¹⁷⁾.

Ale zadrażnienia osobiste nie mogły być oczywiście w tym tak wyraźnie tu ujawnionym rozdzwieku względem decydującym. Musiały tam zachodzić przyczyny istotniejsze.

Do najistotniejszych bodaj należało samo pojmowanie sztuki, jej charakteru i zadań. Przybyszewski, jak wiadomo, głosił autonomię sztuki w ujęciu jak najskrajniejszym. Ma ona wypowiadać absolut duszy i żadne względy życiowe, żadne karby, żadne programy nie mogą jej obowiązywać ani w zadaniu jej wyłącznym krępować.

„...Sztuka mająca jakiś cel moralny lub społeczny — przestaje być sztuką, a staje się biblią *pauperum* dla ludzi, którzy nie umieją myśleć...”

¹⁷⁾ Czantoria, 1936, s. 163.

Stosownie do tego także pisarz, „kapłan sztuki, artysta, nie jest służą ani kierownikiem, nie należy ani do narodu, ani do świata, nie służy żadnej idei, ani żadnemu społeczeństwu”.

Trudnoż było wyraźniej i krańcowiej postawić sprawę. Sztuka stoi poza społeczeństwem, poza życiem i czasem, jej domeną jest tylko wieczność.

Tego ujęcia Orkan za swoje uznać nie mógł. Był sam z siebie tak integralnie spojony z życiem, miał w sobie tyle odczucia krzywdy i nędzy, drżał w sobie — jak motor pracujący — taką pasją przemiany złego porządku świata, że sztuka wysublimowana z otaczającej nas realnej rzeczywistości, sztuka odspołeczniiona nie mogła w nim znaleźć wyznawcy. Atmosfera snobujących się hasłami „Confiteor” mieczyków kawiarnianych (*gladiolus tavernalis*), jak ich nazywał Nowaczyński, mogła go tylko odrażać. Tutaj rozeszły się drogi.

Orkan nie był oczywiście pod tym względem sam. Gromada twórców o żywym instynkcie społecznym, o poczuciu odpowiedzialności za bieg dziejów, zwłaszcza pisarze o postawie radykalnej i zabarwieniu socjalistycznym, wyłączyli się z bohemy literackiej i jęli się skupiać koło nowego ogniska, „Krytyki” (pod redakcją R. Kunickiego, później W. Feldmana). Do tego to zespołu Orkan przystąpił ochotnie. Otrzymawszy pierwszy zeszyt nowego czasopisma, sąd swój wypowiedział przyjacielowi z brutalną aż wyrazistością:

„... Nie masz pojęcia, jak mię cieszy ten miesięcznik! ... Będę tam pisał z całą przyjemnością, bo to jest doprawdy „młoda Polska”, a nie jakieś syfilityczne orchideje i tuberozy przeczulone z „Życia”¹⁸⁾.

W podobnyż sposób odzęgnywał się od łączności z „Życiem” Przybyszewskiego w parę miesięcy później, urażony, że go recenzent „Przeglądu Tygodniowego” zaliczył do zespołu Młodej Polski:

„... nie pragnę wcale wdzierać się na zawrotne „wyżyny absolutu”, gdzie im samym tak ciasno mimo pozornie szerokich poglądów. Mam cały swój chłopski świat i swoje ugory puste, szare, dalekie...”¹⁹⁾

Orkan byłby wtedy nawet chętnie widział, gdyby kto publicznie temu przyszerzegowaniu go do zespołu bohemy krakowskiej zaprzeczył. Impulsy twórcze, te, które szły od porębiańskiej ojcowizny, przeziósł ponad te, co szły od atmosfery literackiej Krakowa.

¹⁸⁾ Z listu do F. Bobrowskiego: Genewa, 7. IV. 1899.

¹⁹⁾ Z listu do redakcji „Kurieria Lwow.”, Poręba, 29. VIII. 1899.

Zerwanie, jak widzimy, było zdecydowane, gniewne, nawet, powiedzielibyśmy, buńczuczne. Ale właśnie dlatego może ono budzić pewne wątpliwości. Targało się tam włókna nie uschłe i martwe, ale żywe i zwiłkane. Nie łatwo było je przerwać. Zasiw modernizmu z jego kultem jaźni wyosobnionej, rozdartej między bohaterszczyznę a rozpaczą, zapadł głęboko w duszę młodego Orkana, długo też będzie tam dojrzewał i owocował. Z więzów strukturalnych, spajających go z generacją literacką, Orkan właściwie całkowicie wyzwolić się nie zdoła. Będzie się z nimi wszelako w sobie mocował i mocowanie to dopiero wykreśli właściwą linię rozwojową jego artystycznej i społecznej osobowości.

NARODZINY CESARZOWEJ ANKI

(Fragment powieści z lat 1339 — 1415)

Na dzień świętego Symeona cisza w powietrzu wróżyła pogodę. Rankiem wyrzało nawet słońce, lecz niedługo iskrzyło w soplach lodu obwieszających blanki strażniczych wież. Wprawdzie wierzchołka góry Słęzy nie było widać, ale czy kryły go chmury, czy opar tajemnego śniegu, nie poznałbyś pod światło.

Na zamku świdnickim obudzono się później niż zwykle. Czas nie naglił. Panowie nie powrócili jeszcze z Krakowa a młode księżne od dwóch dni bawiły sanna w Strzegomiu. Dworakom brakło podniety do gorliwości. Kuchmistrz Michał napędzając ospałą czeladź skarżył się głośno na łamanie w kościach. Ogień był rozpalony, izby pomiecione, schody wytarte. Ze spokojem oczekiwano powrotu wrażliwej na schludność pani Agnes Bolkowej. Spodziewano się księżeń na południe.

Astrolog Alessandro zapewniał, że horoskopy dla podróżujących są najpomyślniejsze. Jednak ojciec Piotr, medicus, niepokoił się, czy nie powinien był towarzyszyć świdnickim dziedziczkom w ich ekskursji. Może zbyt łatwo uległ pokusie pozostania w domu? Przecież przewidywano, że księżna Katarzyna zlegnie najwcześniej w marcu, a on właśnie przedwczoraj rozpoczął dyktować bratu Fidolusowi traktat o optyce, który mu wypożyczył nie na długo uczony krakowski Ajmeryk. Pokusa opłaciła się chyba, bowiem streścili już i spisali osiem stronic.

W izdebce skryby-jałmużnika chłodno było i mroczno przy osłoniętym przed mrozem okienku. Brat Fidolus, chociaż suto okryty pasiastym szkaplerzem, przysunął pulpit najbliższej ogniska, by mu ręce zagrzewało i światła przydawało do skąpej widności dnia. Nim rozpoczął dziewiątą stronicę na piątym liście pergaminu, zmienił pióro. Świeżym, sprawnie zaostrzonym kadłuchem nakreślił piękną literę U na początku wiersza. Ojciec Piotr schylony przy oknie nad folialem wybierał: które charaktery z „Sekretów przyrodzenia” mistrza Mi-

chała Scotusa godne są pamięci. Dyktował nowe zdanie, gdy tylko pióro zakonnika przestawało skrzypieć:

„U kogo oczy są bardzo wielkie, podobne jakoby wołowym, znaczą człowieka prostego, tępego rozumu, złej pamięci i grubymi potrawami żyjącego”.

Fidolus, skończywszy zdanie, podniósł głowę i spojrzał na norbertanina. Sprawdzili się, że obaj nie mają takich właśnie oczu. Ale korkiło, by obmówić bliźnich. Medicus, wiele młodszy od skryby, rad był sprawdzić uczone spostrzeżenie doświadczeniem człowieka, który tyle po świecie bywał i ludzi poznawał.

— Kto na świdnickim dworze ma oczy wołowe?

Fidolus odłożył pióro i kryjąc dłonie w rękawy uśmiechnął się dokuczliwie:

— Chyba nasz kuchmistrz, Michał z Uloków. Jednak to chytrzec, smakowiczek i dobrze pomni, co mu kto winien...

— Kto jeszcze? — dopytywał Piotr, podchodząc do ognia.

Nim braciszek zdążył odpowiedzieć, zagnała zaszumiało w kominie i wraz z dymem posypały się na izbę skry z ogniska.

Przeżegnali się. Fidolus uskoczył z pulpitu porywając zapisane listy.

Medicus płochliwie otrząpywał habit, gdyż tlał w paru miejscach, przydając do czadu swąd wełny. Wpatrzyli się nieufnie w palenisko.

Spod okapu sypał śnieg i niknął, tając nad żarem. Opona na oknie wzdeła się, parta wichurą.

.....

.....

W kurniku u Kordalów od samego rana rozlegało się kukurykanie, zwiastujące odmianę powietrza. Nie głowiono się nad tym, gdyż inne, ważniejsze sprawy zaprzętały uwagę domowników.

Maryna po przebudzeniu zachowywała się niby zwyczajnie. Klecała przy wspólnym pacierzu, sama skroila chleb i rozlała polewkę. Dopiero gdy schyliła się ku ziemi po Filipa, chwyciło ją tak mocno, że nie zdołała ukryć bólu. Z trudem wyprostowała się, postąla chwilę na środku izby, jakby wsłuchując się w siebie, po czym zawołała na Andrzeja:

— Czas rozprowadzić dzieci!

Już było umówione, gdzie które ma przebyć tę porę. Z małych tylko Piotr rozumiał, na co się zanosi. Dlatego tak gorączkowo dopomagał ubierać się Janowi i Jakubowi. Sam miał ich zaprowadzić do murarza Galika, najdaleszego z upatrzonych domów. Sabina dygoczącymi rękami opatulala Filipa w zieloną chustę. Pierwsza wybiegła z nim do Śmigurów. Spieszyła, byle zdążyć z powrotem na posługę rodzącej. Chociaż nie była pewna, czy ją dopuszczą do pomocy. Ostatnim razem, przy Bartłomieju, Maryna rodziła samecznie. Sabinę wyгнаła z dzieciarnią do sąsiadów, Andrzej zapóźnił się w lesie, a gdy wrócili, już noworodek skrzeczał. Obyło się bez obrazy, ale też natrudziła się biedaczka niemało. Może tego roku będzie mniej harda?

Nie tylko przez miłość bliźniego pragnęła tak bardzo Sabina dopomóc swej gospodyni. Od współczucia mocniej rządziła nią ciekawość. Przyjście na świat człowieka było dla niej zdarzeniem nieporównanym. Insze to od śmierci, która jest przecież koniecznością istniejącego, znajomego bytu. Zaś narodziny to — niespodzianność! Z bólu i krwi łuska się nowe życie, on czy ona? istota, której przed chwilą nie było, a oto jest i żąda dla się osobnego miejsca na ziemi. Widok porodu wstrząsał staruchą, podniecał do ofiarności nawet. Rwała się, by pierwsza tknąć noworodka. Jakby to mogło okuścić przekleństwo jej bezpłodnego żywota...

U Kordalów ona jedna знаła potrzebne czary i zamówienia na szczęście. Było czego pilnować! Maryna zachowywała się bardzo nieprzezornie. Nie wahała się, dla skrócenia sobie drogi, przestąpić śpiącego kota, a wiadomo, że potem rodzi się dziecko kosmate. Już dwa razy w tej ciąży zajadała mięso zajęcze...

Dumała o tym Sabina, drepcąc z Filipem do najbliższej chaty.

— Maryna nam się rozwiązuje! — tyle rzekła, kładąc malca w ramiona Władki Śmigurowej. Odmówiła poczęstunku. Ważna była! By nikt nie wątpił, że bez niej poród się nie obejdzie. Wracala z pewnością, że każdy krok zbliża ją do wielkiej chwili. Niestety, przy furtce zetknęła się z gospodarzem. Andrzej pchnął ku niej wystraszone dziewczuszki i rozkazał:

— Prowadź je do Jurgasów! Ja sam przeniosę Marka do Maciejki!

Nie mogła wykręcić się od nowego obowiązku. Ze złością pociągnęła za sobą smarkule. Weronka rozplakała się, oglądając się za ojcem.

Andrzej w paru susach zawrócił do domu. W izbie usiłował zachowywać się jak najspokojniej, bez nagłych ruchów, byle osobą swą nie przeszkadzać żonie.

Maryna zajmowała się już tylko sobą. Sobą albo tym, któremu pragnęła najbardziej ułatwić wniście na świat. Dla niego, przemagając coraz częstsze bóle, rozesłała na polepie grubą, czystą płachtę; dla niego ułożyła na ławie pod oknem bielusienkie powijaki, dla niego wyszorowała w popiele ostry nóż. Wiązała śpiesznie włosy w luźny węzeł na karku, gdy Andrzej podjął z łóżnicy rozpalonego gorączką Marka.

— Nie zawieraj drzwi! Zaraz wrócę — prosił, bojąc się, by i tym razem nie spróbowała odgrodzić się od ludzi.

— Mam czas! — uspokoiła go niepewnym głosem. — Niech Maciejko wysmaruje Marka dziurawcem. Pewnie jaszczur gardło mu obległ.

— Wpuścisz Sabinę?

— Może być! Tylko zapowiedz, by nie ważyła się mówić do mnie. Nie trzeba do mnie wtedy mówić. Wygnaj kota!

Na żelaznym stojaku, nad sutym ogniem grzała się woda. Maryna wysypała do niej szczyptę soli. Tą samą solą, poświęconą w dzień św. Agaty, osypała kołyskę Bartłomieja, próg, okno, a resztkę podrzuciła pod okap na palenisko. Rozdziawszy się, naczepała wody z kotła do cebrzyka i zaczęła myć nogi. Szorowała je mydłem, spłukiwała, wycierała do sucha. Gdy wciągała na się czystą koszulę, bóle się odmieniły. Z trudem zdołała zapalić od szczapy gromnicę i ustawić ją na skrzyni przed krucyfiksem. Przeżegnała się i klękała na rozestłanym płótnie. I już powstać nie mogła. Powaliło ją na czworaki. Ani słyszała, gdy drzwi rozwarły się, do izby wtargnął wichur i miotnął śniegiem.

Wracającą od Jurgasów Sabinę podcięła zamieć. Jakby jej skrzydła przypięto. Aż roześmiała się z żywości. Lecz gdy od płotu zoczyła rozdzielone na oścież drzwi izby Kordalów, strach barzej ją zmroził od śnieżycy. Rzuciła się na poratunek. W progu rozczapierzyła ręce, aby prędzej osłonić sobą dom od wrażego świata. Zatrzasnęła drzwi, podparła drągiem, a wtedy zakotłowało się na palenisku. W skrach i dymie śnieg padał przez wziernik na bulgocącą w kotle wodę.

Sabina nie baczyła, co winnaby czynić. Najpierw oblał ją lęk. W opustoszałej izbie tylko one. Czy aby tylko one dwie? A kto krztusi się i kowyrka w ogniu? Kto czochra się o węgly?

Boi się podejść do rodzącej. Przeraża ją niemowne zmaganie się z bólem. Twarz skurczona, spotniała, zagryzione wargi, palce drapią podścielisko a oczy nie widzą świata. Słyszać jeno syk ognia i dyśnienie piersi. To Sabina krzyknęła. Samo jej się wyrwało: „O Jezu!”

Maryna, jak smagnięta, sprężyła grzbiet i stęknęła. Stęka głucho, długo, przez rozdęte nozdrza.

Do drzwi dobija się Andrzej. Wali pięściami i przekrzykując wiatr błaga:

— To ja! Otwórzcie!

Kto by zważał na niego! Sabina za nic nie otworzy! Żeby złe wemknęło się za chłopem i rzuciło urok?

Stękanie Maryny przywodzi ją do rozsądku. Już pamięta, co do niej należy. Przyjąć, podjąć grzesznymi łapami ślepego nieochrzczeńca, odrzezać go od maci i, nim pierwszy głos wyda, uderzyć go dłonią a mocnym słowem zakląć na szczęście.

I owszem, odrzezała, lecz zaklęcia nie zdążyła wyrzec ani uderzyć, gdyż pierwiej noworodek wrzasnął. I Maryna sapnęła:

— Oddaj mi!

Sabina klęka przed matką i przykładą jej dziecko, podaje niby świętą relikwię. Rada by śpiewać mu, modlić się głośno. Ale Andrzej głośniejszy.

Gospodyni każe wpuścić męża. Ojcu należy się! Im należy się, bo ich dziecię...

Radość Sabiny gaśnie. Musi innym służyć! Zadowala się tym, że odemknąwszy drzwi, gdy kował wpycha się gwałtem, powstrzymuje go dobrą nowiną:

— Ciiicho! Macie siódmego syna! Nie kosmaty a wrzasnął jak kogut!

Andrzej nie śmie skostniałymi, brudnymi rękami tknąć maleństwa. Pochyla się i głaszcze żonę po włosach. Maryna bynajmniej nie jest dzisiaj harda. Pozwala Sabinie opatrzyć się, uśmiecha się, gdy pomagają jej przejść na wygodne posłanie, sama przewiązuje dziecięciu czerwoną nitkę na piąstce, a w pierwszych słowach powiada mężowi:

— Dobry synek. Żaden nie był dla mnie taki łaskaw...

.....

.....

Kurzawa zerwała się raptem, w samo południe. Wcześniej ruszył wiatr, przyziemny, od wschodu, a chmura ciągnęła sagą z północy. Gdzieś, nad wierzchołkiem góry Słęży skłębiło się to i spadło na Świdnicę niby drapieżny ptak. Widziałeś falę zamieci, walącą na czole wichru ku dolinom. Zderzyła się z murami miasta i skotłowała w labiryncie ulic. Prócz niesionego śniegu zmiotła i wzbila tumany zasp, mieszając je, kłębiąc i dmąc taką gęstwą, że w mlecznej oćmie o dwa kroki nie rozpoznalbyś rodzzonego brata. Ani usłyszałbyś dzwonu na Anioł Pański, tak łopotąło w uszach świstem, szumem, wyciem. Niedomknięte wrota wywalało, nieposzyte dachy rozrywało, przez szczeliny wsiąkało, na przestrzał wydmuchując, kąty zasypując śniegiem. Kogo przychwyciło na dworze, błakał się po omacku, w biały dzień nie mogąc trafić na własny próg.

Wraz z zawieją padło na świdnickich dworzan przerażenie! Marszałek deptał po schodach, nawołując podkomorzego Tammona. Odnaleźli się w szatni. Radzili, przekrzykując się, ilu i gdzie natychmiast wysłać pacholców na spotkanie księżeń. Ojciec Piotr z torbą lekarską już gotów był jechać. Ale mistrz Alessandro spokojny, chociaż wiatr zerwał mu namiot z wieży, odradził pośpiechu. By wszcząć działanie, wprzód należy mieć pewność, że księżne są w drodze — przedkładał. Jechały przecież w dwoje sań, z dworkami, poczem halabardników i z heroldem. Sanie prowadził doświadczony Miron. Mogły wcale nie wyruszyć ze Strzegomia albo też, wyruszywszy, schronić się dla przeczekania zadymki do Siedlic lub innego dworu, leżącego obdał gościńca.

Głos sędziwego mistrza tak był przekonywający, iż poddano mu się. Najwygodniej bo słuchać rozsądku. A tymczasem dzień umykał a zadma wzbierała na sile. Wzbierał też lęk w sercu Piotra medicusa. Cokolwiek by się stało, już szeptano, że to on był winien. Jak mógł dozwolić, by księżna Katarzyna w swoim ósmym miesiącu puściła się na sanne... „W taki czas! Straszny czas!” dogadywano, nie pomnąc już, że gdy upierały się jechać, błyszczało śliczne słońce.

Na odwieczerz przed barbakanem wynurzył się z zamieci konny rycerz. Ledwo rozpoznano w nim Nika Bolczego, taki był oblepiony śniegiem. Od niego dowiedziano się, z trwogą upewniono, że ran-

kiem przy ładnej pogodzie sanie księżeń wyruszyły jednak ze Strzegomia. Nik wyprzedziwszy je, sadził równo do Jaworzyny, gdzie zaskoczyła go zamieć. Odtąd ciężką miał drogę. Pchał się pod wiatr, na oślep, luzem puściwszy konia.

Rycerzyk nie przejmował się obawami starszych. Chelpił się przygodą i pragnął, by go chwalono, iż godnie, jak przystało na herolda, nie dał się wyprzedzić węgierskim szpakom. Nie zbłądził i jest pierwszy! A cóż złego mogłoby się księżnym przydarzyć? Na wyjezdnym czuły się doskonale, wesoło pocieszały jedną ze słabujących dworek. Kasztelan Guncelin miał je odprowadzić pod Stanowice. Sanie wymoszczone ciepłymi futrami a Miron prowadzi je niby kołyskę. Lada chwila patrzeć jak nadjadą!

Więc wpatrywali się, czekali przed barbakanem do zmroku, aż do chwili gdy z miasta doniesiono, iż do bramy, ale Piotrowej przywlekli się czterej halabardnicy konno, lecz bez sań.

Resztką złudzeń prysnęła! Podkomorzy Tammo zakipiał. Stawiono przed nim żołdaków. Członki tak im skostniały, że z trudem trzymali się na nogach. Przerażeni byli tym, co ich spotkało. Podróż zaczęła się niby pomyślnie. W ostatniej chwili sanie z dworkami ostały w Strzegomiu, gdyż jedną zemdliło. Jechali wolno, w odwodzie, widząc, ale nie słysząc, jak pan kasztelan Guncelin z konia rozmawiał z księżnymi. Od Stanowic kasztelan zawrócił a Miron popędził szpaki. Droga przetarta, kłusowali gładko, jak należy, o staję za paniami. I owszem, widzieli zbliżający się śnieg, lecz dopiero gdy wał na nich runął, poznali, że to nie zwyczajna zamieć. Od razu stracili z widoku sanie. Popędzając, słyszeli tylko pohukiwanie Mirona i brzęk uprzęży. Walczyli o każdy skok, tak ich kurzawa darła, zalepiając oczy i płosząc konie. Ślady płóz wnet zaniosło. Bramir krzyczał, wołał Mirona, a odpowiadało mu sto diabolicznych głosów. Po czasie miarkowali, że są koło Siedlic, jednak ani poznaki, gdzie się znajdują. Próbowali rozjeżdżać się na zasięg głosu, zjeżdżali się z powrotem i do reszty zgubili rozeznanie stron. Wichura dookoła biła. Im dalej w czas, tym ciężej. Przecięli strumień, lecz który? Strzegomkę czy Komorowski, nie rozpoznasz. Jechali brzegiem lasu, lecz kędy? — do Świdnicy czy nawrotnie do Strzegomia? Kto sam nie doznał, nie uwierzy, iż można aż tak stracić się w dzień na białym polu. Niechybnie diabły ich kołowaciły. Nieczysta moc! Dotarli wreszcie, na szczęście czy nieszczęście

swoje, do Piotrowej bramy. Lecz gdzie księżne? Rozpaczali! Tyle lat nienagannej służby a dziś taka hańba! Przecież nie szczędzili siebie ani koni. Gotowi dalej szukać, choć do zgonu, jednak... przeciwko czarom grzesznik nie podola...

Podkomorzy, klnąc, kazał ich wtrącić do lochu. Zwołał do się wszystkich mężów: rycerzy, stajennych, giermków, kto pod ręką. Rozkazywał:

— Sędzia Jan niech budzi ratusz! Po wójta! Bić w dzwony! Ogłosić: księżne zbłądziły pod Świdnicą. Trzydzieści grzywien pierwszemu, który odnajdzie dziedziczki! Wszyscy strzelcy ratuszni, cepaki i kto żyw z mieszczan, w porządku cechowym od swych bram niech wał w pole. Gdzie się da, palić ogień, bić w bębny! Rycerze na koń! Puścić sforę. Trąbić!

.....

.....

— Pożar w mieście? — Maryna uniosła głowę nadsluchując.

— Wichura śpiewa!

— Nie! Dzwony słyszę! Wyjrzyj!

Andrzej machnięciem ręki wstrzymał człapiącą ku drzwiom Sabinę. On też słyszał. Jednak nie śpieszył się. Zapewne, stało się coś niedobrego, więc gdy choć wyjrzy, nie wróci od razu. Trzeba przygotować się na dłuższe opuszczenie domu. A tak mu się nie chciało... Żując chleb, naciągał na stopy ciepłe skórznie, sięgnął po kozuch barani, wdział czapę na uszy, rękawice, i już gotów, rozejrzał się, co wziąć do ręki: bakulę albo topór? Przecież wojny nikt w taką porę nie wszczyna! A do ognia najpotrzebniejsze wolne ramiona. Więc nóż starczy. Wsunął go za pas i pochylił się nad łożnicą, by ucałować żonę.

— Idę! A ty, Marynko, nie ruszaj się. Bartłomieja dopilnuje Sabina.

— Archaniół Michał niech wspomaga! — pobłogosławiła go szeptem.

Gdy odsunął wsporę, dźwierzę naprężyły się pod naporem wichury. Ze dwora powstrzymał je za kołatkę, póki Sabina nie podparła od wewnątrz. Wyprostował kark i — poczuł się jak wrzucony w kipiel. Jeszcze serce i oczy tały od ciepłoty domowej, a oto mrok osaczył go, ział owiał, prąd szarpnął za bary, skłuli igłami śniegu i zdławił oddech. Musiał odgłobić się od zasiedziałości. Słyszał dzwon. Miał

przed sobą Świdnicę. Wiedział, że to jej kościół woła, chociaż w szumie i zgiefku wichru dźwięki, zdało się, brzmiały ze wszech stron. Na szczycie zamkowej wieży błysło światło. Zacerwieniło i zgasło w snopie iskier. To zew! Dzwon też wzywa jego pomocy. Ktoś jest w potrzebie. Musi iść, działać z ludźmi! Musi i już pragnie walczyć z nieznaną klęską. Ratować! Potknął się o wał śniegu przy kuźni. Furty nie mógł odsunąć, tak zasypana. Ubił śnieg tupaniem i przeskoczył. Wzdłuż płotu do gościńca biegł odwianą bruzdą i na niej to zderzył się, nie poznając, z Bartkiem. Aż jęknęli oba. Śmigura pierwszy zaczął: — Ktoś zacz?

— Korda!

— Ja po ciebie, Andrzeju!

— Co się stało?

— La Boga! Księżne zbłądziły jadąc od Strzegomia. Cały dwór i miasto szukają. Wiesz przecie, Katarzyna...

Andrzej wiedział. Znieruchomiałego sparzył dreszcz zgrozy. Nie słyszał tłumaczeń sąsiada, że oni dwaj najlepiej uradzą, jak i gdzie szukać zaginionych. Może wziąć woły?

Otrząsnął się z bezwładu wpadając w zapalczywość.

— Na co woły? Ślepie i garście ważne!

Zatętniało przed barbakanem. Przywarli do desek szubienicy, by ich nie stratowano. Rżenie koni, skowyt psów, warczenie bębna zgłuszył przenikliwy bek trąby łowczego. Ktoś obok odsłonił i wznosił pochodnie. Płomień załopotał i zgasł a czerwona głównia chwilę tylko wskazywała drogę wyjeżdżającym. Wezbrana wrzawa wnet rozplynęła się, zmierzchnęła w nieprzejrzanym mroku. Szum wichury stłumił resztki głosów.

— Ślepie i garście ważne! — przywodził Śmigura.

— Skąd wiadomo? — kował szarpnął sąsiada za burkę.

— Nik Bolcze wrócił i halabardnicy. Trafili na Piotrową bramę. Kędyś pod Jaworzyną stracili sanie.

Andrzejowi ręce opadły, gdy wyobraził sobie rozległość pola. Od czego zacząć? Gdzie skierować kroki? Co przydarzyło się Mironowi? Toć najlepszy woźnica, starszy stajenny, chłop przy siłach. Baczył, gdy sanie opuszczały pozawczoraj zamek, Miron siedział na łęku, na przodzie, nogi w futrach jak kloce wspierał o płozy, wodze opłatał mocno na rękawicach...

Śmigura pilił:

— Zasypie nas tu. Ruszmy!

— Gdzie?

— Przed siebie. Aby od miasta!

— Na Słotwinę! Brzegiem lasu — rozkrzyczał się Andrzej. — Sami lepiej nasłuchamy. Potem do Komorowa. Dalej ku Milkowicom...

— Dalej! Dalej! — Śmigura szturchnął go: — Masz kij?

— Mam nóż!

— To macaj rękami, a ja będę stukał kijaszkiem!

— Pod śniegiem ziemia jednakowo twarda. Słuchy ważne!

Nie mówili więcej. Słowa nie miały znaczenia, zaś w ruchu trudno było przekrzyczeć wiatr. Tym usilniej pracowały myśli. Brnąc na oślep po znanej w każdym calu ziemi Andrzej próbował odnaleźć siebie w tym, co zaszło. Przeraził się, to prawda, lecz nie zadziwił. Czy miał złe przeczucie, że tak obeszła go odmowa dana podkomorzemu, gdy nie zechciał sań dworskich prowadzić? A Maryna ostatnio czemu tak lękała się o Katarzynę? Któż mógł przewidzieć? Jak umiał, najlepiej poradził Mirona i szpaki. Musiał zostać, by dopilnować Maryny. I Marek chory. To a tamto, jednak winą niby świerzb doskwiera sumieniu. Co on by sam uczynił, gdyby na saniach opadła go podobna kurzawa? Szpaki, konie obce, nie znają tych stron. Nie powierzyliby się ich chrapom. Więc źle poradził. Lepiej było wziąć stare, tutejsze gniadosze. Od Jaworzyny droga prosta. Jadąc przed się musieliby dojechać do zamku. Od Dąbrowy same pnie trzymają drogę. Może zanocowali w lesie? Wilków nie ma, w taki czas i zwierz myśli o schronie. Pociecha domysłów nie starczyła na długo. Nie usprawiedliwiała. Halabardnicy też mogli jechać wedle lasu a jednak zbłądzili na Piotrową bramę. W jakim miejscu zmylił drogę Miron? Chyba na polach za Witkowem? Pewnie nie w stronę Bystrzycy, lecz na pustkowie komorowskie. Już raz, przed laty, zdarzyło się coś podobnego. Wóz szczeciński zbłądził jesienią. Woźnice skarżyli się, że mamił ich przez calutką noc ogień, którego nijak nie mogli dojechać. To tam, gdzie zabito mniszkę Wirydę...

Śmigura przystanął. Rozpoznali kamień, od którego droga gięła się w prawo, ku Bystrzycy. Stąd powinni byli iść na zachód, ze trzy staje, do pierwszych drzew. Kamień, od strony miasta biały, z przeciwnej wyraźnie czerniał. Rozwidniło się ździebko. Chmury ścienkły, czy zrzędła śnieżycą?

Gdy podeszli do lasu, ściana drzew osłoniła ich od tchu nawałnicy, jednak nie poczuł się przez to bezpiecznie. Huragan mierzyl skosem i rwąc między drzewami dał z taką siłą, iż zdawało się, że cały las żyje, opiera się gwałtowi, by nie runąć tysiącem pni na dolinę, broni się szamotaniem gałęzi, wyciem dziupli, skrzypieniem konarów.

Nie lekko człowiekowi czynić, co postanowił, gdy czuje swą nikczemność wobec potęgi oszalałego żywiołu. Płochliwość krwi łatwo odbiera wiarę w mus zamierzeń. Kto im kazał obrać tę właśnie najtrudniejszą a samotną drogę? Nic tutaj nie dosłyszysz. O krok nie dojrzysz ani rozpoznasz, o co potyka się stopa.

Andrzej, kroczący przodem, przystanął, gdy zbyt gwałtowny łomot przerywał mu szeptanie Zdrowaśki. Śmigura żegnając się minął przyjaciela i prowadził do chwili, gdy zdało mu się, że coś czarnego a złego śmignęło mu przed nosem. Kowal przyśpieszwszy kroku wyprzedził go i ciągnie dalej. Aże z ulgą dobrnęli do bud miejskiego folwarku w Słotwinie. Przy ogniskach, na odwiecznej stronie rajcowała tam gromada mieszczan. Sami szewcy! Kierował nimi konsul świdnicki, Piotr Strzygun. Wypytywał, objaśniał, radził. Najbliższą okolicę już przepatrzyli. Konrad Agnetis z piwowarami szuka w krąg Łuczanowa. Rycerze dwukrotnie przejeżdżali tędy. Jedni z gończymi pociągnęli na Komorów, drudzy w kierunku Lubiechowa.

— Pójdziem strugą na Sulisławice! — postanowił Kordal.

— Tam już poszedł medicus z zamku — krzyknęto od szewców.

— Sam?

— Ze swym osiołkiem i pieskiem! — Ktoś niewidoczny roześmiał się chryple.

— Pójdziem i my!

Pożegnały ich drwiące chrząkania. Gdy wstąpili na świeżo wydeptany trop, Śmigura zaniepokoił się.

— Dlaczego właśnie tędy?

— A gdzie? Do nieba skoczysz? Musiał ojciec Piotr wiedzieć coś, że oderwał się od gromady. — Andrzej nie bardzo dowierzał przemyślności uczonego zakonnika, jednak ufał mu jako duchownemu, że idąc na pewno modli się, więc korzysta z pomocy sił skuteczniejszych niż chciwe oczy i uszy osłepionych ciemnością i ogłuszonych ciźbą wojowników.

Prawy, krzewiasty brzeg strugi powyższał się zwartym wałem śniegu. Koryto do dna wydmuchane. Na czystym lodzie przyspieszali kroku, miejscami biegli. Lewy brzeg majaczył ciemną burtą. Za skrętem ku Świdnicy musieli zwolnić. Andrzej z rozpędu zarył się po pas w poprzecznej zaspie nawianej wyrwą między zaroślami. Dla otrzepania się przystanął. Nabierali tchu. Smigura wdrapał się na wydmcę. Szukał śladów osiołka. Nie znalazłszy, nadłuchiwał. Dzwony niosło tu o wiele wyraźniej niż w Słotwinie. Bo też zbliżyli się znów do grodu. Rozróżniał głosy Fary i Dominikanów. Dzwon-dzwonem, a co jeszcze? Jakby trąbka jęknęła. Andrzej też nadstawił uszu. Coś bliskie, dołem, trzykrotnie przetkało świadomy szum wichru. Może puchacz szarpie kusęgo? Może...

Jednaka nieomówiona myśl pchnęła ich wprzód. Skoczyli na następna wydmcę, poprzez drugą i trzecią wprost na szczekanie psa.

— Ludzie! Do mnie!

— Jesteśmy! — huknął Smigura. — Świdnickie!

Andrzejowi serce tak biło, że głosu z krtani wydobyć nie mógł. U ich stóp w głębokiej rozpadlinie kłębiły się niewyraźne kształty. Zsunęli się. Smigura wpadł na osiołka i chwycił go za ramię. Koni i sań nie było. Andrzej dotykiem rozpoznał suknie norbertanina. Medicus, pochylony, mocował się, przekrzykując niewieście jęki:

— Na grzbiecie przewieziemy! Niedaleczko! Najświętsza Boża Rodzicielka wesprze! Dopomóżcie, człowieku!

Andrzej odsunął zakonnik, kucnął i po omacku wyczuł rękami dwie postacie: siedzącą i leżącą na jej kolanach. Leżąca jęczała. Ją obłapił, dźwignął, wspiął się z kotliny na wysoki brzeg. Podniecała go trwożliwa radość. Oto ratował bliźniego i niósł w ramionach królową węgierską! Za nic nie odstąpiłby tej powinności!

Usłyszał głos księżnej Agnes:

— Wyrzuciło nas z sań. Miron przepadł.

— Ja poniosę! Nie utrzęsę! Spieszcie! — krzyknął ku tamtym w dół. Gdy Smigura stanął przy nim i jemu rozkazywał:

— Panią Agnes na osła! Wał wprost na dzwon, ku Strzegomskiej bramie!

Odwrócił się i ruszył tułąc do piersi kłęb futer, ciężar nieważny, gdy oddał mu całą swą moc. Zrósł się z nim, by nie uronić, strzegł jak obolałą żrenicę. Nogi prężył, chciwe biegu a czujne na potknię-

cia, wzrokiem kłuł ciemność, nawet dech miarkował, by piersią nie ugnieść niesionej.

Przez pierwsze kilkadziesiąt kroków Katarzyna milczała. Nie wiedział, czy dźwiga śpiącą, omdlającą, martwą może? Aż poruszyła mu się. Niby ryba omotana siecią. Rozkrzyczała się! Jęczy, skarży się, woła po polsku i cudzoziemsku, że tak cierpi, douleur, nie wytrzyma, wzywa imiona święte: Elisabeth, patronkę swą, Catherine!

Przeraził go domysł, czy to nie bóle porodowe? Może już... a on zgniata matkę i dziecko. Aż przystanął, nie zdecydowany. I ona przestała skamlać. Nadbiegł medicus. Popędza:

— Dalej! Dalej! Tu pomarzną! Wola Boska!

Śmigura z objuczonym osłem przeciągnął po prawej. Andrzej krzyczy ku niemu:

— Do mojej chaty! Najbliżej! Biegnijcie!

Skoczył, usiłując dogonić umykający przed nim cień osiołka. Po paru susach zwolnił, usłyszawszy przy twarzy głos. Słowa brzmiały więcej skargą niż pytaniem, ale rozradowały go niby anielski śpiew.

— Ktoś ty? Gdzie jestem?

— Kordal! Kowal spod Strzegomskiej bramy. Do siebie niosę was, pani! Już blisko! Maryna, żona moja, dziś rodziła. W izbie ciepło!

— Maryna, którą znam?

— Tak! Tak! — przytakiwał, uszczęśliwiony, że nie słyszy jej jęków.

— Kordalu! Zapamiętaj, co ślubowałam przed księżną Agnes. Za moje życie dam trzy tysiące marek złotem na świdnicką farę. A jak urodzę syna, to drugie tyle na kościół w Jaworzu, gdzie relikwie świętej Katarzyny. Za syna! Oooo! Boże! Nie mogę! Ratujcie! Nie! Nie!

Targały nim te spazmy do żywego. Brnął przez jej ból z lękiem i nadzieją, że to ostatni, że już umilknie, że jeszcze nie koniec...

Ojciec Piotr biegł obok a gdy Katarzyna wzmagala krzyk, medicus coraz głośniejsze obrzucał ją słowami łacińskiej modlitwy. Piesek popędzał ich szczekaniem. Trzy razy jeszcze chwytaly ją skurcze, nim dopadli drogi między ogrodem Burharda a Pisarzów. Nogi Śmigury i kopyta osiołka przeorały tu w śniegu widoczną ścieżę. Furtka do zagrody Kordalów była wywalona. Na lodzie przy studni Andrzej poślizgnął się i omal nie padł. Nagłe gibnięcie obudziło nowe jęki chorej. Przeraził się, aż mu włosy pod czapą zmokły potem. Oczekiwano

ich przy odemkniętych drzwiach. Wniósł do izby rozkrzyczaną. Ciepło i światło odurzyły go. Stąpał przed się jak ćma, wprost na ogień, aż mu Sabina przestąpiła i siłą odebrała z ramion księżnę. Obletczony, z razu nie wiedział, co począć ze sobą. Czuł, że ma ręce, kłody niepotrzebne a ciężkie, i nogi, zbyt słabe, by utrzymać go bez ugięcia. Rozglądał się mrużąc powieki. Przed ogniem księżna Agnes rozcierała zziębnięte dłonie. Tupiała przy tym i podskakiwała. Dostrzegł Marynę na ławie. Postąpił ku niej i usiadł. Poczuł się w bezpieczeństwie, że swego dokonał. Patrzył, jak żona wstaje, rusza się powoli, lecz równo. Maryna wie, co trzeba! Kazała złożyć księżnę na łoktuszy rozestanej gładko na dwóch kocach. Sabina, mrużąc w podziwieniu, wyzwała ją z futer. Gospodyni ostrzegła staruchę:

— Bacz, by nic nie zginęło, bo odpowiesz!

Medicus Piotr otrzepał się ze śniegu, ściągnął szkaplerz, zakasał rękawy i jał na skrzyni rozwijać torbę z lekami. Smigura dolewał wody do kotła na palenisku.

Katarzyna znowu zaczęła jęczeć i rzucać się na pościeli. To Andrzej poderwało. Musiał źle wyglądać, gdyż Maryna podeszła doń i uśmiechnęła się spierzchniętymi wargami:

— W sam czas ją przynieśliście. Wody odpłynęły. Ot, czego się doigrała!

— Prędzej nie mogłem! Co teraz czynić?

— Teraz potrzebny tu spokój. Medicus i Sabina wystarczą. Nic po was. Odprowadź panią Agnes. Ona najbardziej przemarzła.

— Łyknę gorącego.

— Weź mięsa.

— A nasz synek?

— Spi!

Księżna Agnes koniecznie chciała pozostać dla pomocy. Medicus zmusił ją groźbami do wyjścia. Tu nie miejsce, by nią się zajmowano, a i ona potrzebuje opieki. Przecież na zamku jeszcze nie wiedzą, że odnaleziono. Cała Świdnica w polu!

Świadczyły o tym wciąż bijące drzwony. I światła w odsłoniętych oknach. Wiatr przycichł a śnieg, zdawało się, padał gęściej.

Agnes nie chciała sięść na osiołka i sprzeciwiła się, by ją niesiono. Toć kilkadziesiąt kroków! Wsparta o ramię wlokła się przy Kordalu. Nie śmiał jej zagadywać, chociaż tyłu spraw był ciekawy. Na go-

ścińcu, na głądszej drodze sama przemówiła. Nieskładnie, po polsku. Że o Katarzynę już jest spokojna. Maryna przypilnuje jej najlepiej. Ale boi się ciągle. Nie wie, co się stało z Mironem, z heroldem i żołnierzami.

— Nik Bolcze i halabardnicy wrócili — uspokoił ją. — A Miron?

Przystanęła, chcąc mówić, pragnęła wygadać się, lecz pociągnął ją ku barbakanowi. Wrota były otwarte, most spuszczone. Gdy weszli w krąg światła, strażnicy na ich widok osłupieli. Andrzej, mijając ich, rzucił:

— Księżna Henrykowa w mej chacie. Mirona i koni nie ma. Powiedźcie, komu trzeba.

— Co z Mironem? — krzyknął starszyna. Agnes cofnęła się z półmostu i weszła do strażnicy. Stłoczyli się za nią. Pod sklepieniem było dymno i pusto. Na brudnym zydłu przed ogniem stał dzbanek piwa i czarki. Wskazała ręką, by jej podano napój. Starszyna Dobek z niezręcznym ugrzecznieniem usłużył jej i Andrzejowi. Księżna siadła na zydłu, plecami do ognia. Wśród pstrokacizny szat i kosmatych, czerwienią oświetlonych twarzy jej zacienione lice wyglądało zjawiskowo prawie. Słuchali z rozdziawionymi gębami, nie bacząc na koślawione słowa. Toż przemawia ich księżna, cesarska wnuka, dla nich gada o swoich własnych przeżyciach.

— Proste ludzie niech wiedzą! Uratowali nas. Bóg pozwolił! Miron dobrze jechał. Konie dobre. Potem zleciał wiatr i śnieg. Burza! Miron kazał zakryć twarze. Kazał modlić się. Powiedział, że miejsce złe, bo tu zabito mniszkę. My patrzyły. Widziały tylko śnieg. Chciały widzieć złe miejsce. Widziałam koński ogon i śnieg. Aż zobaczyłam. Przed koniami stanął wielki, czarny ptak. Machał skrzydłem. Miron zaklął niedobrze. Konie skoczyły w górę. Skreśliły w bok. Sanie szarpnęły. Popędziły! Miron wołał i ciągnął wodze. W życiu tak bystro nie jechałam. Objęłam Katarzynę i zamknęłam oczy. Sanie w górę i w dół, i w bok, aż wyrzuciło nas. Padliśmy w śnieżny dół. Sanie uciekły z wiatrem. Miron nie obejrzał się. Może nie wiedział? Było cicho. Nad nami tańczyło białe powietrze. Długo leżałam. Śnieg nas zasypywał. Katarzyna płakała. Modliłam się. Widziałam tego ptaka jeszcze raz. Krążył nad nami. Bałam się bardzo. Zapłakałam. Przyszło ciemno. Katarzynę zaczęło boleć. Owinęłam ją futrami i trzymałam na kolanach. Katarzyna jęczała, ja krzyczałam głośno. Potem słyszałyśmy dzwony.

Ślubowałyśmy. Ja dam złoto na farę w Strzegomiu. Katarzyna da złoto na farę tutejszą. Myślałam, że śmierć idzie. Smutno tak umrzeć. Tylko czarny ptak wiedziałby o naszych kościach. Potem szczekał pies. Poznałam głos ojca Piotra. Potem ten człowiek Kordal przyszedł. On niósł Katarzynę. A wy, ludzie, pamiętajcie: ślubowałam na farę w Strzegomiu, gdy będę żyła. Żyję! Bóg pozwolił. Może będę lepsza.

— Bądź pani dobra od zaraz! — starszyzna Dobek schylił się do jej kolan. Nie domyślali się, o co mu chodzi, aż dopowiedział: — By my wszyscy mogli razem radować się z wami! Każcie Tammonowi zwolnić Bramira i trzech towarzyszy. Diabeł chcąc was pognębić i ich skłólić, a podkomorzy wtrącił ich do lochu.

— Pierwszym słowem o to go poproszę — przyobiegała wstając.

.....

.....

Zapamiętali sobie świdnickie ludzie tę noc lutową na długo. W każdym niemal domu albo oczekiwano z niepokojem powrotu swoich, lub odrabiano szkody wyrządzone przez zamieć. Prócz Mirona wszyscy powrócili żywi. Jednak poranionych znalazło się wielu. Rajca Peczek Amore skacząc przez płot złamał sobie rękę; Teofil, łucznik z ulicy Wysokiej, odmroził ucho, aż mu odpadło; Kacpra, czeladnika od Kirstana z Kąt, piwowara, ciężko stratowały konie. Z dworskich, rycerz Myślibor z Krukowa nadział się w chaszczech na gałąź i tak rozerwał policzek, że dziąsła było widać.

Ze szkód w budynkach najdotkliwsze okazało się zerwanie drewnianej ściany osłaniającej prezbiterium nowo budującej się fary. Ile zaś dachów szarpniętych, pożarów szczęśliwie ugaszonych, zniszczonego mienia — nie liczono.

Parę dziesiątków lat później czyjaś pilna ręka zapisała na marginesie cysterskiego mszału, pod lutym tylko tyle, że w czwartek, w dzień świętego Symeona męczennika urodziła się Piastowi świdnickiemu, księciu Henrykowi, córka Anna, cesarzowa rzymska. Zapis ten nie był jednak ścisły. Prawda, że o północy, z czwartku na piątek przestały bić dzwony, a umilknięcie ich dało znać poszukującym, że mogą wracać do miasta, bowiem księżne odnaleziono. Prawda i to, że w owej chwili księżna Katarzyna Henrykowa w izbie Kordalów wiała się w bólach rodzenia, ale nie powiła jeszcze Świdnicy potomka.

Piątek, dziewiętnastego lutego, rozwidnił się leniwie, jakby w zdziwieniu. Pod czołdrem ołowianych chmur ziemia okazała się niepo-

dobna do siebie przez nieskazitelną białość i przedziwne kształty zasp, wydmuchów, lej i guzów śnieżnych. Od śląskiej strony pnie drzew oblepione były po koronę, a przez fosę na bronny mur mógłbyś bezpiecznie płozami najechać. Było przy tym tak cicho, że słyszałeś z daleka szelest obsuwającego się z gontów śniegu.

Nikt nie kwapił się z wyjściem na miasto. Czekali ludzie, aż ich trąbka cechowa zawezwie do czyszczenia ulic. Tylko przed Strzegomską bramą roilo się od świtu. Wzdłuż gościńca i w krąg zagrody Kordalów dreptała ciekawa gawiedź. Do ogrodu przez rozwaloną furkę wpuszczano jedynie dworzan i znaczniejszych z miasta. Dwaj halebardnicy pilnowali na zewnątrz porządku. Wśród paru setek ludzi i Andrzej z niepokojem przyglądał się swojemu domostwu. Mały Piotr odnalazł ojca w ciżbie. Słyszał już, że przybył mu braciszek, jednak nie mógł pojąć, czemu to księżna Katarzyna właśnie ich izbę obrała sobie i przeszkadza im wrócić do matki.

Od dłuższego czasu z chaty nikt nie wyglądał. Wiedziano, że są tam, prócz Maryny, medyk Piotr, Sabina i biegła w białogłowskich sprawach łowczyni Stronka. Medicus na nagabywania dworzan odpowiedział, że nie brakuje im nic, prócz chyba zmiłowania Bożego nad księżną. Nie brzmiało to pocieszająco. Węgierska niania, Muma, gdy ją z izby przegnano, pomstowała, iż nic podobnego nie zdarzyłoby się na budzińskim dworze. Groziła, że przez pierwszego posła doniesie o tych porządkach królowi Karobertowi i królowej Elżbiecie na Węgry.

Comes Tammo miał czerwone od niespania powieki, brodę potarganą, a ruszał się nieustannie niby ryś w kleci. Męczyła go odpowiedzialność za to wszystko. Poniewczasie rozpamiętywał zaniedbane możliwości. Współwinnym był wprawdzie i marszałek, który wyznaczał woźnicę i konie, także medicus, astrolog, a nawet kasztelan strzegomski, że nie odprowadził sań pod samą Świdnicę. Jednak to nie im, lecz właśnie jemu, najstarszemu z dworzan, zlecieli książęta Bolko i Henryk opiekę nad małżonkami. Nie daj Boże, jeśli trumnę zamiast kołycki przyjdzie się gotować...

Krążył podkomorzy wśród ludu, wypytywał, radził się, niecierpliwił, aż gdy mu kuśnierz Dumlose doniósł, iż płacze się za ogrodem niejaki Jakub Tao, mistrz bardzo wzięty wśród mieszczek dla znawstwa ziół, kazał go sobie sprowadzić. Ow, jakby spodziewając się, że

go zawezwą, na pierwsze skinienie ławnika przesadził płot i w paru susach stał się przed Tammonem. Osobliwa postać! W cudzoziemskim, kusym kubraku, szeroki w barach a na cienkich nogach, ramiona miał niezwykle długie i ruchliwe. Gdy sięgnął z głowy wyleniałą czapę, zdziwiła wielka łysina przy tak młodej twarzy. Czarne, jakby skośne oczy pozierały bystro i zachęcająco. Podkomorzemu przypominał czemuś czarownika, aż spytał go najpierw surowym głosem:

— Chrześcijaninem jesteś?

— Rodem ze Świeradowa, domowy sługa księcia jaworskiego! — odpowiedział zbyt pewnie.

— Znasz się na bólach?

— I na bólach, i na śmiechu, i na śmierci, i na życiu!

— Śmiałyś! Wiesz, co trzeba, gdy białka urodzić nie może?

— Trzeba by urodziła!

— Uważaj! Widzisz szubienicę? Za złą radę zawiśniesz na niej!

— A za dobrą?

— Zobaczymy! Idź tam!

Stanąwszy przed chatą Jakub zdjął kubrak i podał go stojącemu obok Mętonogowi. Zdalo się parobkowi, że mrugnął nań przy tym porozumiewawczo. Przeżegnawszy się trzykrotnie, zapukał. Na gniewliwy odkrzyk: „Kto?” powiedział basem a głośno, by wszyscy usłyszeli:

— Magister Jacobus, dawny medicus nadworny Anissy, księżnej śląskiej na Jaworzu. Otwierać!

Gdy odemknięto drzwi, rozwarł je na oścież i nie pozwolił zamknąć za sobą. Słyszano jego bas sprzeczący się z babskimi piskami a potem ostre przekomarzenia się z ojcem Piotrem. Z ciemnego wnętrza izby parowało na dwór duszne powietrze. Andrzej drgnął rozpoznając znajome jęki Katarzyny. Te same słowa, tylko głos wiele słabszy. Ludzie zmilkli nieswojo, oczekując, co z tego wyniknie. Nie spodobał im się ten nowy. Tammon tarosił wąsa. Muma szlochala, ze zgrozą patrząc na czeleść izby. Długą tam ciszę przerwał nagle ostry krzyk. Potem znów cisza, rozmowy, wreszcie wychyliła się łowczyni Stronka, by drzwi zamknąć. Na widok jej beznosej twarzy ludziom zrobiło się przykro. Niektórzy pomyśleli, że pewnikiem mogą wracać domą z żalčną wieścią. Nie ruszyli się jednak i doczekali, gdy na progu chaty stanął ojciec Piotr, do rzeźnika podobniejszy niż do zakonnika, i znużonym głosem obwieścił:

— Księżna i córka żyją!

Tak mało radości było w jego słowach, że parę głosów „Niech żyją!” zgłaszało bez powtórzenia. Ludzie rozchodzili się na poły pocieszeni. Na podwórku został Andrzej z synem, podkomorzy Tammo, niania Muma, paź księżnej i Mętonóg z kubrakiem Jakuba. Niezabawem nadeszła księżna Agnes z dworkami. Giermkowie przydzwigali krytą lektykę. Oczekano jeszcze z różaniec, zanim medicus Piotr zezwolił przenieść Katarzynę na zamek. Nowo narodzona księżniczka pozostała u Kordalów. Wymagał tego zarówno medicus jak i magister Jakub. Matka była tak słaba i wykrwawiona, że poważnie obawiano się o jej życie.

Zmierzchało, gdy Andrzej z małym Piotrem dostali się do swej izby. Sabina zamiatała podłogę. Łowczyni Stronka ciskała w ogień zbrukane szmatki. Powietrze woniało mdło ziołami i swędem spalenizny.

Na łóżnicy, w pośrodku leżała Maryna. Do prawej piersi przyciskała swego, lewą, pełniejszą grzała córeczkę księżnej. Któreś dziecię skrzeczało. I ogień na palenisku skwierczał pożerając zakrwawiony gałgan. Gdy żywszy płomień wychynał z dymu i oświecił beznosą twarz Stronki, małemu Piotrowi zdało się, że widzi śmierć we własnej osobie. Odetchnął z ulgą, gdy łowczyni wyszła. Wtedy i ogień śmierniej zapłonął. Sabina przypomniała sobie o Bartłomieju. Przysuwając kołyskę bliżej ognia nuciła wesołą piosenkę. Przeżyła chyba najpiękniejszy dzień swego życia. Na jej rękach malutka, na wpół-uduszona księżniczka, wnuka królów, wydała swój pierwszy krzyk! Cierpienia Katarzyny nasyciły jej pożydlwość...

Andrzej podrzucił szczapę na palenisko, wyrównał ogień, postął chwilę rozcierając czoło, wreszcie podszedł na palcach ku łożu i przysiadł ostrożnie na kraju desek. Musiał coś rzec Marynie a nie wiedział, jakie dobrać słowa. Jak wyrazić wdzięczność i współczucie, a jednocześnie wyzbyć się żalu do niej czy do samego siebie, że tak się to wszystko frasobliwie skończyło. Że to brzemię, które wydarł zamieci i niósł w porywie szczęścia na własnych ramionach, w końcu na nią całe zrzucił. A wtedy odsunięto go, bo ona była potrzebna, ona najważniejsza, zasłużona...

Oparł dłoń, nie za ciężko, na stopach żony. Milczeli. Sądził, iż usnęła. I jemu chciało się spać. Miał obolałą duszę. W bezruchu nogi paliły go, jakby odmrożone. A jej stopy chłodne.

Gdy Piotr chciał zajrzeć do matki, odsunął go szorstko. Chłopiec cofnął się bezszelestnie do ogniska. Szeptał z Sabina. Maryna westchnęła.

— Nie śpisz?

— Niel

— Może ci pomóc, Marynko?

— Daj ciepłego mleka.

— Sabina grzeje.

— Powiedz, co Miron?

— Odnaleźli go w lesie, za Komorowem. Z rozbitą głową, zmarzłego. Sanie roztrzaskane a konie całe. Musiał Zły zagryźć kogoś w tę noc.

— Mogło i ciebie to spotkać, gdybyś z księżnymi jechał.

— Dlaczego ja miałbym jechać? — zdziwił się, boć przecież nie wiedziała o odmowie. Podniósł się, by wziąć od Sabiny kubek. Maryna ułożyła swego pod ramieniem, przechyliła się na bok i piła. Łykała chciwie, do dna. Opadła na poduchę i przymknęła oczy.

— Nacierpiałas się, bidulo! — pokiwał głową.

Uśmiechnęła się wpierw, nim odemknęła powieki.

— Żebyś wiedział! Ale szczęśliwa jestem, bo mam oba przy sobie... Synek przyszedł zbyt łatwo. Musiałam córeczkę razem z nią urodzić. Ty tego nie pojmiesz! W ostatniej chwili to ja dostrzegłam, że ma pępowinę na szyjce. Byliby ją udusili... Andrzeju! Ty tego nie zrozumiesz, dlaczego aż tak jestem szczęśna.

Nie rozumiał, ale odczuł, po raz pierwszy od wczorajszych dzwoń, może od dawniej, od owego snu, że ma prawo być spokojny. Nie jest winny nieszczęścia. Błysło mu, iż gdyby nie ta jego odmowa, zawierucha i błąd woźnicy, nigdy by Katarzyna nie znalazła się na jego ramionach, nie rodziłaby razem z Maryną, uszczęśliwiając ją jakoś swą córeczką. Aż go senność odeszła, gdy to odczuł. A wdzięczność pomnożyła się. Musi pomóc żonie. Ona dokonała najwięcej a nie narzeka. Od jej sił zależy życie tych oboje.

— Zaśnij sobie, Marynko. Ja was dopilnuję — pogłaskał ją po stopach.

— Widziałeś dzisiaj Marka?

— Widziałem! Oddycha lżej. Maciejko mówi, że do niedzieli będzie zdrów.

— Chwała Bogu! Ja jutro też wstanę. Spocznij, Andrzeju, przy mnie, tylko nie za blisko. Ty też dawno nie spałeś. A mnie dobrze, gdy tak sobie leżę. Odpoczywam i dumam. Piotr niech legnie na skrzyni. Sabina przypilnuje ognia.

Wlaż na łożnicę, lecz nie wyciągnął się, jeno oparł plecami o ścianę i opatulił kożuchem. Przyglądała mu się spod cienia rzęs.

— Mówiłeś dziś pacierze?

— Nie!

— To zmówmy. — Uśmiechnęła się: — Nie będę klęczeć, ale szepać mogę. Ojej! Tyle Zdrowasiek za wszystkich i wszystko!

Nim uklęknął, zagadnęła:

— Jakie mu damy imię?

Przypomnienie snu zawstydziło go.

— Nie wiem! — burknął, żegnając się.

— Ja też nie wiem... Księżna Agnes wspomniała, że chce być jego chrzestną...

— A jakie sobie przyniósł?

— Wczoraj było Symeona. Pytałam ojca Piotra. To siostrzan Najświętszej Maryi Panny. Biskup i męczennik. Żył bardzo, bardzo długo.

— Czemu o to pytałaś?

— Z ciekawości.

— Niech ma to, jakie sobie przyniósł — mruknął niepewnie.

— Symeon... Symek! Mleczny brat małej księżniczki. Sy-me-on — wymówiła czule, smakując brzmienie głosek. — Może będzie szczęśliwy? Nie znam, kto by podobne imię nosił...

WŁADYSŁAW ABRAHAM (1860-1941)

(Dokończenie)

B. Inne prace z zakresu historii Kościoła

Po ogłoszeniu „Organizacji Kościoła w Polsce do połowy XII w.” Abraham pragnął zająć się opracowaniem dalszych dziejów kształtowania się ustroju i prawa tego Kościoła aż po czasy najnowsze. Z kolei miał być przedmiotem okres walki Kościoła z władzą państwową i okres jego dążeń do zdobycia w państwie uprzywilejowanego stanowiska. Niemal wszystkie jego studia i rozprawy wynikały z badań nad tym tematem, były pracą przygotowawczą do ujęcia całości. Lecz ostateczne napisanie dalszego ciągu „Organizacji” opóźniało się i niestety nigdy nie zostało urzeczywistnione.

Tymczasem gromadził się w jego ręku inny materiał, dotyczący dziejów Kościoła na Litwie i Rusi, a wzrósł on znacznie i wzbogacił się nowymi i nieznanymi zupełnie dokumentami dzięki poszukiwaniom, które od szeregu lat prowadził w Archiwum Watykańskim, jak również dzięki zbadaniu innych archiwów i bibliotek. W ten sposób powstała nowa praca⁵¹⁾.

Dzieło jest w założeniu i tytule prawno-historycznym. Niedostatki źródeł sprawiły, że historia przeważała wielokrotnie nad historią prawa i dopiero ku końcowi momenty organizacyjno-prawne mogły wystąpić silniej i wyraźniej. Jako historyk, Abraham potrafił przejrzeć grę polityczną, sięgając aż do motywów i zamiarów nie zawsze ujawnianych, rozumiał wszelkie stosunki, sploty interesów, trudności i sposoby ich przewycięzania, wreszcie ludzi ówczesnych od strony idei i od strony czynu, jak np. Kazimierza Wielkiego w jego polityce ruskiej i biskupa Eryka przemyskiego w kościelnej. Jako kanonista, przedstawił rozmaite prawa i uroszczenia, jak np. kwestię lubuską,

⁵¹⁾ Abraham, „Powstanie organizacji Kościoła łacińskiego na Rusi”, Przedmowa, p. V—VI.

tak niefortunna w dziejach Kościoła na Rusi, dał wnikliwy obraz spraw majątkowych i ich ocenę ze względu na interes Kościoła, nie pominął sporów jurysdykcyjnych duchowieństwa zakonnego ze świeckim, co powstrzymywały od strony prawnej faktyczny rozwój organizacji.

„Powstanie organizacji Kościoła łacińskiego na Rusi” nosiło już w tytule napis: „Tom pierwszy”. Przedmowa, którą autor poprzedził swe dzieło, zapowiadała tom drugi. Nad tym drugim tomem pracował latami całymi, odrywany od pracy przez inne studia naukowe i rozliczne zajęcia, hamowany w niej stanem zdrowia. Ale gromadzony materiał spowodował napisanie kilku pomniejszych prac w zakresie tego tematu. Ostatnia z nich wyszła w r. 1937⁵²⁾. Nasuwa się analogia z „Organizacją Kościoła w Polsce”. Zamiar napisania dalszego ciągu wykonany nie został, tak tu, jak tam — i w obu wypadkach tak samo powstawały poszczególne prace, które kiedyś ujęte razem i uzupełnione złożyły się miały na większe dzieło.

Praca nad powstaniem organizacji Kościoła łacińskiego na Rusi zakresłona była szeroko i dlatego wciągała autora w coraz to nowe problemy, wykraczające nieraz poza właściwy teren ruski. Nic więc dziwnego, że Abraham w głównym dziele uwzględnił również zagadnienie pierwszych misji na Litwie, że nie pominął biskupstwa łukowskiego dla Podlasia, co zaistniało i rychło zgasło w połowie XIII w.⁵³⁾, że wreszcie w osobnych pracach zajął się dalej niektórymi z tych zagadnień.

Diecezja krakowska, najobszerniejsza ze wszystkich polskich, bo sięgająca od stolicy państwa po jego wschodnie kresy, przy tym diecezja przodująca na polu organizacji i kultury, mogła więcej niż inne dostarczyć sił, a nawet swego obszaru dla misyjnego dzieła. Wykrojenie z jej północno-wschodnich ziem biskupstwa w Łukowie to jeden taki projekt. Drugim jest kwestia utworzenia biskupstwa w Lublinie i połączenia tej lubelskiej części diecezji krakowskiej z biskupstwem chełmskim w jedną całość diecezjalną. Rozumne zamierzenie króla Jagielly, poparte przez arcybiskupa gnieźnieńskiego,

⁵²⁾ Abraham, „Z dziejów dawnego biskupstwa łacińskiego w Łucku”, „Kwartalnik Hist.” r. 1937.

⁵³⁾ Abraham, „Powstanie organizacji Kościoła łacińskiego na Rusi”, 158—161.

zostało udaremnione przez opór Zbigniewa Oleśnickiego, potężnego biskupa krakowskiego. Król musiał ustąpić, bo sprawa następstwa tronu skłoniła go do zgody, a wśród żądań szlachty znalazło się zdanie, by król na przyszłość nie czynił zmian w ustalonych od dawna granicach polskich diecezji⁵⁴).

W zbiorowym dziele „Polska i Litwa w dziejowym stosunku” (1914 r.), które sam redagował, umieścił studium: „Polska a chrzest Litwy”⁵⁵). Wykazał w oparciu o dawniejsze swe badania⁵⁶), że chrystianizacja Litwy nie była dziełem nagłym i nie przygotowanym, że nie wynikała ona tylko z małżeństwa Jagielly i z unii z Polską, lecz że akt ten poprzedzony został przez usiłowania i prace misyjne trwające półtora wieku. Pierwsi misjonarze to polscy dominikanie z otoczenia św. Jacka; pierwszy biskup dla Litwy to jego towarzysz i uczeń Wit, wyświęcony przez arcybiskupa gnieźnieńskiego Pelkę w r. 1253. Ale na pogańskiej Litwie krzyżowały się i rywalizowały z sobą dwa wpływy: polski i niemiecki, idący od Zakonu Krzyżackiego i od arcybiskupstwa w Rydze, oba o całkiem odmiennym charakterze. Kler niemiecki nie zajmował się nawracaniem Litwinów, o ile nie widział w tym celu politycznego, i dlatego osiągał wyniki nietrwałe i nieugruntowane, które zawsze obracały się w niwecz, ilekroć zmieniała się sytuacja. Inaczej postępowali Polacy. Punkt oparcia znajdowali u góry w nierzadkich małżeństwach w łonie dynastii: Piastów i Gedyminowiczów, u dołu w licznych polskich osadach na ziemi litewskiej, głównie powstałych z jeńców. Dynastia litewska odznaczała się tole-, rancją religijną, tylko lud prosty posuwał się czasem do ekscesów przeciw misjonarzom. Stąd pierwsi męczennicy — 14 Franciszkanów w Wilnie i pierwszy tam kościół.

O biskupie wileńskim po raz pierwszy jest wzmianka w r. 1359. Był nim niejaki Piotr, który bawił na dworze papieskim w Awinionie, nie w swej tytularnej stolicy. Założycielem biskupstwa jest król

⁵⁴) Abraham, „Projekt utworzenia biskupstwa w Lublinie w XV w.”, „Kwartalnik Hist.”, 1915 r., p. 484.

⁵⁵) Abraham, Wyszło także w tłumaczeniu włoskim M. Loreta pt. „L'Apostolato del clero polacco in Lituania”, Roma 1914. Agenzia polacca di stampa.

⁵⁶) Abraham, „Powstanie org. Kośc. łac. na Rusi”, 151, 179—189, 225 i dokumenty nr 3 i 4 w dodatkach.

Jagiello, bulla erekcyjna pochodzi z 12 marca 1388 r.⁵⁷⁾. Biskupem został biskup Andrzej z Seretu w Moldawii, franciszkanin, który bawił zapewne przedtem na Litwie w celach misyjnych. Abraham podkreśla i dowodzi, że w pracy misjonarskiej i w organizowaniu Kościoła na Litwie najzupełniej obcy był cel polonizowania Litwinów. Prawda, że działali Polacy, pochodzący po części z polskiej ludności tutaj osiadłej, ale byli i Czesi, jak słynny później — Hieronim z Pragi, a najgorliwszym misjonarzem był sam król. W r. 1397 królowa Jadwiga zakłada przy uniwersytecie w Pradze specjalne kolegium dla kształcenia adeptów litewskiej narodowości. Litwini, zastrzegając sobie w przywilejach, np. w wielkim przywileju od Kazimierza Jagiellończyka z r. 1447, dostęp do dostojenstw także kościelnych, mają na myśli nie narodowość — ideę w XV w. zgoła nieaktualną — lecz przynależność państwową, i tak jedynie należy pojmować wszelkie ich ambicje i spory na tym tle wynikłe.

Kiedy z końcem XIV i początkiem XV w. Polska posiadała dwie prowincje kościelne, powstało zagadnienie organizacji kościelnej wyższego rzędu, która by te dwie prowincje w jedną całość ujęła i na której czele stanąłby jeden, godnością najwyższy, dostojnik. Było to ważne nie tylko ze względów na Kościół polski, lecz także na interes państwa, które w tym czasie z Kościołem pozostawało w ścisłej łączności. Taką mogła być tylko prowincja prymasowska, takim mógł być tylko prymas królestwa. Ale godność ta z punktu widzenia jurysdykcji już się przeżyła i od XII w. Stolica Apostolska jej nie nadawała, chyba razem z godnością legata urodzonego, który jako dygnitarz papieski tamtego krajowego absorbował i pokrywał. Mimo to jednak udało się arcybiskupowi Mikołajowi Trąbie otrzymać dla siebie i swych następców godność prymasa. Wiadomo nawet, kiedy się to stało, a mianowicie na soborze w Konstancji, gdyż dopiero po powrocie z soboru Trąba godności tej używał. Jak do tego doszło i jakie są prawne podstawy polskiego prymasostwa, rozpatruje praca k. s. Henryka Likowskiego: „Powstanie godności prymasowskiej arcybiskupów

⁵⁷⁾ „Kodeks dyplomatyczny katedry wileńskiej” w opracowaniu śp. profesorów X. Fijałka i Wł. Semkowicza ukaze się niebawem jako wydawnictwo Polskiej Akademii Um.

gnieźnińskich”⁵⁸), w 1915 r., a wyniki jej krytycznie ocenia, prostuje i uzupełnia recenzja Abrahama. Ze względu na doniosłość tematu i trafność wywodów, zawsze na źródłach opartych i z ich wnikliwej interpretacji wysnutych, recenzja ta stanowi jakby rozdział nie napisanej organizacji Kościoła w Polsce XV w. Sobór to uznał Mikołaja Trąbę w jego prymasowskiej godności tak, jakby ją prawnie tenże posiadał, soborowa komisja ceremoniału wyznaczyła mu miejsce po prymasach, lecz przed wszystkimi metropolitami, choć starszymi od niego datą nominacji, a papież Jan XXIII i Marcin V przyjęli to jako fakt istniejący. Choć więc nie było osobnej bulli papieskiej, ani tym mniej jakiegoś aktu władzy królewskiej, jednak za poparciem Kościoła i państwa polskiego zaistniała godność prymasa, do której w sto lat później dodał Jan Łaski od Leona X otrzymaną godność legata.

C. Zawarcie małżeństwa w pierwotnym prawie polskim

Oto tytuł trzeciego głównego dzieła Abrahama, które się ukazało w r. 1925 nakładem Towarzystwa Naukowego Lwowskiego jako IX tom „Studiów nad Historią Prawa Polskiego”, wydawanych pod redakcją Oswalda Balzera.

Prawo małżeńskie nie było dla prof. Abrahama czymś obcym, wprost przeciwnie, śledząc jego zainteresowania i studia, można było dostrzec, że zajmował się nim gruntownie i od szeregu lat, i to w tym stopniu, że stanowiło ono osobny krąg jego twórczości. Z profesorskiego obowiązku uwzględniał je w swoich wykładach tak pod względem dogmatycznym, czyli interpretacji prawa, jak historycznym, czyli jego rozwoju, dodając przy tym wyniki własnych badań nad prawem małżeńskim w dawnej Polsce. Nieraz recenzował prace polskich i obcych autorów z tej dziedziny, a jego recenzje świadczyły o opanowaniu przedmiotu i wyrobieniu sobie w nim krytycznego sądu⁵⁹). Śledził wreszcie ustawodawstwo nowe, tak kanoniczne jak państwowe,

⁵⁸) Ks. Henryk Likowski, „Powstanie godności prymasowskiej arcyb. gnieźn.”, *Przegląd Hist.* 1915 r.; Abraham, recenzja tej pracy, *„Kwartalnik Hist.”* 1920, p. 120 n.

⁵⁹) Np. recenzje z dzieł:

Hussarek, „Die bedingte Eheschliessung”,

Hubrich, „Das Recht der Eheschliessung in Deutschland”,

na tym polu, a nawet sięgał do projektów ustawodawczych. Tu wymienić należy jego obszerną pracę „Forma zawarcia zaręczyn i małżeństwa w najnowszym ustawodawstwie kościelnym”, drukowaną najpierw w czasopiśmie „Przegląd Prawa i Administracji”, następnie zaś w dwu książkowych wydaniach w r. 1909 i 1913. Choć praca ta zajmuje się dekretem papieża Piusa X „Ne temere”, więc ma za przedmiot najnowsze w danym momencie ustawodawstwo kanoniczne, lecz postawiona jest na rozległym tle, i to podwójnym, bo historycznym i porównawczym ze względu na przedstawienie prawa małżeńskiego, obowiązującego wtedy na ziemiach polskich pod trzema zaborami. Pozwala też ona wysnuć pewne wnioski o zainteresowaniach badawczych autora: po pierwsze, że zajmuje się on szczególnie kwestią zawarcia małżeństwa i formą tegoż zawarcia, po wtóre, że znane mu są z własnych badań niektóre instytucje dawnego prawa małżeńskiego w Polsce, jak instytucja dziewosłębów (tłum.: paranymphei) i kwestia zapowiedzi, będąca przedmiotem sporów między stanem szlacheckim a Kościołem ⁶⁰⁾.

W latach 1915 — 1925, czyli w ciągu dziesięciolecia poprzedzającego publikację, kiedy praca nad dziełem jest w toku, a ono samo wysuwa się na pierwszy plan zadań naukowych autora, daje on od czasu do czasu pewne części już gotowe lub pewne zagadnienia uboczne w postaci odczytów na towarzystwach naukowych, albo rozpraw osobnych. Są to mianowicie odczyty na tematy następujące: 1. „Znaczenie prawne postrzyżyn przy zawarciu związku małżeńskiego w pogańskiej Polsce”, 1915. 2. „Małżeństwo przez kupno w dawnej Polsce”, 1923. 3. „O dziewosłębach w Polsce pogańskiej”, 1923. 4. „Rozwój ślubu przedkościelnego w Polsce”, 1925 — i prace pod tytułami:

I. *„Z dziejów prawa małżeńskiego w Polsce. Zezwolenie panującego, lub panów na małżeństwa poddanych i świeckie opłaty małżeńskie”*, 1916.

Ks. biskup Pelczar, „Prawo małżeńskie katolickie z uwzględnieniem prawa cywilnego obowiązującego w Austrii”, 1—3 t.

Lutostański, „Zaręczyny w prawie małżeńskim z r. 1836”.

Wszystkie drukowane w czasopiśmie „Przegląd Prawa i Administracji” z lat 1893, 1899 i 1908.

⁶⁰⁾ Abraham, op. cit. p. 10, przypis 3 i p. 22, przypis 3.

II. „Dziwostęb”. Studium z dziejów pierwotnego prawa małżeńskiego w Polsce, 1922.

Ponieważ odczyty znane są tylko z krótkich sprawozdań, zresztą w formie pełnej i wykończonej znalazły się one w dziele na właściwych miejscach, więc zajmujemy się tylko obiema pracami z zakresu dziejów dawnego polskiego prawa małżeńskiego.

Praca pierwsza⁶¹⁾ ma za przedmiot rozmaite rodzaje i stopnie zacieśnienia swobody zawierania małżeństwa, istniejące w Wiekach Średnich. To zacieśnienie bardzo rozmaitej i rozległej skali wynikało z takich stosunków powstałych na tle władzy człowieka nad człowiekiem, jak niewola i poddaństwo a zawisłość lenna i podległość państwowa w stosunku do panującego monarchy. W miejsce dawnej dowolności panów, która graniczyła z przymusem małżeńskim, wchodzi zezwolenie na małżeństwo poddanych kobiet, a to prawo zezwolenia zamienia się później na opłaty małżeńskie o różnym charakterze i uzasadnieniu, więc jako taksa zwyczajna przy tej okazji uiszczana, względnie jako osobny podatek, jako udział pana w cenie kupna żony, jako wykup kobiety od jej dawnego pana, gdy przez małżeństwo wchodziła w inny poddańczy stosunek. Autor przeprowadza badania porównawcze o dalekim zasięgu. Terenem jego są nie tylko ziemie polskie, ruskie i litewskie, ale cała Słowiańszczyzna, zwłaszcza zachodnia, Węgry i Niemcy. Ruś dostarcza materiału niezwykle bogatego. Opłata małżeńska nazywała się tam *kunica swadziebna*, co zdaje się pochodzić od skórek kuny, w których była płacona. Prócz tych jednak skórek bywały inne przedmioty opłaty, jak ręcznik, ciasto (korowaj) i pieniądze. Kunica jest powszechna na całej Rusi i bardzo dawna. Pierwotnie pobierana przez księcia, została przez niego ustąpiona bojarom. Z czasem ograniczono ją tylko względem kobiet idących za mąż do obcych wsi i w tej formie złagodzonej utrzymała się na ziemiach ruskich państwa polskiego do końca XVIII w., a nawet gdzieś indziej istniała w pierwszych dziesiątkach XIX wieku.

Na Litwie pogańskiej wyższe warstwy związane były zezwoleniem księcia, co zniósł Jagiełło w r. 1387. Są nawet przykłady, że panujący zmuszał kobiety do zamążpójścia, nie pytając o ich wolę, co wynikało ze stosunku mającego podobieństwo do stosunku lennego. Jak książę

⁶¹⁾ Drukowana w „Księdze Pamiątkowej ku czci Bolesława Orzechowicza” 1916 r., I.

wobec szlachty, tak szlachta postępowała wobec poddanej ludności. Zezwolenie było konieczne. I w rdzennej Polsce potrzeba było zezwolenia pana, zwłaszcza przy małżeństwie do innej wsi. W kierunku swobody oddziaływał Kościół i kolonizacja na prawie niemieckim. Ale tak zdobyta swoboda poczęła ulegać zacieśnieniu pod koniec XV w. wraz z nastaniem poddaństwa. Ostatnim tego śladem było udawanie się do dworu młodej pary po błogosławieństwo. Oplat małżeńskich Polska nie знаła, z wyjątkiem jednej dzielnicy: Mazowsza, a i tam posiadały one specjalny charakter i osobliwe nazwy. Kunne — to opłata w razie wydawania córek za mąż poza granice Mazowsza, więc rodzaj podatku emigracyjnego; swadziebne — kontrybucja nakładana przez panującego, gdy on sam się żenił lub swym dzieciom sprawiał wesele. Wreszcie wdowy składały księciu donicę miodu przy powtórnych związkach małżeńskich, a drogą zezwolenia przez panującego zyskiwały w ogóle możność wyjścia za mąż.

Prawdziwą zagadkę stanowiły dla historyków prawa trzy wyrażenia ze statutu synodalnego sieradzkiego z r. 1262. Są to wyrazy polskie, nie wiadomo czy wiernie oddane, a mianowicie: „dzewicze”, „wdowine”, „pasterne”. Przymnaża kłopotu i wikła niemało sens wyraz „ne rapiantur”, czyli zakaz, by tych przedmiotów nie zabierano, i to pod karą klątwy. Zagadkę tę rozwiązał dopiero Abraham w sposób zdumiewająco trafny. Z jakimiś opłatami małżeńskimi nie ma to nic wspólnego, ani z instytucją małżeństwa. „Dzewicze”, albo „dzyanicza”, to pokrycie na łóżko, tyle co kołdra lub pościel. Najtrudniejsze do wyjaśnienia „pasterne” albo „pasterie” — to dzieża (naczynie, rodzaj miski) do chleba lub ciasta. Otóż te przedmioty, o ile należą do wdowy, stanowić mają jej nienaruszalną własność i mają być chronione („ne rapiantur”) przed wszelkim zaborem i wszelką egzekucją. Taki jest sens przepisu synodalnego. Kościół występuje tu w roli obrońcy wdów jako istot uciśnionych.

„Dziewosłęb”⁶²⁾ jest instytucją małżeńską bardzo dawną i bardzo powszechną, treści bogatej a ewolucji ciekawej. Abraham bada, zestawia i porównuje tę instytucję, występującą pod różnymi nazwami, jak: dziewosłęb, swat, starosta, paranympfi, proci, oratores, Fürsprecher — u różnych ludów aryjskich, w dziełach, pomnikach prawnych i obyczajach ludowych. Dziewosłęb — to pierwotnie poseł oblubieńca,

⁶²⁾ Drukowane w „Studiach nad historią prawa polskiego”, 1923 r., VIII.

ale raczej mąż zaufania obu stron, pośrednik konieczny, który przeprowadza i do skutku przywodzi zawarcie małżeństwa w obu zasadniczych fazach: zmówin (zaręczyn) i zdawin (oddania kobiety). On też kieruje całą uroczystością weselną. Jego rola prawna polega na zbadaniu woli stron, na połączeniu oblubieńców przy pomocy różnych symbolów, jak połączenie dłoni, wianek i pierścionków, i na ewentualnym świadczeniu o ważności aktu małżeńskiego. Dawniej spełniał to kapłan pogański, ofiarnik czy wróżbita, później — dziewosłęb, człowiek poważny, z wymaganiami zwyczaju prawnego dobrze obznajomiony w czasach zarówno przed przyjęciem chrześcijaństwa jak później, gdy forma kościelna nie była jeszcze wymagana ani — szczególnie między ludem — rozpowszechniona, wreszcie wszedł w jego miejsce pleban.

W rozwoju tej ważnej instytucji Abraham wyróżnia dwie fazy: w pierwszej przeważa pierwiastek sakralny, z prastarych czasów rodem, i moment władzy publicznej, w drugiej schodzi ona na pole prawa prywatnego, ale zawsze się obraca w kręgu zwyczajów prawnych. Instytucja ta nie jest wyłącznie pochodzenia germańskiego, jest ona wspólną własnością wielu ludów aryjskich, a wśród nich i ludów słowiańskich z narodem polskim, jej zaś początki sięgają daleko w głąb czasów pogańskich i obyczajów w nich wytworzonych.

„Zawarcie małżeństwa w pierwotnym prawie polskim” jest dziełem prawnohistorycznym. Teren i naród poddany badaniu każą je zaliczyć do historii prawa polskiego, przedmiotem zaś styka się ono wielokrotnie i wielorako z prawem kościelnym, a nawet w nie wchodzi głęboko, stoi tedy jakby na pograniczu tych dwu praw. Ponieważ zaś małżeństwo jest podstawą nie tylko organizacji społecznej, lecz i kultury każdego narodu, gdyż na całe jego życie materialne i duchowe wywiera daleko sięgające skutki, więc dzieło Abrahama należy prócz historii prawa również do historii kultury. Autor starał się uwzględnić ów tak różnorodny charakter instytucji małżeństwa i dlatego rozszerzył pole swego badania poza zjawiska ściśle wchodzące w zakres prawa, a nawet używał nieraz metod, zaczerpniętych z innych nauk. A przecież dzieło jego nie jest etnologiczne, chociaż się na tym materiale w znacznej części opiera, ani socjologiczne, chociaż o te zagadnienia potraça, ani porównawcze, chociaż się tą metodą nieraz posługuje. Jest ono historyczno-prawne, bo nie dąży do rozwiązania

innych pytań, jak tylko z dziedziny prawa polskiego, i nie inne, jak tylko prawne stosuje kryteria i oceny odnośnie do swego poznawczego materiału⁶³⁾.

Tego zaś materiału dostarczyły przede wszystkim ludowe obyczaje polskie, słowiańskie i obce, tak barwne i bogate, a ujęte w bardzo obfitej literaturze etnologicznej, ale ujęte inaczej, dla innych celów i nie z prawnego punktu widzenia. Wydobyć z nich elementu prawnego, czynności o prawnym znaczeniu, bo prawne pociągających skutki, osób spełniających prawne funkcje — oto zadanie autora w stosunku do etnologicznego materiału. Pod tym względem jest on oryginalnym nie tylko w literaturze naukowej polskiej, lecz światowej i dzieło jego nowe otwiera drogi metodologiczne. Dostarczyły mu materiału — co prawda z doby późniejszej — księgi sądowe, zarówno z sądów świeckich jak duchownych, odnośnie do spraw małżeńskich, w których występuje moment zawarcia małżeństwa. Tutaj sięgnął poza zapiski, zawarte w wydawnictwach źródeł, i robił badania archiwalne, przy czym przejrzał wszystko, co pochodziło z w. XIV, a dużo z XV. Dostarczyły mu go wreszcie rytuały kościelne małżeńskie, choć to był materiał raczej liturgiczny, pośrednio tylko łączący się z planem pracy. Rytuały te, mieszczące się bądź w księgach rytuałowych, bądź w tzw. agendach, czyli podręcznikach dla kleru parafialnego, nie tylko po raz pierwszy zużytkował dla celów naukowych, ale odkrył, zebrał w poszukiwaniach po bibliotekach i archiwach katedralnych całej Polski i uprzyściplenił dla nauki przez to, że je opublikował w pełnym tekście w dodatku do swego dzieła. Jest tych rytuałów 14 z rozmaitych polskich diecezji z czasu od początku XIII po połowę XVI wieku⁶⁴⁾.

Jak zawsze u Abrahama, tak w tym specjalnie dziele zdumiewa szerokość podstawy źródłowej i mistrzowskie tymi źródłami zawładnięcie. Duch zaiste klasyczny: ładu i jasności, duch konstrukcji nie-

⁶³⁾ Wyjaśnia to sam autor w przedmowie, p. 4.

⁶⁴⁾ Agendy i rytuały dostarczają również ciekawego porównawczego materiału, jeśli je zestawić z takimiż podręcznymi księgami, używanymi na Zachodzie, gdyż mogą wyznaczyć wpływy oddziałujące na Kościół polski. Autor wskazał na podobieństwa rytuałowe ksiąg polskich z Bambergiem, Francją, Hiszpanią i Włochami, ale wstrzymał się od ostatecznych wniosków ze względu na szczupłość podstawy porównawczej i brak studiów monograficznych w tej kwestii, które by teren, dotąd mało zbadany, przygotowały.

ledwie architektonicznej ⁶⁵⁾, duch planowości i celowości promieniuje z każdego rozdziału, z każdej bez mała stronicy. I dlatego dzieło można bez przesady nazwać pomnikowym nie tylko w twórczości Abrahama, lecz w całej prawnohistorycznej literaturze polskiej, a nawet europejskiej.

Zwizły przegląd nie daje należytego pojęcia ani o bogactwie treści, ani o wartości dzieła Abrahama. Znaczą bowiem nie same wyniki, do których doszedł, lecz sposób dowodzenia, zużytkowania wiadomości ze źródeł i cała subtelna gra argumentów, tam zwłaszcza, gdzie nie można wysnuć wprost odpowiedzi na zadane pytania, bo źródła nie mówią językiem wyraźnym, niekiedy zaś wiedzą na manowce. Dla przykładu podamy ustęp zawierający interpretację terminu „wiano” ⁶⁶⁾ i rozróżnienie dwu jego znaczeń: pierwotnego, które oznaczało cenę kupna żony i z czasem przekształciło się w podarek narzeczonego dla ojca narzeczonej, i późniejszego, z końca XIII i początku XIV w., w którym jest ono odwzajemnieniem męża za posag żony. To drugie „wiano” powstało pod wpływem pojęć prawa rzymskiego (*donatio propter nuptias*) i znajduje się najpierw w rodzinie książęcej, wskutek małżeństw z cudzoziemkami, a następnie dopiero i wedle tego wzoru ustala się i rozpowszechnia. Jednym z najważniejszych wyników jest stwierdzenie, że aktem właściwym i tworzącym małżeństwo było oddanie oblubienicy — przy udziale osoby trzeciej: dziewosłaba i przy licznych obrzędach rytualnych. Pod względem prawnym jednak obejmowało to oddanie dwa główne akty: wyłączenie z rodu, do którego kobieta należała, i przyjęcie jej do rodu męża i do jego związku sakralnego. Symbolem pierwszego aktu było obcięcie warkoczy, czyli postrzyżyny; symbolem drugiego — osłonięcie głowy narzeczonej zawojem, czyli oczepiny; formalizm charakterystyczny dla wszelkich stosunków pierwotnych i objawy ustroju rodowego, tak istotnego dla pierwotnych stosunków polskich.

⁶⁵⁾ Dzieło dzieli się na 3 główne części, a te znów na pomniejsze rozdziały:

I. Pierwotne małżeństwo i ustrój rodzinny w Polsce;

II. Zawarcie małżeństwa: (istotny trzon dzieła, ok. 300 stron na 432 całości) A) Nazwy, B) Sposób zawarcia, C) Forma zawarcia, D) Rozwój formy;

III. Wpływ formy świeckiej na formę kościelną: A) Wprowadzenie formy kościelnej w Polsce, B) Zaręczyny, C) Zapowiedzi, D) Ślub, E) Polskie kościelne rytuały małżeńskie.

⁶⁶⁾ A b r a h a m, Op. cit., p. 82 n.

Nie było więc w Polsce, według badań Abrahama, nigdy poliandrii, jak też nie było ustroju matriarchalnego, czyli gino-kracji i jakiegokolwiek prawa macierzystego. Była natomiast władza ojcowska, ale z tendencją do równouprawnienia płci, i był ustrój rodzinny, oparty na małżeństwie. Rola matki zaznacza się jednak wybitnie przy różnych obrzędach weselnych. Stwierdza, że nie było małżeństwa przez porwanie, przeciwnie niż u Słowian południowych. Porwanie było nielegalne, potępione i karane przez prawo, niezależnie od chrześcijaństwa. Natomiast zachowały się pewne ślady małżeństwa przez kupno w obrzędach i w słowie „wiano”. Ponad inne formy wysunęła się i ostała jako jedyna: umowa. Tu Abraham wyróżnia „zmówiny” i „zdawiny”, coś jakby germańskie „Verlobung” i „Trauung”. Istotne są „zdawiny” — to jest ślub, który potem połączył się z formą kościelną. Bogactwo polskich form obyczajowych sprawia chaos prawny. Autor wymienia i omawia aż 17 takich form obrzędowych, a spośród nich wyszczególnia jako specyficznie polskie i posiadające prawne znaczenie: „wianek”, zastąpiony później przez pierścień, ale przez szlachtę długo zachowywany jako znak konsensu i napicie się z puchara wręzonego przez swatów, co oznacza rezygnację kobiety z dotychczasowego stanu i jest prastarą częścią ceremoniału ślubnego, nie zaś zaręczyn. Z urzędów weselnych najważniejszym jest dziewosłęb jako ten, który małżeństwo doprowadzał do skutku, funkcjonariusz czysto świecki. Zawarcie małżeństwa wymagało czynności związanych z pewną formą, w której krzyżowały się elementy sakralne ze świeckimi. Laicyzacja jest objawem późniejszym, ale nigdy nie była ona zupełna, bo zachowało się wiele związków sakralnych dawnych, aż wkroczył Kościół i znów po swojemu wedle swych norm i zasad formę tę uświęcił. Do Polski przyszła forma kościelna jako już wyrobiona. Ale czynność kapłana jest aż do końca XV w. tylko uświęceniem i umocnieniem aktu zawartego między stronami. Słowa „ego vos coniungo” pojawiają się dopiero w 1496. Tak to kapłan wszedł w miejsce dziewosłęba. Rytuał kościelny więcej oddziałal na zwyczaj ludowy niż odwrotnie.

Dziwnym może się wydać, że praca tak rewelacyjna obudziła słabe echo w świecie naukowym. Wyrazem uznania — *succès d'estime* — była nagroda im. Probusa Barczewskiego za najlepsze dzieło w danym roku w Polsce napisana, przyznana przez Akademię Umiejętności.

Lwowski etnolog A d a m F i s c h e r dał w czasopiśmie „Lud” (1927 r.) recenzję niedługą i ograniczającą się do reprodukcji głównych wyników. Dopiero H e i n r i c h F e l i k s S c h m i d, profesor z Grazu, znakomity znawca spraw polskich i słowiańskich, w szczególności zaś pierwotnej historii, historii prawa i organizacji Kościoła w Polsce, badacz niestrudzony, a zarazem sumienny i bezstronny, ocenił w „Zeitschrift der Savigny Stiftung — kanonistische Abteilung” za rok 1926, dzieło odpowiednio do jego znaczenia i wartości. „Der Begründer der polnischen Kirchenrechtshistorischen Wissenschaft” — „meisterhafte Darstellung” — „das führende Werk der polnischen Mediaevistik” — oto kilka zaledwie spośród licznych jego sądów o autorze i jego pracy. Podniósł też jej doniosłość nie tylko dla prawa polskiego, nie tylko dla praw słowiańskich, ale nawet dla germańskich, dla całej w ogóle porównawczej historii prawa. Podniósł też podstawowe zalety, jak rozległość horyzontów, olbrzymi materiał źródłowy i w literaturze naukowej aż do drobnych wzmianek, aż do badań rękopisów, opanowanie wielu dziedzin wiedzy i połączenie w całość. Podkreślił fenomenalną oryginalność autora i dzieła, co nowe otwarło drogi. W parę lat później A l e k s a n d e r B r ü c k n e r w „Dziejach kultury polskiej”⁶⁷⁾ orzekł, iż „dzieło Władysława Abrahama „Zawarcie małżeństwa w pierwotnym prawie polskim” imponuje zarówno wiedzą jak bystrością sądu i przenikliwością prawnika-historyka”. Sam zaś autor, skromny i bynajmniej pokłasku nie szukający, miał pełną świadomość wartości swej pracy, na miarę włożonego w nią trudu i talentu, i na miarę wyników, które można było nazwać wynalazkami. „Ja sam tylko mogłem to opracować i napisać” mówił. Bo też tkwiła w tym dziele wielka część jego życia i powołania naukowego — misji. Dziś po 25 latach zachowało ono urok świeżości, właściwy tym, co się nigdy nie zestarzeją.

D. Ustawodawstwo bieżące i projekty ustawodawcze

Historia prawa kościelnego w Polsce była główną dziedziną zainteresowań i prac Abrahama, główną, ale wcale nie jedyną. Abraham bowiem miał poczucie i zrozumienie życia i jego najrozmaitszych potrzeb — ludzi i ich wielorakich stosunków, więc prawo nie było dla

⁶⁷⁾ B r ü c k n e r, Op. cit., I, p. 131.

niego tylko normą abstrakcyjną, samą w sobie i dla siebie istniejącą, lecz czynnikiem kształtującym życie i równocześnie je odzwierciedlającym, czyli czymś bardzo ludzkim, zarówno w swej treści jak w realizacji. Abraham, historyk prawa, był i ze studiów, i z praktyki, i z zamiłowań również dogmatykiem prawnym i tłumaczem prawa obowiązującego, i to zawsze najwyższej miary. Był także projektodawcą prawniczym, autorem wskazań i planów dla tworzącego się ustawodawstwa.

Pilną uwagę zwracał na wszystkie nowe prawa, tak powszechne jak partykularne, a że w dobie jego działalności profesorskiej i naukowej praw takich nie brakło, by wspomnieć tylko o ustawodawstwie papieża Piusa X i o „Kodeksie Prawa Kanonicznego”, więc natychmiast włączył je do swych wykładów i poddawał swej interpretacji. Prócz omawiania jednak z katedry, dostępnego dla ograniczonej liczby studentów, pisał szereg prac na temat ustaw bieżących, to zaś było przeznaczone bądź dla świata naukowego, bądź dla szerszych kół czytelników. Czołowe miejsce zajmuje w tej grupie rozprawa o „Nowym Kodeksie Prawa Kanonicznego”. W sposób szczególny zajmował się obowiązującym prawem małżeńskim, tak kanonicznym jak państwowym — najśluszniej, jeśli zważyć doniosłość tego prawa dla jednostek i całego społeczeństwa i żywe zainteresowanie, jakie ono zawsze budziło. Wreszcie rozległa dziedzina stosunku Kościoła do państwa stanowiła również przedmiot jego studiów. W wykładach uwzględniał stale i obszernie stosunki wyznaniowe na ziemiach polskich pod trzema zaborami, szczególnie zaś pod austriackim, do którego należał. Ukształtowanie się tego stosunku w państwie polskim skłaniało go ponadto do szeregu prac na takie tematy, jak „Konstytucja (z 17 marca 1921 r.) a stosunki wyznaniowe i Kościół” lub „Studia wstępne o Konkordacie” (polskim, zawartym 10 lutego 1925 r.⁶⁸). Dwukrotnie zabierał też głos w sprawie tworzonego właśnie w Komisji Kodyfikacyjnej polskiego prawa małżeńskiego⁶⁹).

⁶⁸) „Konstytucja a stosunki wyznaniowe i Kościół”. Nasza konstytucja, Kraków 1922; „Studia wstępne o Konkordacie Stolicy Apostolskiej z Rzpłtą Polską”, „Nowa Polonia Sacra”, t. 2, 1926.

⁶⁹) „Zagadnienie kodyfikacji prawa małżeńskiego”, Lwów 1927 i Lublin 1929; „Reforma prawa małżeńskiego w Italii”, Lwów 1929; „Konkordat włoski a kodyfikacja prawa małżeńskiego w Polsce”, „Przegląd Współczesny” 1929.

Z dziedziny prawa powszechnego kanonicznego XX wieku wymienić należy obszerną pracę Abrahama o dekrete papieża Piusa X „*Ne temere*” z dn. 2 sierpnia 1907 r. pod tytułem „*Forma zawarcia zaręczyn i małżeństwa w najnowszym ustawodawstwie kościelnym*” (I wydanie w r. 1909, II, przejrzone i poprawione, w r. 1913). Praca to o charakterze ściśle naukowym i z dokumentacją ze źródeł, a zarazem czyniąca zadość potrzebom studentów.

Epokowy fakt kodyfikacji prawa kanonicznego pobudził Abrahama do napisania niewielkiej, lecz niezwykle cennej rozprawy „*Nowy Kodeks Prawa Kanonicznego*”, 1918 r.⁷⁰⁾. Obok podobnych rozpraw takich kanonistów jak Stutz⁷¹⁾ i Hilling⁷²⁾ staje ona godnie na tym terenie i w imieniu nauki polskiej wnosi rzecz pomyślaną oryginalnie a napisaną pięknie.

Zaczyna od ogólnej charakterystyki. „*Nowy Kodeks*” — to pierwsza kodyfikacja kanoniczna we właściwym znaczeniu, bo dawne były tylko częściowe. To objęcie całości jest pierwszą wielką zaletą dzieła, drugą jest zwięzłość: wszystkiego 2414 kanonów, czyli paragrafów; trzecią — krótkość i jasność stylizacji poszczególnych postanowień. Zarzucenie kazuistyki i przyjęcie metody norm abstrakcyjnych stawia ten „*Kodeks*” na poziomie kodyfikacji nowożytnych. Przyjęta tu nowa systematyka — podział odmienny od stosowanego dotąd, choć również na 5 ksiąg — ma swoje dodatnie i ujemne strony, ale pod względem naukowym przewyższa tamten, dawny, bezwarunkowo.

W samej jednak treści tkwi znaczenie i właściwy charakter „*Kodeksu*”, w tym, co on usunął, i w tym, co wniósł nowego — w jego reformach. Wprawdzie jakichś zmian zasadniczych w stosunku do dawnego prawa nie ma i być nie mogło, ale poza tym, co główne, i co zostało, jest miejsce na rzeczy nowe, i one istotnie zostały wprowadzone. Zerwano z rozmaitymi przepisami i przeżytkami średniowieczny, z rozmaitymi normami prawa prywatnego i karnego. Uproszczone proces, zlagodzone i z gruntu, w duchu nowożytnym, przeobra-

⁷⁰⁾ Drukowane w czasopiśmie „*Polonia Sacra*”, 1918, nr 1 i w odbitec

⁷¹⁾ Stutz Ulrich, „*Der Geist des Codex Juris Canonici*”. „*Kirchenrechtliche Abhandlungen*”, nr 92/3, nie daje syntezy, tylko w kilku razem zebranych studiach kilka osobnych kwestii, co prawda doniosłych i charakterystycznych dla ducha Kodeksu.

⁷²⁾ Hilling Nicolaus, „*Zum 10 jährigen Jubiläum des Codex Juris Canonici*”. „*Archiv für kathol. Kirchenrecht*”, 1928, zbiera doświadczenia z 10 lat życia Kodeksu.

żono prawo karne. „Kodeks” stara się iść z postępem i stanąć na stanowisku nauki, stosując nawet najnowsze teorie.

Ale największą zaletą „Kodeksu” jest — zdaniem Abrahama — jego ogólny charakter. Oto dawniejsze ustawodawstwo kościelne zastępowało pod wielu względami państwowe, bo po tak rozległym poruszało się polu i tyle rozmaitych spraw wciągało w swój zakres. Dziś wobec poziomu kultury czasów nowszych Kościół nie ma już potrzeby zajmować się tym, co państwo uważa za swoją dziedzinę i reguluje swymi ustawami. Prawo Kościoła cofnęło się tedy w swą sferę wewnętrzną, ono jakby uduchowiło się, czuwając nad życiem religijnym i moralnym i nad urzeczywistnieniem zasad chrześcijańskich. Na pierwszy plan przeto wysuwają się w „Kodeksie” sprawy kultu i sakramentów, nauki i nauczania, organizacji i duszpasterstwa. O ile zaś jego przepisy dotyczą sfery zewnętrznej, owiane są duchem miłości, pojednania i umiarkowania, czy w stosunku do tych, co zawinili, czy do inowierców, czy też do państwa i prawa świeckiego. „Kodeks” liczy się z prawem państwowym i chce korzystać z jego współdziałania. „Kodeks” szanuje państwo i wskazuje na konkordaty, zachowując ich moc nienaruszoną. Dlatego słusznie nazwał go papież Benedykt XV dziełem pokoju, bo tej idei naprawdę służy.

Jeżeli w ocenie „Kodeksu”, jego głównych postanowień i jego ducha Abraham mógł się łatwo zetknąć z innymi, zwłaszcza katolickimi, uczonymi, to w odpowiedzi na pytanie, jakie należy mu przyznać miejsce w dziejach rozwoju prawa kanonicznego i jak się on na jego tle zarysowuje, czy zamyka pewną dawną epokę, czy też zaznacza początek nowej ery — okazał się na wskroś oryginalnym, to bowiem wynikało z całego systemu, który był jego systemem w podziale historii prawa kanonicznego na okresy, i z jego poglądu na główne cechy rozwojowe i fakty przełomowe w tej historii. Historia prawa kanonicznego nie jest dotąd napisana. Podziały na okresy odnoszą się raczej do historii źródeł. Próbę programu historycznego ujęcia i wyznaczenia faz rozwojowych dał wprawdzie Stutz⁷³⁾, ale podział jego nie wytrzymuje krytyki, zarówno gdy idzie o okresy jak o nadane im efektowne, ale nietrafne nazwania⁷⁴⁾. Abraham uważa, że o podziale historii prawa

⁷³⁾ Stutz, „Geschichte u. System d. Kirchenrechts”, w „Enzyklopedie der Rechtswissenschaft”, ed. Holzendorff-Kohler.

⁷⁴⁾ Stutz rozróżnia aż 6 okresów w dziejach prawa kościelnego, a mianowicie:

na okresy winien rozstrzygać po pierwsze kierunek ideowy rozwoju, po drugie zaś jego siła i napięcie. A w rozwoju prawa kościelnego widoczną jest jedna idea przewodnia: idea wyzwolenia Kościoła z tych więzów, które mu zaraz od chwili powstania zostały narzucone z zewnątrz przez państwo i prawodawstwo świeckie. Najpierw czyniło to państwo rzymskie swoją potęgą i swym znakomitym prawem, potem państwa germańskie. Oto pierwszy okres, który wolno nazwać okresem tworzenia się prawa kościelnego pod wpływem praw świeckich, okres, trwający mniej więcej do połowy XI w., do doby Grzegorza VII i realizacji reformy kluniackiej.

Odtąd rozpoczyna się okres drugi, który się ciągnie aż do soboru trydenckiego. Jest to okres klasycznego prawa kanonicznego. Idea teokratyczna, którą głosił już św. Augustyn, daje mu silną podstawę. W tym okresie Kościół nie tylko wyzwala się spod przewagi państwa, ale pragnie zająć państwem i światem. Prawo kanoniczne staje wtedy ponad prawem świeckim, a samo wznosi się na wysoki poziom, w parze zaś z tym idzie świetny rozwój jego nauki. Rozszerza się równocześnie zakres tego prawa w ustawodawstwie i jurysdykcji daleko poza stosunki ściśle kościelne. Ale system ten nie utrzymał się długo, bo się utrzymać nie mógł. Świata on nie przetworzył, Kościoła od świata nie uwolnił, a nawet wyszedł Kościo-

- I okres misyjny do edyktu mediolańskiego (313 r.),
- II „ rzymskiego prawa kościelnego do początków VIII w.,
- III „ germańskiego prawa kościelnego do wieku XII,
- IV „ kanonicznego prawa kościelnego do wieku XV,
- V „ katolickiego prawa kościelnego do końca XVIII w.,
- VI „ watykańskiego prawa kościelnego w wieku XIX i XX.

System Stutza przyjął w zupełności, lecz okresy zaopatrzył w inne nazwy wprowadzając mniej lapidarnie brzmiące, lecz trafniejsze, katolicki kanonista Kö n i g e r. Zamiast terminów: rzymskie — germańskie — kanoniczne prawo kościelne używa określeń: prawo kościelne pod wpływem prawa rzymskiego, praw germańskich, nauki i szkoły, — a dalej prawo kościelne w ograniczeniu i reformie i w uduchowieniu oraz własnym zakresie. Z tym podziałem obu niemieckich uczonych Abraham przeprowadza dyskusję polemiczną i stawia w jego miejsce swój własny. Podział Abrahama pokrywa się prawie z podziałem Rittnera w jego „Prawie kościelnym” zastosowanym, lecz Rittner uwzględniał historię źródeł, nie zaś całego prawa, po wtóre zaś nie mógł umieścić w nim nowego kodeksu, bo go jeszcze wtedy nie było. Myśl Rittnera rozszerzył, ugruntował i wzbogacił Abraham. Dlatego autorstwo słusznie mu się należy.

łowi na szkodę przez narażenie go na ciężkie walki i przez zaprowadzenie w jego łonie tendencji świeckich, obcych jego celowi i charakterowi. Reszty dokonały nowe kierunki w rozmaitych dziedzinach, jak renesans na polu kultury, reformacja na religijnym, a idea państwa absolutnego w stosunkach między Kościołem a państwem.

I na wewnątrz przeszedł Kościół przez przesilenie w dobie schizmy zachodniej i ruchu soborowego XV w. Trzeba było naprawić organizację i dokonać przebudowy prawa średniowiecznego, co już nie wystarczało dla potrzeb i stosunków nowych. Tego dokonał sobór trydencki, który stanowi słup graniczny między okresami, i początek okresu trzeciego, zasługującego na nazwę okresu prawa trydenckiego. Trwał on aż do nowego „Kodeksu”. Nie jest to okres w sobie jednolity. Dawne i nowe pojęcia, to, co się już przeżyło a jeszcze trwa, i to, co się na przyszłość zarysowuje, ścierają się nie raz z sobą. Państwo bierze znów górę nad Kościołem, laicyzacja rozluźnia węzły społeczeństwa z Kościołem, sekularyzacje i zabory pozabawiają go materialnej podstawy. Kościół zaś nie tylko trwa, lecz nawet potężnieje, zwłaszcza w XIX i XX w. za Leona XIII i Piusa X. Nie wiąże się on już z państwem ani z jakąś określoną formą rządów, cofa się w swoją sferę wewnętrzną, potęguje swe środki duchowne i swe moralne znaczenie. To uduchowienie, zauważone już przez Stutza, musiało się odbić na prawie. To nowe prawo, którego zadatki ideowe widoczne są już w XIX w., można by nazwać w a t y k a ŋ s k i m, ale nie dla soboru tego imienia, lecz dlatego, że wyszło z rąk papieży rezydujących w Watykanie. Cechą tego prawa, które swój pełny wyraz znalazło w „Kodeksie”, jest zdecydowane przesunięcie się na teren duchowy a odsunięcie celów świeckich i względów na interesy świata. Dlatego „Kodeks” zaczyna n o w y o k r e s, IV.

Podaliśmy obszernie treść ostatniego ustępu rozprawy Abrahama o „Kodeksie Prawa Kanonicznego”. Ustęp ten wykracza nieco poza cel określony rozprawą. By postawić „Kodeks” na tle odpowiednim, daje mu daleką prawnohistoryczną perspektywę, przez co zyskuje właściwe kryterium jego oceny. Ale idzie mu przy tej sposobności także o rzecz inną, a dla historyka prawa najważniejszą: pogląd na całe dzieje prawa kościelnego i o zagadnienie podziału tych dziejów na okresy. Zagadnienie w nauce dość nowe, a przez niego rozwiązane w sposób oryginalny, nawet niezależnie od faktu

„Kodeksu”. W każdym cyklu swych wykładów uniwersyteckich Abraham zwykł był traktować tę kwestię zawsze w sposób naukowy. Niestety, nie przerodziły się te wykłady w książkę⁷⁵⁾. Ogólny jednak pogląd i podział na okresy znalazł się w rozprawie napisanej z okazji ogłoszenia nowego „Kodeksu” — i przez to ocalał.

Na pograniczu prawa powszechnego i partykularnego polskiego, a zarazem historii prawa i prawa dziś obowiązującego stoi ciekawa praca Abrahama na temat „Ustawodawstwa kościelnego o archiwach”, 1928 r.⁷⁶⁾. Ten niepośledni znawca archiwów krajowych i zagranicznych przedstawił tu w krótkości dzieje archiwów kościelnych, głównie watykańskiego, następnie dał obraz ustaw w tej materii powszechnych i polskich, które pochodzą przeważnie z synodów XVII i XVIII w. Przeszedł wreszcie do stanu obecnego. Zajął się przepisami z „Kodeksu” i rozmaitymi instrukcjami, np. kardynała Gasparriego, które choć nie posiadały znaczenia prawa powszechnie obowiązującego, ale mogły służyć za wzór i pouczenie gdzie indziej. Nie pominął polskich przepisów, i to tak biskupich i synodalnych, jak ministerialnych. W krótkim stosunkowo artykule nagromadził ogromny, mało znany materiał.

E. Działalność na uniwersytecie i poza uniwersytetem

1. WYKŁADY

Prawie przez pół wieku Abraham wykładał prawo kościelne dla studentów wydziału prawa; najpierw przez 2 lata (1886—1888) na Uniwersytecie Jagiellońskim, potem przez lat 47 (1888—1935) we Lwowie. Prawo kościelne jest to ogół przepisów odnoszących się do stosunków prawnych Kościoła bez względu na źródło, z którego one pochodzą, czyli tak samo przepisów wydanych przez Kościół jak i przez państwo. Wykład więc musiał obejmować te przepisy, zatem nie tylko kanoniczne, czyli pochodzące ze strony Kościoła, lecz także odpowiednie przepisy austriackie do czasu upadku Austrii w r. 1918, a później, za państwa polskiego, zarówno ustawodawstwo trzech państw zaborczych, na ziemiach polskich jeszcze obowiązujące, jak też prawa

⁷⁵⁾ Wykłady Abrahama znane są tylko ze skryptów studenckich, przez profesora nie autoryzowanych i nie poprawianych.

⁷⁶⁾ „Ustawodawstwo kościelne o archiwach”, czasopismo „Archeion”, IV, r. 1928.

nowe, polskie. Prawo kościelne należało do przedmiotów prawnohistorycznych po społu z prawem rzymskim, z historią prawa polskiego i praw na zachodzie Europy, ale podczas gdy tamte zawierały tylko materiał historyczny, ono mieściło w sobie również prawo obowiązujące w całym obszernym zakresie kanonistyki. Stąd wynikała konsekwencja stosowania przy wykładzie dwu metod równocześnie i równomiernie: historycznej, która uwzględnia genezę i rozwój, tudzież warunki dziejowe instytucji kościelnych, i dogmatycznej, która interpretuje prawo i ilustruje je na przykładach z życia. Była to trudność niemała, ale Abraham tej trudności zwycięsko podołał. Co więcej, przymnożył sobie jeszcze zadania przez wciągnięcie w ramy przedmiotu historii prawa partykularnego w Polsce i organizacji Kościoła w dawnym państwie polskim.

Wykłady Abrahama odznaczały się zawsze wysokim poziomem naukowym. Były one ostatnim wyrazem nauki o prawie. Wykłady jego nie były autokopią, co by nieodmiennie to samo dawała. Przygotowywał je sumiennie, poddawał zmianom, traktował prawie tak samo, jak prace naukowe, zaopatrywał w cytaty ze źródeł, a nieraz także w wywody krytyczne i polemiczne. Świadczą o tym nie tylko wspomnienia dawnych słuchaczy, lecz przede wszystkim rękopisy wykładów, częściowo jeszcze zachowane, bo podstawą wykładu był u Abrahama zawsze rękopis. Raczej czytał, niż mówił. Nie był urodzonym mówcą, o oratorskiej swadzie i oratorskich efektach, jak współczesny mu Balzer.

Abraham miał przemyślany i opracowany system swego przedmiotu nie tylko w zarysie, lecz nawet w szczegółach. Jak się ten system przedstawiał i jakim celom miał służyć, na to pytanie dał odpowiedź on sam, recenzując kilkakrotnie podręczniki prawa kościelnego, przeważnie niemieckie, bo tych się pojawiało najwięcej, ale także polskie i łacińskie⁷⁷⁾. Niektóre z tych podręczników usiłowały zamknąć w niewielkim tomie owo minimum wiedzy kanonistycznej, potrzebne kandydatom do egzaminu prawniczego, w czym tkwiła tajemnica ich powodze-

⁷⁷⁾ Recenzje podręczników Grossa, Heinera i Kahla, „Przegląd Prawa i Administracji”, Lwów, XIX, r. 1894. Recenzje podręczników Ferrerresa, Prümmera, Leitnera, Grabowskiego, Pöschla i Königera. „Ruch Prawny i Ekonomiczny”, Poznań, II, 1922.

nia i coraz nowych wydań⁷⁸⁾. Cele czysto utylitarne, obce Abrahamowi, brały tedy górę nad naukowymi. Ale zdarzało się i gorzej, gdyż niektóre z nich nie wolne były od błędów lub nie uwzględniały wyników nowszej nauki, a już w systematyce, czyli ujęciu przedmiotu w działy i rozdziały, panował chaos prawdziwy. Nowy „Kodeks” zwłaszcza wywołał wielki ruch na tym polu. Książki te jednak były najczęściej treścią parafrazą postanowień „Kodeksu”, przy czym pisane były z myślą o potrzebach kleru i dla nauki na świeckich wydziałach prawnych wcale się nie nadawały. Z jednej bowiem strony traktowały za obszernie kwestie obchodzące jedynie kler, dla wykształcenia zaś świeckich prawników obojętne, z drugiej — pomijały historię prawa i stosunki Kościoła do państwa, więc rzeczy doniosłe właśnie z punktu widzenia ich zainteresowań i potrzeb. „Nauka prawa kościelnego na świeckich wydziałach prawniczych ma inne cele na oku, niż ta sama nauka na wydziałach teologicznych lub w seminariach duchownych. Chodzi w niej bowiem przede wszystkim o uwzględnienie prawa kościelnego w jego dziejowym rozwoju jako czynnika wysoce kulturalnego, który wpływał na rozwój prawa w ogóle, a nadto ma ona zwrócić także baczną uwagę na państwową administrację wyznaniową, wreszcie, jeśli o polskie stosunki idzie, należy do niej wprowadzić zarys historii prawa partykularnego Kościoła w Polsce, tudzież omówić postanowienia wyznaniowe polskiej konstytucji i konkordatu”⁷⁹⁾.

Takie były zapatrywania Abrahama i należy im przyznać zupełną słuszność, ale tym zapatrywaniom nie odpowiadała żadna z istniejących książek całkowicie. Z dawniejszych uznawał jeszcze podręczniki Friedberga, Scherera i Sägmüllera, z nowszych Pöschla i Königera, bo one uwzględniały historię prawa, spośród polskich wyróżniał znakomite dzieło Rittnera, ale przestarzałe, jeśli idzie o nowe ustawodawstwo i wyniki nowszej nauki. W początkowej fazie dostrzec można pewne pokrewieństwo między książką Rittnera a wykładami Abrahama; im później jednak, tym bardziej się oddalał od tego znako-

⁷⁸⁾ Np. podręcznik wiedeńskiego profesora Grossa, „Lehrbuch des katholischen Kirchenrechts”.

⁷⁹⁾ Abraham, Recenzje wymienionych książek zamieszczone w „Ruchu Pr. i Ek.” II, 1922.

mitego pierwowzoru i kształtował swój własny system, istotnie oryginalny przez konstrukcję i podstawę źródłową.

Główną cechą tego systemu stanowiło zespolenie historii prawa kościelnego z jego dogmatyką, z pewną jednak przewagą historii, kiedy dotąd górowała bezwzględnie dogmatyka. Otóż Abraham wyzwolił uniwersytecką naukę prawa kościelnego spod przewagi dogmatyki kanonistycznej. Nie godził się jednak na zupełne oddzielenie jednej gałęzi od drugiej i stworzenie z nich jakby dwu odrębnych przedmiotów, wprost przeciwnie, w ich połączeniu właśnie widział najlepszy sposób nauczania⁸⁰⁾.

O ile dogmatyka ma od dawna całe szeregi dzieł, to historia prawa kościelnego w całości nie jest jeszcze napisana. Niektórzy, a wśród nich Rittner, dawali historię źródeł, co się odnosi do jednej tylko dziedziny, dość luźno związanej z samym prawem. Stutz dopiero na początku XX stulecia rzucił w naukę ideę historycznego ujęcia całego prawa kościelnego i nakreślił ogólne ramy, w jakich miała być ta idea realizowana⁸¹⁾. Myśl tę podjął Königer, lecz jego zarys nie mógł wystarczyć, ponieważ był i za szczupły i mieszał historię prawa kościelnego z historią Kościoła, przez co zaćmiewała się i mąciła istota rzeczy⁸²⁾. System Abrahama, stosowany przez niego w wykładach, polegał na następującym podziale materiału:

- I. Ogólne pojęcia, zarys historyczny według okresów, oraz historia źródeł i literatury.
- II. Hierarchia, zarówno jako ustrój i rząd kościelny.
- III. Prawo majątkowe, traktowane obszernie, jako materialna podstawa organizacji.
- IV. Prawo małżeńskie, wyodrębnione z powodu jego specjalnego charakteru i ważności.
- V. Proces karny i prawo karne, zebrane sumarycznie.
- VI. Stosunek Kościoła do państwa, na obszernym tle historycznym i porównawczym.

⁸⁰⁾ Godził się w tym ze stanowiskiem zajęтым przez Sägmüllera, „Die Stellung der kirchlichen Rechtsgeschichte in der akademischen Disziplin des Kirchenrechts”. „Theologische Quartalschrift”, v. 100, a. 1919.

⁸¹⁾ Stutz, „Die kirchliche Rechtsgeschichte”, mowa na uniwersytecie w Bonn 27. I. 1905.

⁸²⁾ Königer, „Grundriss einer Geschichte des katholischen Kirchenrechts”, 1919.

Historia prawa obecna była nie tylko w pierwszym rozdziale i w znacznej części ostatniego, lecz także we wszystkich innych, ona bowiem poprzedzała z reguły każdą instytucję prawną, a to nie w postaci jakiegoś drobnego wstępu, lecz jako integralna część wykładu. W ten sposób była ona nie tłem, ale istotą rzeczy, stan zaś obecny prawa przedstawiał się jako ostatnie ogniwo długiego i pełnego zmian rozwoju. Historia prawa łączyła się z dogmatyką harmonijnie i celowo, a w tym połączeniu otrzymywała miejsce nie tylko poczesne, lecz nawet główne, nie darmo bowiem prawo kościelne wchodziło w nauczanie uniwersyteckie do dyscyplin prawno-historycznych.

Z prawdziwą szkodą dla nauki polskiej i powszechnej tego przedmiotu Abraham nie zostawił po sobie podręcznika uniwersyteckiego. Wszakże w swe wykłady włożył tyle pracy, ciągnącej się przez cały jego zawód profesorski, tyle badania źródłowego, tyle lektur w zakresie olbrzymiej literatury, tyle inwencji i pomysłowości — razem tyle najsumienniejszego przygotowania dla rzeczy mało znanej, przemijającej i nawet nie ocenianej należycie. Skrypta studenckie dalekie są od tego, by oddawały myśl autora, zwłaszcza jego formę precyzyjną, ponieważ sam nigdy do nich ręki nie przykładał. Podręcznika zaś nie napisał, bo nie pociągał go ten rodzaj pracy, w którym momencie nowego, odkrywczego jest stosunkowo niewiele, a pracy innej, zgodnej ze swymi zamiłowaniem, zawsze miał pod dostatkiem, że nie zdążył w ciągu długiego i bardzo pracowitego żywota wykończyć dzieł, które były jego właściwym powołaniem.

2. SEMINARIUM.

Prócz wykładów Abraham prowadził seminarium z prawa kościelnego i kierował zakładem naukowym dla tegoż przedmiotu. Seminarium rozpoczęło funkcjonować z chwilą objęcia katedry przez profesora w r. 1888, a zawiesiło swą działalność dopiero wskutek wybuchu wojny, w jesieni 1939 r. Istniało tedy okragło lat 50 i przez cały ten długi okres pozostawało pod jego kierownictwem, nosiło na sobie znamię jego indywidualności, było jego szkołą. Obok słynnego seminarium z prawa polskiego Oswalda Balzera i współcześnie z nim (daty dla seminarium Balzera: 1887—1933) było ono na wydziale prawa uniwersytetu lwowskiego drugą taką instytucją, kształcąca młodych adeptów na pracowników naukowych w zakresie historii prawa — po-

krewnie tamtemu nie tylko historycznym kierunkiem, lecz także mediewistycznym i polskim zasięgiem opracowywanych tematów. Poza tymi ogólnymi podobieństwami te dwa seminaria dwu najwybitniejszych polskich historyków prawa prowadzone były inaczej, i to do tego stopnia inaczej, że stanowiły dwa przeciwne typy seminaryjnej metody kształcenia uczniów⁸³⁾. Balzer za jedyny cel seminarium uważał samodzielne opracowywanie przez uczniów tematów, których im udzielał wraz ze wskazówkami, ale po udzieleniu tematu pozostawiał ucznia, nawet początkującego, samemu sobie, rzucając go niby na głęboką wodę w głębinę źródeł, w odmet sprzecznej nieraz literatury przedmiotu, w chaos pytań i wątpliwości, które rodzą się zazwyczaj przy pracy naukowej. Inaczej Abraham. On wprowadzał szczuplejsze znacznie grono swych uczniów w lekturę i interpretację źródeł i w tym upatrywał główne zadanie swego seminarium. Dawanie tematów do prac i odczytywanie już wykonanych stanowiło dalszy i wcale niekonieczny akt programu seminaryjnego. Kontakt uczniów z profesorem był tym ściślejszy, że nie ograniczał się do dwu seminaryjnych godzin tygodniowo, profesor bowiem pomagał swym uczniom w toku pracy i był dla nich dostępny, nigdy jednak nie wywierał na nich nacisku, powtarzając, że praca naukowa jest wypływem wolnej woli i indywidualnego zamiłowania, a jej ilość i jakość — to rzecz samego pracownika.

Seminarium prawa kościelnego nie było nigdy liczne, a nawet nie było szerzej znane poza gronem specjalistów. Winna temu była nie osoba Mistrza, lecz natura przedmiotu, który wydawał się nawet posuniętym naukowo studentom nieco egzotyczny i mało pociągający, tym bardziej, że wymagał uprzedniego przygotowania, bez którego uczestnictwo w seminarium mało przynosiło korzyści. Toteż bywały lata, kiedy ilość członków spadała do dwu lub trzech, a i z tych żaden nie poświęcił się prawu kościelnemu na przyszłość. Dopiero kiedy w r. 1920 profesor wydziału teologicznego, ks. rektor Gerstmann zajął się organizowaniem dopływu nowych uczniów, seminarium wypełniło się i nabrało życia. Uczestniczyli w nim ludzie z studiami już ukończonymi: magistry, doktorzy, asystenci uniwersyteccy spod różnych

⁸³⁾ Opieram się tu przeważnie na własnych wspomnieniach, jako członek seminarium w latach 1921—1929. Opracowałem to osobno w szkicu pod tytułem: „Wspomnienia o seminariach profesorów Oswalda Balzera i Władysława Abrahama”, „Z zagadnień dydaktycznych szkolnictwa wyższego”, Poznań 1947.

znaków, nierzadko profesorowie, z urzędującym wtedy rektorem ks. Gerstmannem na czele. W takim składzie seminarium przypominało raczej towarzystwo naukowe — zarówno osobami członków jak poziomem studium. Jedyny to tego rodzaju zakład ponad-universytecki, ściśle Abrahamowy. Formalności przy przyjmowaniu ani ustalonych zwyczajów nie było żadnych, bo w takim gronie nie były one potrzebne. Najwięcej znaczył osobisty kontakt z profesorem.

Co się działo na samych seminaryjnych posiedzeniach? W zasadzie profesor stawiał sobie za cel wspólne z uczniami opracowywanie jakiegoś tematu lub zagadnienia, i to w ten sposób, że albo uczestnicy rozbiegali pomiędzy siebie i referowali pewne kategorie źródeł, albo — co się częściej zdarzało — czytano źródła odnoszące się do tematu wspólnie i poddawano je interpretacji. Właściwie jednak seminarium Abrahama nie miało ustalonego programu ani jednej wytycznej linii. Nawet w razie postawienia jakiegoś celu nie było się nim związanym, lecz częstokroć zbaczało się ku innym sprawom, zawsze z największą korzyścią dla uczestników, bo choć przedmiot ulegał zmianom, poziom pozostawał zawsze taki sam, tak samo wysoki. Aktualność np. sprawiała, że omawiano na sesjach seminaryjnych konkordat polski z roku 1925 lub pakta laterańskiego z 1929 r., albo jakieś naukowe zadanie czy odkrycie, wyniki z ostatnich prac profesora. Niekiedy czytano pracę któregoś z członków i poddawano ją dyskusji z przemożnym w niej głosem profesora. W ten sposób prawie każda sesja, a przynajmniej pewne grupy posiedzeń miały swój charakter i swe odrębne oblicze, podczas gdy następne z kolei wyglądały znowu inaczej. Ten sposób prowadzenia seminarium, pozornie luźny, miał swoje niepoślednie zalety: wprzągał we wspólną robotę i zmuszał do umysłowego wysiłku całe grono uczestników; różnorodność programu rozszerzała znów horyzonty, a obfitość materiału źródłowego, zawsze gotowego, pozwalała każde twierdzenie poprzeć dowodem. Na tym polu nieprześcigniony był profesor, który uczył nie tylko słowem, lecz i przykładem.

Seminarium Abrahama odbywało się w lokalu małym i nader skromnie urządzonej, który znajdował się w starym gmachu uniwersytetu lwowskiego, opodal biblioteki uniwersyteckiej, i służył zarazem profesorowi jako gabinet do pracy codziennej. Dopiero w r. 1930 użytkowano lokal obszerniejszy, składający się z sali posiedzeń i dwu pokoi, dla asystenta i dla profesora. Tak powstał przy seminarium **Z a k ł a d**

Prawa Kościelnego, wyposażony w bogatą bibliotekę, zwłaszcza w dziale źródeł, i będący istotnym warsztatem pracy dla adeptów tego przedmiotu, którzy tu przyjeżdżali z całej Polski. Było to zrealizowanie projektu, żywionego przez Abrahama już dawniej i ujętego konkretnie⁸⁴). Stawiał on bowiem postulat utworzenia dla pracy naukowej w dziedzinie nauk prawno-historycznych osobnych instytutów, po jednym dla każdego przedmiotu na całe państwo, a połączonych z katedrami, zajmowanymi przez najwybitniejszych przedstawicieli danej specjalności. Powoływał się przy tym na przykład Niemiec, gdzie taki instytut prawa kościelnego istniał na uniwersytecie w Bonn, utworzony przez znakomitego kanonistę prof. Stutza, gdy zaś on przeniósł się na uniwersytet berliński, przeniesiono tam wraz z nim jego zakład. Duszą bowiem zakładu jest zawsze jego kierownik, a życie naukowej instytucji związane jest ściśle z życiem i działalnością mistrza przedmiotu w niej uprawianego.

3. UNIWERSYTET.

Abraham z tytułu swego rektoratu zasiadał jako wirylista w Sejmie Krajowym Galicji i brał czynny udział w komisji sejmowej do spraw szkolnictwa. Sejm wybrał go również członkiem wydziału Galicyjskiej Kasy Oszczędności. Nadto został zastępcą dyrektora tej instytucji i był nim szereg lat. Poddawał się wszystkim tym obowiązkom, choć one odrywały go od nauki, i spełniał je najsumienniejsz, mimo że zamięłowania ciągnęły go w inną stronę. Piastowanie władzy, wynikające stąd czynności reprezentacyjne, wszelkie oficjalne wystąpienia i przemówienia nie odpowiadały jego naturze. Miał osobliwy dar obcowania z ludźmi, wynajdywania punktów stycznych pośród różnicy zdań i stanowisk, jednania i godzenia elementów różnorodnych, a nawet zwaśnionych. Miał nie tylko poczucie i znajomość przepisów prawnych i zasad, ale rzadkie poczucie życia, ów instynkt praktyczny, który dopiero w połączeniu z tamtym wskazuje nieomylnie, jak przeprowadzić daną sprawę. Toteż Abraham był zazwyczaj tym, który przeprowadzał, co sobie był zamierzył, i w ciałach zbiorowych łagodnie zwyciężał. Nie był też pozbawiony zmysłu administracyjnego i finansowego, który

⁸⁴) Abraham, „O potrzebach nauki historii prawa”. „Nauka Polska”, X, 1929, p. 286 n.

niezbędny jest na stanowisku kierowniczym. Dlatego chlubnie i wdzięcznie się zapisał w dziejach instytucji, które prowadził, i w pamięci ludzi, z którymi współpracował lub nad którymi sprawował zwierzchnictwo. Instytucją tą był w pierwszym rzędzie uniwersytet lwowski i wydział prawny tego uniwersytetu, ale także komisja egzaminacyjna dla egzaminów II roku prawa, której przewodniczył, i lwowska komisja dla egzaminów prawniczych na Uniwersytecie Katolickim w Lublinie, z którą jako przewodniczący zjeżdżał tam dwa razy do roku, póki ten uniwersytet nie uzyskał prawa egzaminowania swoich studentów przez swych profesorów.

Wydział prawa uniwersytetu lwowskiego pragnąc uczcić wielkie zasługi dwu najstarszych swoich członków: Władysława Abrahama i Stanisława Starzyńskiego, profesora prawa politycznego, ufundował ich portrety pędzla mistrza Pochwalskiego, które wzbogaciły galerię portretów rektorów uniwersytetu⁸⁵). Uroczystość wręczenia uniwersytetowi tych portretów odbyła się w r. 1928.

Prawo kościelne łączyło Abrahama z wydziałem teologicznym, dla którego wykształcił w swym seminarium niejednego historyka i prawnika spośród stanu duchownego. Historia znów łączyła go najściślej z wydziałem humanistycznym, bo i sam był wielkim historykiem-mediewistą i wielu młodych historyków u niego pobierało naukę.

W r. 1935 Abraham przeszedł na emeryturę, ale równocześnie został profesorem honorowym i nadal zachował kierownictwo seminarium i swego zakładu naukowego. Jego działalność profesorską prze-rwał dopiero wybuch wojny w 1939 r., działalność naukową dopiero śmierć w r. 1941.

4. ŚWIAT NAUKI I PRAWA POZA UNIWERSYTETEM.

Pozauniwersytecką działalność Abrahama podzielić można na dwie rozległe dziedziny, z których pierwsza obejmuje towarzystwa i wydawnictwa naukowe, druga zaś prace doradcy i eksperta do spraw rozmaitych, które wynikały raz w raz z życia bieżącego.

I. T o w a r z y s t w a n a u k o w e. Na ich czele stoi A k a d e m i a U m i e j ę t n o ś c i, instytucja najpoważniejsza i najpotężniejsza,

⁸⁵) Losy tego portretu nie są wiadome, jak również miejsce, gdzie się obecnie znajduje, jeśli w ogóle zachował się wśród wojny. Reprodukcję zamieścił tygodnik „Tęcza”, Poznań, 1931.

z którą Abrahama łączyły silne i liczne węzły od początków. Członkiem komisji Akademii został w r. 1885, członkiem korespondentem w r. 1893, członkiem czynnym w r. 1903. Był delegatem Akademii dla środowiska naukowego lwowskiego. W „Rozprawach Wydziału Historyczno-Filozoficznego” umieszczał swoje prace. Ten żywy i stały kontakt potęgowały jeszcze osobiste stosunki, a zwłaszcza przyjaźń z Bolesławem Ulanowskim, który był sekretarzem generalnym Akademii i duszą jej przedsięwzięć, a tak samo jak Abraham był kanonistą i mediewistą i również uczonym dużej miary.

Do stosunków z Akademią zaliczyć należy rolę, jaką odegrał Abraham w jej Rzymskiej Ekspedycji, poczynsz od pierwszej podróży w r. 1885/6. W latach 1896—1902 Abraham był zastępcą kierownika, zaś od r. 1902 kierownikiem tej instytucji. Ekspedycja dała dla nauki materiał obfity, częściowo już ogłoszony w wydawnictwie „*Monumenta Poloniae Vaticana*”. Ale i pracownikom, między którymi znalazło się wielu młodych historyków, zwłaszcza ze środowiska krakowskiego, dała ona wyrobienie i wykształcenie, a nierzadko także cenny materiał, który zużytkowywali później w swych pracach, jak np. Abraham, Ptaśnik, Stanisław Zakrzewski. Trzy tomy Abrahama „Sprawozdań z poszukiwań w archiwach i bibliotekach rzymskich”, „O materiałach do dziejów Polski w Wiekach Średnich”, ogłaszane kolejno w latach 1889, 1899 (1902) i 1921 (1923)⁸⁶), stanowią dla badaczy zbiór informacji i przewodnik na przyszłość, a także są systematycznym przeglądem materiału odnoszącego się do dziejów polskich. Wielka to zasługa Abrahama i owoc ogromnego trudu i nie mniejszego talentu, który pozostanie po nim trwale w nauce.

Na terenie Lwowa skupiało pracowników nauki wszelkich dziedzin Towarzystwo Naukowe Lwowskie, którego założycielem i prezesem był Balzer, a wiceprezesem Abraham. Pod jego wytrawnym kierownictwem wydział historyczno-filozoficzny zajął pierwsze miejsce pomiędzy wydziałami Towarzystwa. Posiedzenia tego wydziału zasilali Abraham swymi referatami, w wydawnictwach Towarzystwa ukazały się dwa jego główne dzieła: „Powstanie organizacji Kościoła łacińskiego na Rusi” i „Zawarcie małżeństwa w pierwotnym prawie polskim”.

⁸⁶) Ogłaszane w wydawnictwie Akademii „Archiwum Komisji Historycznej” („*Collectanea ex Archivo Collegii Historici*”) w tomach V, IX i seria 2, I.

Od Towarzystwa Naukowego starszym, bo istniejącym od r. 1886 i posiadającym charakter bardziej specjalny było Towarzystwo Historyczne, którego siedzibą był Lwów i którego organ „Kwartalnik Historyczny”, na długie lata jedyne polskie czasopismo naukowe z dziedziny historii, również wychodził we Lwowie. Abraham był od początku jednym z najgorliwszych członków Towarzystwa i współpracowników „Kwartalnika”. Niemal w każdym tomie znajdujemy to jakąś pracę lub przyczynek źródłowy jego pióra, to po kilka recenzji z literatury naukowej polskiej i obcej. Recenzji napisał Abraham razem około setki. Większość z nich zamieszczał w „Kwartalniku”, ale książki i podręczniki ściśle prawnicze recenzował w „Przeglądzie Prawa i Administracji”, niekiedy zaś w poznańskim „Ruchu Prawnym i Ekonomicznym”. Takie recenzje, jak T. Wojciechowskiego słynnych „Szkiców Historycznych XI w.”, Szyszki Bohusza o „Rotundzie św. Feliksa i Adaukta na Wawelu”, H. Likowskiego „O powstaniu godności prymasów w Polsce” i H. F. Schmidta „Grundzüge der Pfarrorganisation auf westslawischem Boden”⁸⁷⁾ są tak ze względu na rozmiary jak na treść rozprawami, w których na marginesie recenzowanego dzieła daje wyniki własnych badań i własne ujęcie przedmiotu, zawsze oryginalne i w nauce nowe. Abraham nie był urodzonym polemistą, jak np. Balzer, i w spory naukowe wdawał się niechętnie i niemal pod przymusem, ale miał zmysł krytyczny wytrawny i wyrobiony, i wydawał sądy o wartości dzieł ocenionych na szerokiej podstawie niepospolitego znawstwa przedmiotu. Pilnie też śledził stan nauki europejskiej i zaznajamiał z nim w recenzjach czytelnika polskiego. Towarzystwo Historyczne w uznaniu zasług zamianowało go swym członkiem honorowym.

II. Prócz pracy na terenie towarzystw, które w ramach organizacyjnych zespalały trwale ludzi nauki, Abraham utrzymywał żywą łączność ze światem naukowym przy rozmaitych okazjach, które zdarzały się niekiedy. Tu zaliczyć można jego udział w zjazdach naukowych bądź osobisty, bądź później w postaci prac nadesłanych jako swój referat⁸⁸⁾. Chętnie spieszył ze swymi, zawsze cennymi pracami, by przez

⁸⁷⁾ „Kwartalnik Historyczny” v. 18 (1904), 34 (1920), 44 (1930).

⁸⁸⁾ Prace Abrahama jako referaty na zjazdy:

1. „Stan ustawodawstwa Kościoła polskiego w chwili wybuchu reformacji”.
Zjazd im. Mikołaja Reja w r. 1906.

ich umieszczenie w księgach pamiątkowych dać dowód uczczenia czy instytucji naukowej, obchodzącej swój jubileusz, czy jakiejś zasłużonej osoby. Tak więc prac jego nie brakuje w księgach ku uczczeniu 500-ej rocznicy fundacji Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie i 250-lecia założenia uniwersytetu lwowskiego, a z osób ku czci Bolesława Orzechowicza, Balzera, Brücknera, Pinińskiego i Kutrzeby⁸⁹).

Jeśli do publicznych przemówień dawał się nakłonić tylko z trudnością, to chętniej i częściej zabierał głos w aktualnych sprawach na łamach pism o kulturalnym charakterze, czy nawet codziennych. Wszakże zaczynał od stałej współpracy w dziale literacko-krytycznym „Przeglądu Polskiego”, a i „Przegląd Współczesny”, najlepsze tego rodzaju czasopismo w okresie 1921—1939, przyozdobił swymi artykułami na temat konkordatu polskiego i prawa małżeńskiego we Włoszech.

III. Człowiek wybitny, na jakimkolwiek pracowałby polu, używany bywa i nadużywany przez swój naród do rozmaitych zadań, które wykraczają poza jego zwyczajne prace a nawet poza jego specjalność zawodową. Los ten, który tak często spotyka profesorów uniwersytetu, nie ominął i Abrahama, tym bardziej, że łączył on wiedzę uczo-

2. „Concilia Poloniae”. IV Powszechny Zjazd historyków polskich w Poznaniu w r. 1925.

3. „Ius canonicum particulare in Polonia tempore Decretalium Gregorii IX”. Congressus Iuridic: Internationalis, Romae 1934.

⁸⁹) Prace Abrahama w „Księgach Pamiątkowych”:

1. „Stanowisko Kurii papieskiej wobec koronacji Łokietka”. „Księga Pam. Uniw. Lwowskiego ku uczczeniu 500-letniej rocznicy fundacji Jagiellońskiego Uniwersytetu”, 1900.

2. „Założenie biskupstwa łac. w Kamieńcu Podolskim”. „Księga ku uczczeniu 250 rocznicy uniwersytetu lwowskiego” 1911.

3. „Z dziejów prawa małżeńskiego w Polsce, Zezwolenie panującego lub panów na małżeństwo poddanych i świeckie opłaty małżeńskie”. „Księga ku czci Bolesława Orzechowicza”, 1916.

4. „Z dziejów ustawodawstwa synodalnego diecezji płockiej”. „Księga ku czci O. Balzera”, 1925.

5. „Proces przeciw księdzu polskiemu o obrazę papieża Urbana VI”. „Studia staropolskie ku czci Brücknera”. 1928.

6. „Osobowość prawa biskupstw a statut łęczycki z r. 1180”. „Księga ku czci L. Pinińskiego”, 1936.

7. „Prawne podstawy królewskiego mianowania biskupów w dawnej Polsce”. „Księga ku czci St. Kutrzeby”, 1938.

nego ze zdolnościami na wskroś życiowymi, że będąc prawnikiem katedry, był nim też w praktyce. —

Sztuka kościelna, która przeważa wszędzie w dobie średnio-wiecznej, miała w nim nie tylko miłośnika, ale również znawcę nie-pośledniego. Jedyna to dziedzina poza historią i prawem, w której czasem pisywał artykuły i recenzje, jak o Pastorałe z XV w. w Muzeum Czarłortorskich w Krakowie⁹⁰⁾, o najnowszych (rok 1900) odkryciach na Forum Romanum, o pałacu i bazylice S. Marco w Rzymie, o rotundzie św. Feliksa i Adaukta na Wawelu⁹¹⁾.

Na właściwym miejscu znalazł się również Abraham jako członek Państwowej Rady Archiwalnej, on, który tyle archiwów krajowych i zagranicznych poznał i zbadał, a najbogatsze i zarazem najtrudniejsze, watykańskie, opisał. Studium jego o ustawodawstwie dotyczącym archiwów dowodzi również znajomości tej kwestii od strony prawnej. Był członkiem Komisji Kodyfikacyjnej Rzeczypospolitej Polskiej, gdzie pracował w sekcji prawa cywilnego, w szczególności w podsekcji prawa familijnego i spadkowego. Godziło się to z jego znawstwem prawa małżeńskiego i dało mu podniecie do napisania dwu prac projektodawczych. Zapytywano go nieraz o zdanie i z tym zdaniem bodaj pośrednio wyrażonym się liczono.

III. Charakterystyka

Charakterystyka Abrahama, z pozoru prosta i łatwa, napotyka w istocie na znaczne trudności. Mimo wszystko, co o nim wiemy, zdajemy sobie sprawę z tego, że wiemy za mało. Z jego życia znane są jedynie fakty zewnętrzne, jego korespondencja, nawet naukowa, rozproszyła się i zaginęła, nie ma ogłoszonych wspomnień o nim, żyje tylko jeszcze tradycja ustna zarówno w gronie najbliższej rodziny jak w gronie uczniów, bo z jego współczesnych i przyjaciół nikt już nie pozostał. I żyją jego książki, które choć swoistej natury i nie-osobiste, dają obraz Abrahama — uczonego, spoza nich zaś rysuje się w oddali postać Abrahama — człowieka. Nie był on skłonny do wywewnętrzń i zwierzeń, nie opowiadał nigdy o sobie.

⁹⁰⁾ „Sprawozdanie Komisji Historii Sztuki”. Akad. Um. v. VIII, 1910.

⁹¹⁾ „Kwartalnik Hist.”, 1900, 1914, 1920.

I. U c z o n y. Był nim przede wszystkim, był nie tylko ze stanowiska i zawodowej pracy, niż tylko z dzieł i działalności, ale z powołania i przekonania najgłębszego. Ale różne są typy uczoności i uczonych, chodzi więc o to, aby określić indywidualność Abrahama jako uczonego, jego fizjognomię odrębną na tym polu i te cechy, które jemu tylko były właściwe, a które przejawiały się w jego pracach. Uderza więc już na pierwszy rzut oka nie tylko rozległość zainteresowań i studiów Abrahama, ale prawdziwa wszechstronność w zakresie jego przedmiotu i nawet poza tym przedmiotem. Zdumiewa rozpiętość rzeczowa, terytorialna i chronologiczna, nie mniej zdumiewa opanowanie przez niego nauk pomocniczych i kilku innych pokrewnych gałęzi wiedzy. Był bowiem świetnym paleografem, był znawcą dyplomatyki, a mało sobie miał równych jako znawca archiwów i doświadczony pracownik archiwalny. Historia prawa kościelnego nie może być oddzielona od historii Kościoła, obie te gałęzie wiedzy łączą się znów z dziejami politycznymi, gospodarczymi, dziejami ustroju i prawa, a także kultury poszczególnych państw i narodów, historyk zaś prawa kościelnego musi wchodzić na te wszystkie pola tam zwłaszcza, gdzie brak mu prac pomocniczych i gdzie przeorywać trzeba grunt nietknięty. To był właśnie wypadek Abrahama i stąd konieczność jego wszechstronności.

Tu się nasuwa pytanie, jak wyglądał osobisty warsztat naukowy Abrahama, czyli jak się rodziły i dojrzewały jego dzieła? Podstawą były zawsze źródła i to jak najszerszą i jak najsumienniejszą przygotowaną. Jeśli szło o źródła, wszystko mu było ważne i warte zabiegów, nawet to, co przynosiło drobne szczegóły lub fakty luźno tylko i ubocznie związane z jego zagadnieniem. Jak sam powiadał, źródeł uczył się na pamięć tak, by tkwiły nie tylko w notatkach, lecz i w pamięci i były do dyspozycji i do rozmaitych kombinacji zawsze gotowe. Wobec źródeł jednak, a zwłaszcza wobec literatury naukowej przedmiotu zajmował zawsze stanowisko krytyczne. To on panował nad nimi, nie one nad nim; on je ważył i mierzył, oceniał i porównywał; on wchodził w nie z zasobem pytań i magazynem wiedzy i zmuszał je do odpowiedzi, ale im nie ulegał, bo były mu materiałem do tworzenia konstrukcji, ale samej konstrukcji nie zastępowały. I oto Abraham objawiał się twórcą o niepospolitym darze kombinacji i inwencji, mistrzem

rozumienia i interpretacji, mistrzem nade wszystko syntetycznej konstrukcji. Tu znów okazywała się obok twórczego daru wielka ostrożność Abrahama, który nie stawiał hipotez śmiałych, ale o krótkim życiu w nauce, lecz umiał znaleźć zawsze rozwiązanie proste i racjonalniejsze. Pomocną bywała mu nieraz metoda porównawcza, stosowana jednak z godziwym umiarkowaniem. Jak nie omijał żadnej trudności w analizie, tak się nie cofał nigdy przed syntezą, czasem olśniewająco trafną, choć niespodzianą, czasem wysnutą z mozolnych kombinacji, ale zawsze solidnie uzasadnioną. Toteż syntezy Abrahama mają szanse ostania się w nauce na długo, a w większości wypadków zapewne na zawsze.

Jeśli zapytać z kolei o główne cechy jego umysłowości i charakteru naukowego, to wydadzą się nam one następujące: Najpierw pracowitość, systematyczna i bezinteresowna dla pomnożenia swej wiedzy, zaostrzenia sądu, rozszerzenia pola widzenia. Następnie pamięć przerażająca o wiele nie tylko zwykłą, nawet wielki dar pamięci. Ta pamięć zachowywała wiernie i wiecznie nie tylko fakty i ich związki, przepisy prawne i ich zastosowanie, ale terminy i znaczenia słów, używane w dokumentach sprzed wieków. Wreszcie talent konstrukcyjny. Abraham był w całym tego słowa znaczeniu twórczy, bo dawał rzeczy nowe, oryginalne, czasem prawdziwe odkrycia w nauce. Był, i to od wczesnej młodości, samodzielny, bo nie wzorował się na nikim i nie da się zaliczyć do żadnej szkoły. Był bystry, bo dostrzegał to, co inni pominęli lub czego nie zrozumieli. Był krytyczny, bo nie zwykł był iść za utartym zdaniem i utartą drogą, lecz miał sąd własny i własną ocenę sądów cudzych. Był mądry, bo zawsze więcej wiedział, niż mówił i pisał i krył w sobie skarby wiedzy i doświadczenia. Zgasił nie wypowiedziawszy się w zupełności.

Był to również wybitny pisarz, autor dzieł naukowych, na ostatku dopiero wykładowca i mówca. Dziś przedstawia nam się on jedynie pod postacią swoich dzieł licznych i rozpraw, więc widzimy go poprzez słowo pisane. Jakież są cechy jego stylu? Posiadał niewątpliwie sztukę pisarską. Czytało go się łatwo i z zainteresowaniem, choć pisał zwykle o rzeczach trudnych i specjalnych. Styl bowiem miał jasny, zwięzły i rzeczowy. O sprawach zawilych i rysujących się w świetle źródeł niewyraźnie potrafił pisać zrozumiale i po prostu. Pod jego piórem język

stawał się sprawnym i precyzyjnym narzędziem do wyrażania pojęć. Pod tym względem jego dzieła są klasyczne i można uczyć się na nich prawnohistorycznego stylu.

Cechowała go zawsze zwięzłość i ścisła rzeczowość. Kiedy w starości wielcy nawet uczeni stają się rozwlekli i powtarzają samych siebie lub brną w drobiazgi o podrzędnym znaczeniu, Abraham, wprost przeciwnie, w ostatnich swych pracach tak jest skondensowany i nabrzmiały treścią, że łatwo mógł z rozprawy zrobić tom cały. Nie gonił nigdy za efektem i ozdobnością stylu, ale też nie popadał w niedbałość. Odznaczał się poprawną i staranną prostotą, odpowiadającą jego naturze.

Przedmiot wyjątkowo tylko dawał mu sposobność do kreślenia barwnych obrazów czy interesujących charakterów. A przecież bywały momenty, kiedy w przedstawieniu rzeczy wznosił się do poziomu prawdziwego artyzmu. Wówczas spod jego pióra wychodziły obrazy i sceny, jak żywe, albo paralele dziejowe o potężnej rozpiętości. Ale w czym zwłaszcza celował, to w odgadywaniu ludzi i wnikliwym ich charakteryzowaniu. On — historyk instytucji — rozumiał indywidualność ludzką i jej rolę w historii. Z martwych dokumentów potrafił wydobyć osoby żywe. Potężna energia i polityczny talent Kietlicza, świętość i idealizm Jakuba Strepy, ambicja i tragedia biskupa Wysza — to tylko przykłady postaci, którymi wzbogacił historię Polski i Kościoła w Polsce. On tych ludzi przejrzał i zrozumiał, okiem psychologa-artysty.

II. C z ł o w i e k. Ci, którzy znali Abrahama i obcowali z nim na polu naukowym, uważają go z wielką słuszością przede wszystkim i na wskroś za intelektualistę. Istotnie, w psychice jego górował rozum niepospolity i to wielkie światło rozumu oświecało całe jego życie, nie tylko naukowe. Nie był naturą emocjonalną, nie lubił tego, co zakłóca równowagę, zaćmiewa jasność myśli i sprawiedliwość w sądzeniu. Stąd wynikało, że Abraham był łatwy i miły w osobistych stosunkach i że miał liczne grono przyjaciół. Przyczyniał się do tego również jego humor, nigdy po staropolsku rubaszny, lecz zaprawny lekką ironią, polegający na subtelnej grze słów, bardzo dyskretny i bynajmniej dla otoczenia nie przykry. Miał talent obcowania z ludźmi i jednania ich dla swej opinii i swej osoby. Mawiał, że szuka zawsze tego, co go

z ludźmi łączy, nie zaś tego, co go z nimi dzieli. Był tedy człowiekiem rozumnego kompromisu, a tacy zwykli zwyciężać w ciałach zbiorowych, nawet tak trudnych, jakimi bywają niekiedy środowiska profesorskie. Miał poczucie swojej wartości i wartości swojej pracy i swych dzieł, ale jak każdy wielki uczony ubolewał u schyłku życia, że nie dane mu było dzieła dokończyć, że nie dał z siebie więcej. A przecież żywot Abrahama był jednym z najpracowitszych, najsystematyczniej i najbardziej nauce oddanych. Nauka i praca formowała też bez wątpienia jego usposobienie, ale bynajmniej nie wyziębiła mu serca, nie wysuszyła wyobraźni twórczej, ani nie odgradziła go od życia. Abraham, ten uczony z gabinetu i pędzący życie pośród ksiąg, kochał przyrodę, a w młodości był nawet zapalonym taternikiem i zdobywcą trudnych górskich szczytów w towarzystwie słynnych ówczesnych pionierów polskiej turystyki. W pamięci swych bliższych uczniów, którym nie szczędził porady i pomocy naukowej, łączy się po dziś podziw dla Mistrza ze szczera dla niego wdzięcznością.

Z czasem przychodziło uznanie i uczczenie z różnych stron i w rozmaitych postaciach: od państwa, Kościoła, uniwersytetów, instytucji naukowych i gron koleżeńskich. On, nie przywiązujący wagi do zewnętrznych objawów, raczej się poddawał im z konieczności, niż znajdował w nich przyjemność. Otrzymał szereg orderów. Za dzieła o „Organizacji Kościoła w Polsce do połowy XII w.” i o „Zawarciu małżeństwa w pierwotnym prawie polskim” otrzymał nagrodę im. Barczewskiego, za dzieło o „Powstaniu organizacji Kościoła łacińskiego na Rusi” nagrodę miasta Lwowa. Posiadł 4 doktoraty honorowe polskich uniwersytetów, a mianowicie wileńskiego, poznańskiego i dwa lwowskiego: teologii i prawa. Był profesorem honorowym uniwersytetu lwowskiego po przejściu na emeryturę w r. 1935 i takimże Uniwersytetu Katolickiego w Lublinie, dla którego znaczne położył zasługi. Swym członkiem honorowym wybrały go Polskie Towarzystwo Historyczne i Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk. W r. 1930-31 ukazała się dwutomowa „Księga Pamiątkowa” ku uczczeniu 50-lecia jego pracy naukowej, 40-lecia profesury i 30-tej rocznicy jego rektoratu. Wzięło w niej udział 49 autorów, w tym 3 obcych: profesorowie Kadlec z Pragi, Rauscher z Bratisławy i H. F. Schmid z Grazu. Wręczenie książki przybrało charakter hołdu dla wielkiego uczonego ze

strony tych, którzy byli kompetentni, aby ocenić jego zasługi ze strony świata nauki.

Abraham żył długo: 81 lat — i był do końca czynny, zachowując jasność myśli i zdolność do pracy. Niewielu tylko uczonych mogło się pochlubić taką żywotnością: z polskich Bobrzyński i Brückner, z obcych berliński Ranke. I niewielu przedstawia w sobie tak harmonijny i skończony typ uczonego i człowieka. Jego żywot — to piękna karta w dziejach polskiej umysłowości.

DAŻENIA KULTURALNE SŁOWIAŃSZCZYZNY A EUROPEJSKA MYŚL POSTĘPOWA

Zajmiemy się tu pokrótce jednym z artykułów, który się ukazał na łamach „Hochlandu”, niemieckiego miesięcznika katolickiego, na parę lat po pierwszej wojnie światowej. Zajmuje się on swoistością ideałów kulturalnych Słowiańszczyzny*). Jeżeli artykuł ten jeszcze raz tutaj przypominamy, to nie dlatego, abyśmy rozważania w nim zawarte uważali za jedyne w swoim rodzaju, za zupełnie więc bezbłędne, a metodę jego opracowania za w pełni właściwą; wracamy do niego dlatego, że jest on z jednej strony jednym z tych w przeszłości nielicznych głosów niemieckich, które rzeczowo i z dużym respektem ustosunkowywały się do wysiłków kulturalnych Słowiańszczyzny, jak i z drugiej strony dlatego, że mimo różnych zastrzeżeń, jakie może wzbudzać, zawiera on materiał nasuwający szereg ciekawych refleksji.

Na wstępie autor stwierdza, że od czasów Herdera problem odrębnej misji kulturalnej Słowian był bezustannie rozważany, a dzięki rewolucji październikowej w Rosji stał się wysoce aktualny. Cokolwiek byśmy na ten temat powiedzieli, to zdaniem autora zdaje się nie ulegać kwestii, że Słowianie nie zostali pozyskani w pełni dla ideałów tzw. kultury zachodniej, że wykazują oni niesłychaną odporność na wszelkiego rodzaju wpływy kulturalne idące z zewnątrz, nawet w najbardziej niepomysłnych dla siebie warunkach, że więc nie można inaczej tego zjawiska wytłumaczyć, jak tylko posiadaniem przez Słowian własnej, głęboko w ich umysłowości tkwiącej koncepcji kulturalnej, która walczy o wyraz dla siebie, dla której nie nadeszła jednak dotychczas jeszcze sposobność pełnej realizacji.

Jakkolwiek odrzucić należy zbyt daleko idące naiwne próby idealizowania, czy idylizowania Słowian, to jednak z punktu widzenia historyka filozofii jest — zdaniem autora — rzeczą niesłychanej wagi fakt, że prawie wszyscy filozofowie słowiańscy w jak najbardziej ostrym przeciwieństwie do ideałów siły wyznawanych przez zachodnie „narody panów” („Herrenvölker”) opowiadali się za

*) Dr Joseph Seifert: Die slavische Kulturidee, „Hochland”, Monatschrift für alle Gebiete des Wissens, der Literatur und Kunst, herausgegeben von Karl Muth, 20. Jahrgang, Oktober 1922 — März 1923, Bd. 1, s. 506—518, 635—648. Na artykuł ten zwracał już kiedyś uwagę Artur Górski — patrz „Glossy o ludziach i ideach”, Warszawa 1930.

pokojowością, braterstwem i demokracją. Nawet Masaryk, który zdecydowanie występuje przeciwko przyjmowaniu odrębności struktury duchowej Słowian, głosi w gruncie rzeczy coś w rodzaju „słowiańskiego humanizmu”. Wszystko to utwierdza Seiferta w przekonaniu, że Słowianie są po prostu inni niż Zachód, nie są jednakże tylko zwykłym negatywem kultury zachodniej, lecz walczą o wyraz dla własnej idei kulturalnej, która się — ciągnąc w regularnych odstępach czasowych i przestrzennych z południa na północ — na ziemiach słowiańskich manifestowała zapłodniwszy uprzednio Zachód i uległszy tam przepracowaniu.

I tu autor artykułu przedstawia schematycznie na mapie drogi, jakimi zdaniem jego wyrosłe na ziemiach słowiańskich kulturalne koncepcje wędrowały po Europie. Zaczyna od południowo-słowiańskich bogumitów, których poglądy religijne wywołały na Zachodzie powstanie sekt patarenów, katarów i albigensów. Waldensowie przekazują poglądy te bezpośrednio, wzgl. za pośrednictwem Wiklefa, z powrotem na ziemię słowiańską, do Czech, gdzie wyrasta potężny ruch husycki. Idee Husa promieniają z kolei znowu na Zachód rozdzieliwszy się przedtem na dwa nurty; pierwszy, polityczny, który poprzez Żyżkę, taborytów prowadzi ku reformacji Lutra, dalej ku Heglowi, a przez tegoż metodę dialektyczną ku Marksowi, po czym wraca na ziemię słowiańskie manifestując się w podstawach marksistowskich rewolucji październikowej — i drugi, kulturalny, który od braci czeskich wywodząc się poprzez mistykę śląską, pietystów, Swedenborga i Schellinga oddziaływa na dwa środowiska ideowe słowiańskiego wschodu, a mianowicie na polskich mesjanistów i rosyjskich słowianofilów, a który nie znalazł jeszcze swego ostatecznego sformułowania.

Pozostawiając krytyczną ocenę tego schematu Czytelnikowi przechodzimy do referowania poglądów Seiferta na to, co można nazwać postawą zasadniczą Słowianina wobec świata. Główną, względną zresztą w przekonaniu samego autora artykułu słabość tej postawy zdaje się on widzieć w braku zapалу u Słowian do poszukiwania prawdy obiektywnej na drodze wyłącznie pracy rozumu; Słowianin raczej skłonny jest zdobywać tę prawdę przy pomocy intuicji, poprzez mistyczne widzenie. Ale już w tej dziedzinie, w dziedzinie przeżyć mistycznych, zarysowuje się zasadnicza różnica między nim a człowiekiem Zachodu. Swedenborg, pietyści i im podobne sekty, nawet jeżeli głoszą hasła zbliżone do mistyków słowiańskich, to jednak ujmują je asocjalnie, po prostu czuje się, że brakuje im łączności z masami ludowymi, co pozbawia ich poglądy zupełnie żywotności. Toteż mistyka zachodnio-europejska jest wyraźnie indywidualistyczna. Mistyka Słowian zaś opiera się na pewnego rodzaju akcie twórczym, który jednostce pozwala na zatapanie się w zbiorowej postawie ludu, a dalej przez to w całej ludzkiej powszechności po to, aby przez intuicję i mistyczne widzenie poznawać prawdy obiektywne. Ta umiejętność wczuwania się w powszechne dążenia ludzkości jest typowa dla Słowian i poprzez nią zespoleni są ze swoim ludem tak polscy mesjaniści jak i rosyjscy słowianofile. Odrębność zaś tej postawy od mistyki zachodnio-europejskiej różni się tak bardzo, że pojawiły się nawet poglądy, którym zdaniem autora nie można odmówić pewnej słuszności, jakoby Słowianie w ogóle nie posiadali zdolności do przeżyć mistycznych sensu stricto. To zaś, co za mistykę słowiańską się uważa, jest w gruncie rzeczy zgoła czymś innym.

Za rdzeń jednakże, za punkt centralny wszelkich słowiańskich systemów religijnych uważa Seifert problemy etyczne, w szczególności walkę o nową etykę. Jeżeli np. Masaryk nie widzi w tym fakcie niczego szczególnego stwierdzając, że i filozofia niemiecka jest silnie etycznie zorientowana, to zdaniem autora przecieży on dogłębną różnicę między dążeniami rozwojowymi porównywanych zjawisk. Zachód zmierza do emancypacji etyki spod wpływów norm heteronomicznych, co w praktyce wyraża się w haśle: „wszystko jest dozwolone”; Słowianie natomiast poszukują właśnie obiektywnych norm obyczajowych, aby im podporządkować życie prywatne i publiczne. Na dowód słuszności swej tezy autor przytacza szereg przykładów zaczerpniętych z postępowania bogumiłów i braci czeskich oraz z poglądów wyrażanych przez myślicieli i artystów polskich, czeskich i rosyjskich, stwierdzając w końcu że nigdzie u Słowian nie można znaleźć wyrażonej tezy filozofii oświecenia, jakoby wiedza była równoznaczna z cnotą. Słowianie bowiem bardzo głęboko odczuwają przeciwieństwo między złem a dobrem i zdecydowanie zastrzegają się przeciwko zachodnio-europejskiemu relatywizmowi, który w końcu doprowadził do przyjęcia zasady postępowania wyrażającej się w określeniu: „poza dobrem i złem”.

Źródłem jednakże słowiańskich postulatów etycznych stała się ewangelia. Także i socjaliści, jak utrzymuje autor, powołują się tu chętnie na ewangelię. Toteż jest rzeczą charakterystyczną, że żądanie swobodnego wykładu ewangelii pojawia się już u bogumiłów. Jednakże żądanie to oznacza u Słowian znowu zupełnie coś innego aniżeli na Zachodzie, np. u Lutera. Bogumili, bracia czescy, a także Tołstoj czerpali ze słów Chrystusa sankcje dla swego obyczajowego rygoryzmu, który wydawał im się zdradzonym przez Kościół oficjalny. Luter zaś czytał z nich tylko obowiązek wiary wiodącej człowieka do wiecznej szczęśliwości, wiary samej w sobie, niekoniecznie popartej czynami. W ten sposób właśnie wyraża się w formie jak najbardziej ostrej przeciwieństwo pomiędzy społecznym ujmowaniem zagadnień przez Słowian a indywidualistycznym stanowiskiem Zachodu.

Na silne zaakcentowanie socjalnego charakteru słowiańskiego chrześcijaństwa, tak jak ono m. in. występuje u Otakara Březiny, wpłynęła niewątpliwie i ta okoliczność, że wyrosło ono z tzw. niższych warstw, warstw ludowych, wżgl., jak np. w Polsce, to, że miało ono doprowadzić do wolności narody polityczne wydzielone. Taki stan rzeczy, jak stwierdza autor, z góry niejako narzucał postulat połączenia moralności prywatnej z publiczną, a więc realizacji chrześcijaństwa.

I rzeczywiście prawie wszyscy słowiańscy filozofowie religii od bogumiłów poczynając chcieli chrześcijaństwo „realizować”, jak to wyrażał Mickiewicz. Ta „realizacja chrześcijaństwa” miała przede wszystkim nastąpić przez zniesienie przeciwieństwa między moralnością prywatną a publiczną. Praktycznie próbowali to przeprowadzić bogumili bracia czescy i Tołstoj; teoretycznie zaś przede wszystkim żądanie to uzasadnili polscy mesjaniści.

Na Zachodzie natomiast, chociaż Kościół katolicki do dnia dzisiejszego zasadniczo zwalcza podwójną moralność, nie udało się żądania tego przeprowadzić, ponieważ przeciwstawiły mu się zachodnie „narody panów”, zwłaszcza Germa-

nowie, Już scholastyczny spór pomiędzy realistami i nominalistami stanowi, zdaniem Seiferta, początek emancypowania się woli panowania nad innymi spod nakazów etyki chrześcijańskiej. Ożywiony przez Occama nominalizm doprowadził do brzemiennego w skutki rozłamu w obrębie tzw. kultury zachodniej, a jego ostatecznym produktem było z jednej strony ubóstwienie państwa, takie jakie widzimy w filozofii Hegla, z drugiej zaś koncepcja nadezłowieka Nietzschego. Religia stała się w tych warunkach najpierw zagadnieniem państwowym (*cuius regio eius religio*), a później zagadnieniem prywatnym każdego człowieka nie mającym znaczenia dla życia publicznego i politycznego. W ten sposób, według twierdzenia autora artykułu, podwójna moralność znalazła w Europie zachodniej wstęp do wszystkich dziedzin życia.

I znowu inaczej te zagadnienia kształtowały się u Słowian, gdzie nigdy państwu nie przyznawano takiej przemożnej roli jak na Zachodzie i gdzie raczej traktowano je jako zło konieczne. Konflikty rodzą się tutaj na innych płaszczyznach, a mianowicie powstają wtedy, kiedy Kościół nie wywiązuje się ze swoich wzniosłych, przyjętych na siebie zadań. Toteż tak Hus jak i Mickiewicz uznają papieża tylko wtedy, kiedy on mając w sobie prawdziwego ducha Chrystusowego staje się w pełni godnym piastowanego przez siebie urzędu, i domagają się czynnego udziału Kościoła w kształtowaniu życia społeczeństw na drodze „realizacji chrześcijaństwa”. Zrozumiałe więc jest, że ani Hus, który stał na stanowisku realizmu przeciw nominalizmowi, ani Mickiewicz, który chciał realizować chrześcijaństwo poprzez papieża, nie uważają siebie za heretyków, podczas gdy rewolucjoniści zachodnio-europejscy bez skrupułów świadomie na siebie tę rolę przeważnie przyjmują.

Konflikty z Kościołem w społeczeństwach słowiańskich powstają i z innych przyczyn. Przyznając w kształtowaniu oblicza moralnego stosunków międzyludzkich Kościołowi swoistą, powyżej określoną rolę, społeczeństwa te przystępują z nim jednak do walki wtedy, gdy chce zdobytym znaczeniem służyć obcym interesom. Podczas gdy na Zachodzie Kościół zwalcza się w imię rozumu, czy rozsądku, Słowianie zarzucają mu raczej żądzę władzy. Nie jest więc rzeczą przypadku, że właśnie jezuici najbardziej byli znienawidzeni przez Słowian, ponieważ trzymali „z panami”.

Jeżeli chodzi o sposoby „realizacji chrześcijaństwa”, to zdaniem Seiferta można u Słowian zauważyć dwie raczej wręcz przeciwne sobie tendencje. Jedna widzi drogę ku temu raczej w ucieczce od świata, w odcięciu się od obcych kultur i zamknięciu się w sobie; druga zaś widzi drogę tę w organizowaniu wielkich ruchów społecznych i umysłowych o szerokim zasięgu, prowadzących do gruntownej przebudowy świata. Tak jedna jak i druga tendencja ma swoich przedstawicieli w Słowiańszczyźnie od czasów wystąpienia bogumilów aż do czasów ostatnich.

Dążenie do realizacji takich czy innych ideałów społecznych, wzgl. religijnych, wymaga od realizatorów ustalenia dla siebie i dla społeczności, w której żyją, pewnych norm życia ascetycznego. Zgodnie z socjalnym charakterem słowiańskiej etyki opiera się również i wymagana przez tę etykę asceza, jak zauważa Seifert, nie na orientalnej kontemplacji, ani też na szczególnych żądaniach i za-

daniach stawianych Bogu poświęcającym się osobom, jak to widzimy na Zachodzie, ale na zobowiązaniu wszystkich wiernych do czynnej miłości bliźniego. Życie klasztorne odrzucali już bogumili. Ta demokratyczna, a zarazem społeczna tendencja wije się poprzez wszystkie systemy słowiańskie.

Tak pojęta asceza uczyła przede wszystkim Słowianina pracować. Uświęcenie zaś pracy, co stanowi jedną z wielkich zasług chrześcijaństwa, nastąpiło, zdaniem autora artykułu, u Słowian w sensie odwrotnym niż u zachodnio-europejskich „narodów panów”. Podczas gdy Germanina trzeba było przekonywać, że praca nie hańbi, to Słowianina trzeba było uczyć zrozumienia jej konieczności. Toteż u bogumitów każdy był zobowiązany żyć z pracy rąk własnych, a bracia czeszy nie uznawali pod tym względem wyjątków nawet dla swoich księży. Seifert twierdzi, że w Polsce problem pracy był tylko pobieżnie rozważany, i to przez mesjanistów, widocznie nie znał on całokształtu materiału z tego zakresu na naszym terenie, wystarczy przypomnieć tu bowiem chociażby Norwida. W Rosji dopiero z wprowadzeniem socjalizmu zaczęto pojmować pracę jako najważniejszy cel wychowawczy, przy czym, jak zaznacza Seifert, marksizm może tu pochwalić się pod tym względem wielkimi wynikami. Zagadnienie pracy stanowi podstawowy problem twórczości Gorkiego, a jest rzeczą znaną, że i Tolstoj ziemską szczęśliwość uzależniał od pracy rąk. Wreszcie przypomnieć należy, że pierwsza ze wszystkich państw wprowadziła Bułgaria powszechny obowiązek pracy. Słowiańska więc asceza z pracą jako zasadniczym ideałem wychowawczym miała przynieść Słowianom brakującą im, według mniemania Seiferta, dyscyplinę wewnętrzną.

Charakteryzując w dalszym ciągu postawę Słowianina wobec otaczającego go świata autor artykułu próbuje wytłumaczyć, dlaczego Słowianie nie prowadzili wojen zdobywczych. Zdaniem jego wynikało to częściowo ze specyficznych warunków geograficznych, nie kształtujących w człowieku poczucia samodzielności, oraz z braku zdolności militarnych w ogóle. Toteż Seiferta nie dziwi wcale, że słowiańscy filozofowie religii stale wysuwali postulat nieużywania przemocy. Błędne jednakże jest w jego przekonaniu mniemanie, jakoby piąte przykazanie Tolstoja (podobne nakazy bogumitów i Chelčickiego są mniej znane) zalecało bierne pozostawienie w spokoju zła. Przeciwnie, nikt poważniej nie starał się zła przezwyciężyć, jak właśnie ci „bierni” nauczyciele ludzkości, oczywiście tylko drogą dobrego przykładu, przekonywania oraz duchowej i obyczajowej przewagi. Postawa taka jest wynikiem przeświadczenia o ostatecznym zwycięstwie dobra, zgodnie z powiedzeniem Chrystusa: „Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie”.

Bogumili opierali dogmatycznie postawę taką na manichejskim dualizmie, inni Słowianie przede wszystkim na ewangelii. Bogumili zabraniali wszelkiego zabijania (także i zwierząt), reszta słowiańskich filozofów zwracała się przede wszystkim przeciw zorganizowanemu zabijaniu ludzi, a więc przeciwko wojnie i karze śmierci. Jeżeli chodzi o wystąpienia świata słowiańskiego przeciwko wojnie, to Seifert znowu szeroko cytuje przykłady. Wspomina o bogumitach i głosach z czasów husyckich, o braciach czeskich, Chelčickim i Komeniuszu, którego uważa za jedno z najpoważniejszych uosobień dążenia pokojowego, jakie widziała Europa. Wspomina dalej Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, a wreszcie pisarzy

i myślicieli rosyjskich, którzy najgłębiej problem przemocy odczuwali i opracowywali: Tołstoj i Dostojewskiego. Rosyjscy też pisarze prym wiódą, jeżeli chodzi o zdecydowane przeciwstawienie się stosowaniu kary śmierci. Wszystkie te wystąpienia filozofów, myślicieli, pisarzy i twórców słowiańskich kierują się szczególnie, jak już powiedzieliśmy, przeciwko przemocy zorganizowanej, która, jak to Tołstoj trafnie określił, znosi odpowiedzialność, a wychowuje „nadludzi”.

Ten punkt widzenia musiał myślicieli słowiańskich doprowadzić do negacji państwa takiego, jakie się w Europie z rzymskich i bizantyjskich tradycji, a pod wpływem germańskim wytworzyło. Słowianie byli niejednokrotnie tylko zwykłymi obiektami takich twórców państwowych i odczuwali to jako ucisk, a w dalszej konsekwencji jako coś nie dającego się pogodzić z ewangelią. Wrogość swoją wobec państwa wyrażali bracia czescy i bogumili w ten sposób, że swoim członkom zabraniali piastowania urzędów państwowych. Najostrzejszy jednak swój wyraz znajduje negacja ta u Chelcińskiego, który m. i. pisze: „Gdyby wszyscy poganie przez chrzest stali się prawdziwymi chrześcijanami, to przez to samo państwo przestałoby istnieć; cały jego organizm stałby się niepotrzebny i bezcelowy. Dla pogan było jednak państwo konieczne, inaczej rodzaj ludzki wyniszczyłby się w powszechnej wojnie wszystkich przeciw wszystkim. Państwo więc było złem koniecznym. Większym jednakże złem jest państwo chrześcijańskie, największym zaś władza państwowa w połączeniu z Kościołem”. Twierdzenie swoje uzasadnia Chelciński w sposób następujący: „Samo w sobie jest państwo chrześcijańskie sprzecznością nie do pokonania, wzgl. daleko więcej można powiedzieć, że nie ma żadnego państwa chrześcijańskiego poza taką nazwą. Do istoty bowiem państwa należy przymus i przemoc, także i dobro przez nie tworzone dokonuje się też drogą rozkazu, a to dzięki złym chrześcijanom, którzy wstąpili na miejsce pogan. Tymczasem prawdziwy chrześcijanin nie potrzebuje być zmuszany do dobrego i nie wolno mu innych do dobrego zmuszać, ponieważ Bóg domaga się dobra wynikającego z pełnej swobody działania”.

Jak wskazuje liberum veto, również i polski ideał państwowy był odmienny od zachodnio-europejskiego. Toteż polscy mesjaniści zwalczają koncepcję państwa zachodniego, i to tak w jego formie monarchistycznej, jak i nawet częściowo republikańskiej, stawiając na to miejsce swój ideał państwowy.

Jeżeli ten ideał najbardziej odpowiadający wszystkim Słowianom próbuje się czasem określić mianem anarchizmu, to można przyjąć to określenie tylko z tym wyraźnym zastrzeżeniem, że nie będzie go się utożsamiało z indywidualistycznymi prądami tego typu, jakie spotykamy na zachodzie Europy, np. we Włoszech i Hiszpanii. To natomiast, co pod tym mianem widzimy u Słowian, stanowi dążenie do ustanowienia nowych związków międzyludzkich, odmiennych od tych, jakie wytworzono w zachodnio-europejskim systemie hierarchicznym. Za takim ujęciem sprawy przemawia silny zmysł społeczny Słowian promieniujący z ich systemów etycznych.

Nowe zaś związki między ludźmi radziły Słowianie oprzeć na poczuciu braterstwa, za którego bojowników się uważają. Jest ono takim samym postulatem dla nich, jak nieużywanie przemocy. I rzeczywiście istnieje wśród narodów słowiańskich silne poczucie wspólnoty, której najwyraźniejszym przejawem stał się

panslawizm. Jeżeli politycznie, jak twierdzi autor, musiał on zawieść, to dlatego, że stale popadał w metody działania stosowane przez zachodnio-europejskie „narody panów”, na polu kulturalnym jednak osiągnął taką intensywność, jaką trudno by znaleźć wśród narodów germańskich czy romańskich. Musi więc być poczucie braterstwa w człowieku słowiańskim czymś więcej niż mglistą tęsknotą. Jeżeli jednak mimo to wśród narodów słowiańskich wybuchają raz po raz kłótnie i spory, to jest to, zdaniem Seiferta, w pierwszym rzędzie wynikiem braku samodzielności tych narodów. Jak długo inteligencja słowiańska, mówi on, będzie się ubiegała o łaski Zachodu i będzie usiłowała jego urządzenia, które Słowianinowi w zupełności nie odpowiadają, bezkrytycznie naśladować, bez zrozumienia ich istotnego sensu, tak długo historia narodów słowiańskich będzie tą zazdrosnych sług, którzy kłócą się o okruchy spadające z pańskiego stołu. Istotne znaczenie zmian, jakie przyniosła narodom słowiańskim pierwsza wojna światowa, widzi Seifert nie tyle w osiągniętej przez nie niezawisłości państwowej, co w zapoczątkowaniu wyzwolńczych procesów społecznych, w szczególności w usunięciu obszarniczego ustroju rolnego, który hamował rozwój socjalny ludu. Dopiero teraz będzie lud ten mógł ze swojej głębi kształtować te myśli, które jego wieszczowie próbowali w mniej lub bardziej jasnych słowach zarysować. W ten sposób w przyszłym słowiańskim budownictwie państwowym będzie mogła dojść do znaczenia główna zasada słowiańskiej etyki — chrystianizacja polityki.

Jest bowiem wg Seiferta rzeczą znamionną, że w ogóle wszyscy Słowianie czują niechęć do konstytucjonalizmu w jego zachodnio-europejskiej formie. Przejrzeli oni bowiem całą błagę reprezentowaną przez system partii politycznych zachodnich demokracji, tak jak odrzucili zasadę monarchii absolutnej. Słowianie mogą wymarzoną przez siebie wolność osiągnąć w pełni tylko w społeczeństwie, w którym władza polityczna stanie się z czasem zbędna. Idąca w tym kierunku przebudowa państwa pójdzie ręką w rękę z przebudową reprezentacji społeczeństwa, wyłonionej teraz na podstawie funkcjonalnej, zawodowej, uwzględniającej przede wszystkim wkład pracy obywatela. Seifert twierdzi, że tak zorganizowane społeczeństwo będzie dopiero mogło rozwiązać problem w ustrojach dotychczasowych raczej nierozwiązalny, a mianowicie stosunku Kościoła do państwa. Dalszym znamię nowego ustroju będzie odwrót od centralizmu ku jak najdalej posuniętemu federalizmowi. Za federacją republik wypowiedzieli się już dekabryści, a ostatnio, jak to podkreśla autor, Rosja weszła na drogę realizacji tej idei przede wszystkim za sprawą Lenina, który przeciwstawił się centralizmowi trockistów.

Dokonawszy przeglądu rozwoju stosunków społecznych na terenach słowiańskich Seifert dochodzi do wniosku, że narody tu mieszkające w daleko mniejszym stopniu od narodów zachodnio-europejskich uległy w obrębie swoich społeczeństw zróżnicowaniu klasowemu, że zachowały zatem w daleko większej mierze charakter demokratyczny. Lecz i słowiański demokratyzm jest zupełnie inny w gruncie rzeczy od zachodniego. Na Zachodzie chodzi tylko o to, kto ma posiadać władzę, gdyż w istocie rzeczy nikt tutaj nie wątpi o tym, że muszą istnieć przełożeni i poddani. Jakiegokolwiek by było zabarwienie ideowe, to jednak społeczeństwo za-

chodnio-europejskie organizuje się zawsze, po rozstrzygnięciu walki o władzę, w państwo oparte na subordynacji. Inaczej stawia tę sprawę Słowianin, który chce w ogóle panowanie człowieka nad człowiekiem znieść, jeżeli zaś tego przeprowadzić nie może, to raczej stara się usunąć z życia politycznego i zachować postawę zupełnie bierną. Problem panowania i służenia zajmował bogumiłów i braci czeskich, Komeniusza i Dostojewskiego i za każdym razem, a więc w różnych czasach i warunkach społecznych był on rozstrzygany zgodnie z ewangeliczną zasadą miłości bliźniego, co nie pozostawało niejednokrotnie bez praktycznych skutków w postaci złagodzenia postępowania możliwych i polepszenia doli wyzyskiwanych, np. chłopów.

Właściwy słowiański demokratyzm objawia się w końcu także i w swoistym pojmowaniu kwestii kobiecej. Rzeczywiście bowiem znajdujemy zawsze u wszystkich filozofów słowiańskich mniej lub bardziej silnie zaakcentowane stawianie na równi kobiety z mężczyzną. Zrozumienie ważności kwestii kobiecej znajdujemy znowu i u bogumiłów, i u braci czeskich, i u Komeniusza, a później kwestia ta staje się jednym z głównych punktów programu rewolucjonistów polskich i rosyjskich. Odczuwa jej wagę Słowacki, L. Tołstoj i inni. Szczególną jednak czią cieszy się u słowiańskich filozofów kobieta-matka. Problem macierzyństwa odgrywa też główną rolę w czei Najśw. Marii Panny. Bogumili wyobrażali ją sobie jako anioła, a Polacy umieścili w centrum religijnego kultu. U Rosjan, a więc u Puszkina, Niekrasowa, L. Tołstoja i innych spotykamy się również z apoteozą kobiety jako matki.

Jeżeli chodzi o stosunek Słowian do własności prywatnej, to Seifert uważa, że i on jest odmienny od stanowiska, jakie w tej kwestii zajmuje człowiek Zachodu, czego wyrazem były i są niektóre urządzenia spotykane na terenach słowiańskich. Przede wszystkim jednak stosunek ten cechuje brak tego rygoryzmu, jaki widzimy na zachodzie Europy. To, co można nazwać słowiańskim komunizmem, opiera się głównie na przeświadczeniu, że społeczność ma daleko idące prawo swobodnego rozporządzania prywatną własnością.

Ale Słowianie, zdaniem Seiferta, próbowali przezwyciężyć kulturę zachodnio-europejską nie tylko przez ucieczkę od niej, przez „ucieczkę od świata” względnie przez ogólne usunięcie jej urządzeń, lecz także przez kształcenie szerokich mas ludowych. Wykształcenie stawało się dla Słowian najważniejszym środkiem prowadzącym ich po drodze wykluczającej gwałt do wytęsknionej wolności. Już bogumiłom zarzucano, że wszędzie włóczę się z książkami, i rzeczywiście przewyższali oni resztę ludności odcytaniem. Także bracia czescy byli literacko niezwykle płodni. Hus stał się twórcą czeskiej ortografii i jednym z współtwórców czeskiego języka literackiego. Z kół braci czeskich wyszedł projekt reformy szkolnej, który przez Komeniusza uzyskał znaczenie światowe. Głód wiedzy objawiany przez słowiańskich studentów jest powszechnie znany, a także przedstawiciele słowiańskich mas ludowych, skoro już raz nauczyli się czytać i pisać, czytają i studiują z głębokim przejęciem, chociaż można też u nich spotkać się z przejawami braku zaufania do słowa pisanego. Pokażną zatem liczbę analfabetów wśród Słowian chciałby Seifert wytłumaczyć nie tyle kulturalnym zacofaniem, co po prostu nie-

adekwatnością dla nich zachodnio-europejskiego wykształcenia, które na próżno próbują sobie przyswoić. Dlatego chciał Komeniusz oprzeć szkolnictwo ludowe na nowych podstawach i domagał się zamiast czysto intelektualnego interpretowania rzeczy poglądowego ich przedstawiania. Nie rozum, ale intuicja, jak już to podkreślał Seifert, jest przez wszystkich Słowian uznana jako źródło poznania; życie nie ma być rozkawałkowane i analizowane, ale z całości jako całość ujmowane i tłumaczone. Dlatego też Słowianie nie wydali wprawdzie profesorów psychologii na wzór zachodnio-europejski, natomiast poetów, którzy jako psychologowie reprezentują nieosiągalne szczyty. Jest także dla Słowian znamiennym stałe odrzucanie zachodnio-europejskiego sceptycyzmu wyrażającego się w powiedzeniu: Ignoramus et ignorabimus. Tam, gdzie zachodnio-europejski uczony z rezygnacją zamyka książki, rozpoczyna się dla Słowianina dopiero prawdziwe widzenie rzeczy, a tak często podziwiana u Słowian, a zwłaszcza u Rosjan zaciętość, z jaką zatapiają się w najgłębsze problemy życiowe, świadczy zupełnie i wyrażnie o tym, że są oni przeświadczeni o możliwości zdobycia prawdy obiektywnej. Komeniusz wierzy w swej Pansofii, że można wszelkie sporne kwestie zaprzatające ludzkość usunąć ze świata.

Taka postawa poznawcza jest wg mniemania Seiferta wynikiem wielkich zdolności mitotwórczych, tkwiących w Słowiańszczyźnie, czego dowodem jest nie tylko bujnie tu krzewiąca się poezja ludowa, ale i pragnąca uchodzić za poważną naukę. W związku z tym należy, zdaniem autora artykułu, podkreślić, że nauka słowiańska jest przede wszystkim historyczna, ściśle mówiąc historiozoficzna. I chociaż jest powszechnie wiadomym, jak podkreśla Seifert, że nie ma obiektywnej historiografii, to jednak jest rzeczą bardzo znamienną, że np. Masaryk tyle trudu musiał włożyć w walkę z tymi, którzy upierali się przy autentyczności rękopisów Hanki. Od czasów Herdera ciągnie się przez całą historiografię słowiańską tendencja do idealizowania słowiańskiej przeszłości, później zaczęto idealizować również i słowiańską przyszłość. Tym samym historiozofia stała się najbardziej ulubionym przedmiotem. Idealizacja przeszłości pojawiała się zresztą już i dawniej, i to znów u bogumiłów, u husytów i Rosjan (III Rzym—Moskwa), jak i w czasach nam bliższych u polskich mesjanistów i znów u Rosjan.

Taka postawa Słowian zadecydowała także o ich stosunku do zachodniej nauki i filozofii. Największy wpływ mieli Rousseau, Herder i romantycy, zwłaszcza Schelling, a więc właśnie ci, którzy na Zachodzie okrzyczani zostali jako filozofowie mało krytyczni. Z Hegla przyjęto właściwie tylko jego metodę dialektyczną, która słowiańskiej historiozofii szczególnie odpowiadała. Następnie duży wpływ wywarł na Słowian socjalizm, natomiast teoria Darwina, zdaniem Seiferta, została przez nich raczej odrzucona ze względu na tkwiącą u jej podstaw arystokratyczną, pańską moralność. Najwyraźniej jednak wyraża się wg Seiferta odwrót Słowian od zachodnio-europejskiego świata myśli, w filozoficznym realizmie Rosjan i Masaryka, który na podstawie bezpośredniego oglądu pragnie zgromadzić nowy materiał doświadczalny i odrzuca racjonalizm i abstrakcyjny empiryzm. Ten realizm, dla którego każde „przeżycie” jest realne, zbliża się w pewnej mierze do wspomnianej słowiańskiej mistyki, dla której intuicja jest najważniejszym źródłem poznawczym.

Seifert mniema, że pociągnięcie granicy między historiografią Słowian a ich poezją nastręcza szczególne trudności. Uważa też, że o wieku XIX można mówić z pewnym uzasadnieniem jako o okresie epickim Słowian. Czym bowiem dla Niemców jest Nibelungenlied, tym pieśni o królu Marko i bogata literatura o wojnach tureckich dla południowych Słowian, tym powieści husyckie Jiraska dla Czechów, tym Trylogia Sienkiewicza jak i posiadający daleko jeszcze większe znaczenie epos Mickiewicza — dla Polaków, tym wreszcie dzieła Gogola dla Rosjan. Ten historyczno-mityczny nerw znajduje także swój wyraz w malarstwie, najpotężniej u Matejki.

Na zakończenie swych wywodów stara się autor artykułu scharakteryzować zasadniczą ideę kulturalną Słowiańszczyzny raz jeszcze niejako w jednym zdaniu i widzi jej zasadniczą cechę w dążeniu do takiego zorganizowania społeczeństwa ludzkiego na nowych podstawach, aby panowanie człowieka nad człowiekiem zostało wykluczone. Nie możemy zaprzeczyć, mówi on, że Słowianie są w istocie swej inni od narodów zachodnio-europejskich, ale symbioza, w której oni przez 1000 lat żyli z Zachodem, pozwala przypuszczać, że nie dojdzie do „upadku kultury zachodnio-europejskiej” (autor ma na myśli znane dzieło Spenglera), ale do syntezy tego Zachodu ze Słowiańszczyzną.

W ten sposób streściliśmy tutaj w formie jak najbardziej ogólnej poglądy niemieckiego autora, zatrzymując się przede wszystkim na jego spostrzeżeniach pozytywnych oraz na tych wywodach, które syntetyzowały nieraz szersze rozważania analityczne. Wywody te podawaliśmy tu niejednokrotnie w brzmieniu prawie że dosłownym.

Jeżeli teraz zastanowimy się nad całokształtem zapatrywań Seiferta, to nasuwa się spostrzeżenie, że cała ta postawa, którą autor artykułu uważa za specyficzną słowiańską, ma bardzo wiele dążeń wspólnych z ogólnoludzką czy europejską myślą postępową. Należałoby się więc zastanowić, skąd się biorą te zbieżności. Seifert na wstępie swej pracy cytuje słowa z serbskiego myśliciela M. Węlimirowica, wypowiedziane przez niego w czasie pierwszej wojny światowej w Ameryce. Powiedział on wtedy m. inn.: „My wiemy, że także Anglicy i Francuzi są chrześcijanami; gotowi jesteśmy przyznać, że są oni może lepszymi chrześcijanami niż my. Ale chrześcijaństwo u nas Słowian, u nas niewolników (w niemieckim: Slaven — Sklaven) znalazło szczególny wyraz i szczególne tłumaczenie. Wyrazem jego jest ogólnoludzkie braterstwo. My wiemy, co znaczy być niewolnikiem, i dlatego chcemy, aby na świecie nie było żadnych niewolników. My wiemy, że człowieka pełne pychy panowanie nad innymi ludźmi plami i od Boga oddala. Dlatego nie pozwalamy ani sobie, ani innym na takie pełne pychy panowanie nad innymi. My Słowianie nie mamy tego zewnętrznego kulturalnego blichtru co nasi panowie, ale my mamy w sobie więcej duszy, o wiele więcej duszy, tak jak chrześcijaństwo w katakumbach miało więcej duszy niż cesarowie na Pałatynie”.

Widzimy więc, że serbski myśliciel tłumaczy odrębność postawy słowiańskiej przede wszystkim odrębnością, specyficnością ogólnych warunków bytowych, w jakich wypadło żyć i rozwijać się Słowiańszczyźnie. Nie można powiedzieć.

aby Seifert tych czynników zupełnie nie dostrzegał; stara się on bowiem od czasu do czasu w swych rozważaniach i na tę stronę zagadnienia wskazywać przez omawianie szczególnie niekorzystnych warunków politycznych, społecznych i kulturalnych, w jakich Słowianie trwać byli zmuszeni. Niemniej wywody jego oscylują pomiędzy dopatrywaniem się w tych właśnie warunkach odrębności dążeń kulturalnych Słowian a apriorycznym przyjmowaniem odrębności ich struktury psychicznej, z dość wyraźnym przechyleniem się w kierunku drugim. I na tym niewątpliwie polega wewnętrzna sprzeczność artykułu Seiferta.

KOŚCIÓŁ A ZASADA SWOBODNEJ DYSPOZYCJI WŁASNOŚCI ZIEMSKIEJ W POLSCE WIEKÓW ŚREDNICH

I.

Świeżo ukazało się obszerne dzieło¹⁾ z zakresu historii prywatnego prawa polskiego. Nosi ono podwójny tytuł. Pierwszy, ogólny: „Studia nad relikdami wspólnej własności ziemi w najdawniejszej Polsce” — zaznacza kierunek badań i zapowiada dalsze w tym kierunku prace; drugi: „Rozporządzanie własnością ziemską do końca XIV w.”, jako ściślejszy, jest właściwym dla omawianej monografii, oba razem charakteryzują przedmiot dociekań i osiągnięć autora. Autorem jest młody uczony, dr Kazimierz Kolańczyk, pochodzący z poznańskiego środowiska naukowego i z tym środowiskiem związany jako asystent uniwersytetu i współpracownik Instytutu Zachodniego. Jego imię nie jest nauce obce i nie po raz pierwszy jawi się on jako autor prac naukowych. „Najdawniejsze polskie prawo spadkowe” (1939—40) stanowi jego debiut na tym polu, a „Skorowidz nazw miejscowości Pomorza Zachodniego i Ziemi Lubuskiej 1947”, wspólnie z Drem Władysławem Rusińskim wykonany, jest ponownym dowodem jego działalności. Obie te książki, choć z różnych dziedzin wiedzy o Polsce, charakteryzują autora jako badacza sumiennego i wysoce uzdolnionego.

II.

Książka Kolańczyka ma za sobą historię długą i nieobojętną dla problemów w niej zawartych. Na tę historię złożyły się momenty tak wewnętrzne jak zewnętrzne. Kiedy prof. Zygmunt Wojciechowski objął na uniwersytecie poznańskim katedrę historii prawa polskiego, rozwinął na tym stanowisku gorliwą działalność, pedagogiczną i naukową zarazem. Ideą, która mu przyświecała od samego początku, było pogłębienie wiedzy o ustroju Polski średniowiecznej, społecznym i politycznym, oparcie go na głębszych i mocniejszych niż dotąd podstawach, stworzenie nowej na tym polu syntezy. Niełatwe to było zadanie i przerastające siły jednostki. Stąd konieczność wciągnięcia do pracy zespołu młodszych badaczy, wyszkolenia ich i wskazania im zagadnień do opracowania. Jednym z takich zagadnień wdzięcznych, choć trudnych była kwestia polskiej organizacji rodowej w prawniku, oraz śladów, jakie ona pozostawiła po sobie w dobie historycznej, śladów tak silnych, że wyznaczały one kierunek poszczególnych instytucji prawa publicznego i prywatnego, a tak wymownych, że tylko

¹⁾ Kazimierz Kolańczyk, *Studia nad relikdami wspólnej własności ziemi w najdawniejszej Polsce*. — *Rozporządzanie własnością ziemską do końca XIV w.* Poznań, Nakładem Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, 1950.

w ich świetle dadzą się zrozumieć różne archaizmy i odrębności naszego dawnego prawa, co występuje zwłaszcza w porównaniu z ustrojami państw i społeczeństw na Zachodzie.

W październiku 1934 r. prof. Wojciechowski rzucił wśród członków swego seminarium (Seminarium Historii Ustroju Polski i Prawa Polskiego Uniwersytetu Poznańskiego) projekt systematycznego opracowania prawa spadkowego w Polsce jako dziedziny, w której starły się z sobą dwie wprost przeciwne i wrogie sobie siły: z jednej strony słowiańsko-polska koncepcja wspólnej własności rodzinnej i rodowej, jako czynnik prastary i rodzimy — z drugiej rzymsko-kościelna koncepcja własności jednostkowej, jako element obcy i nowy. mający zburzyć dotychczasowy porządek rzeczy.

Rzecz oczywista, że prawo spadkowe nie jest potrzebne i nie istnieje przy współnocie dóbr. Otóż w Polsce XII w., — a to jest dopiero czas, od którego źródła poczynają płynąć obficie, były warunki dla rozwoju prawa spadkowego, była więc własność indywidualna, poświadczona poza tym jeszcze innymi dowodami z życia i prawa. Niemniej jednak indywidualizacja własności nie była kompletna. Istniały wyraźne i liczne ślady dawnej wspólnej własności w obrębie rodu, ślady ujmowane głównie jako tzw. prawo bliższości. Problem nie nowy w nauce, bo taki, z którym musiał zetknąć się nieledwie każdy historyk prawa polskiego, zwłaszcza prawa prywatnego, ale problem nigdy dotąd nie poddany gruntownemu badaniu i dlatego właśnie nasuwający szereg pytań i wątpliwości, które budzą się zawsze tam, gdzie sytuacja nie jest wyjaśniona. Otóż wyjaśnienia tego doniosłego problemu wyczekiwała nauka od młodego pokolenia badaczy. Nie zawiódł nadziei jeden, mianowicie Kazimierz Kolańczyk.

Z początku w ramach pracy ściśle seminaryjnej ograniczył się do materiału wielkopolskiego, potem rozszerzył badanie na całość polskich źródeł i tak powstała jego praca pod tytułem „Najdawniejsze polskie prawo spadkowe”. Z chwilą wybuchu wojny gotowe były zaledwie trzy rozdziały projektowanej całości. Autor przepisywał je i poprawiał w ostatnich miesiącach roku 1939 w obozie zakładników wojennych w Poznaniu pod kierunkiem obecnego tam również prof. Wojciechowskiego. Resztę napisał w ukryciu przed władzami okupacyjnymi w Oplawcu pod Bydgoszczą. Rękopis przewieziony został nie bez ryzyka z Bydgoszczy do Krakowa i tutaj wydrukowany dzięki staraniom profesora Wojciechowskiego. Jeden dowód więcej niespożytej siły polskiej nauki i istotnego oddania się idei pracy naukowej ze strony polskich pracowników. Ale rzecz oczywista, że praca w tak niepomyślnych warunkach kończona i ogłaszana nie mogła być ostatnim wyrazem osiągnięć autora w danym zakresie, choć mimo to spełnia wszelkie wymogi pracom naukowym stawiane i przynosi wiele nowego.

Autor przetrwiał szczęśliwie wojnę, lecz zmuszony był oddawać się w tym czasie pracy fizycznej. Po wojnie zaś powrócił natychmiast na swe dawne stanowisko i do swego naukowego warsztatu. Ale zanim mógł z całą intensywnością oddać się przerwanej na lat 5 robocie, stanął do innej pracy, która okazała się bardziej aktualna, a dyktowana była interesem publicznym. Dwa lata strawił na zbieraniu i przygotowywaniu materiału historycznego dla restytucji polskich

nazw miejscowych na Pomorzu Zachodnim i w Ziemi Lubuskiej. Dopiero potem mógł się poświęcić głównemu tematowi swych badań, których ostatecznym owocem stała się niniejsza książka, jako część pierwsza studiów nad śladami i przeżytkami wspólnej własności ziemi w najdawniejszej Polsce.

Jezeli długie przerwy nie były bez wątpienia czynnikiem dodatnim, bo powodowały i stratę czasu, i nie miały wysiłku, zużywany na wiązanie zrywającej się nici — to należy z drugiej strony przyznać, że tkwił w tych okolicznościach również pewien moment nie pozbawiony korzyści. Oto autor z powołania i najistotniejszych zamiłowań naukowiec — nie rozstawał się latami całymi ze swymi problemami one żyły i nurtowały w nim, rosły i dojrzewały, choć powoli, ale stale i skutecznie. On nie tylko nie musiał, ale nawet nie mógł się spieszyć i przez to uniknął tych szkód, które zazwyczaj pośpiech wiążącym terminem spowodowany, przynosi. A szkody to dobrze znane czytelnikom i podnoszone nieraz przez krytyków. Na imię im: powierzchowność, schodzenie z pola trudnościom, oszczędzanie sobie badań ubocznych w kwestiach luźniej związanych z tematem, zwłaszcza mętność i niejasność w przedstawieniu rzeczy, oraz niedbałość w zakresie stylu i języka. Te czyhające na każdego autora niebezpieczeństwa usuwa tylko czas, pozwalający przemyśleć problem na wskroś z niepomijaniem najdrobniejszych szczegółów, które dopiero osadzają przedmiot w jego naturalnym środowisku i nadają mu osobliwej żywotności oraz plastyki. W ciągu dłuższego czasu odbywa się nie tylko praca ważenia argumentów oraz budowania i przebudowywania wniosków, lecz także inna praca: znalezienia formy najodpowiedniejszej dla treści poruszanych zagadnień. Dzieło, które dojrzewa powoli — dobrze dojrzewa. Takim właśnie jest dzieło Kolańczyka i dlatego można o nim śmiało powiedzieć, że mimo młodości autora odznacza się dojrzałością, ta dojrzałość zaś wynika zarówno z psychiki autora, co i z dzieł jego książki.

III.

Na czym polega główne zagadnienie omawianej pracy, czyli innymi słowy, jakie problemy kryją się w temacie, jak ujął go autor i jaki wytknął sobie cel w swych zamierzeniach, badaniach i osiągnięciach? Stwierdzić należy, że autor przystąpił do roboty z planem jasnym i nie tylko ogólnie zarysowanym, lecz sięgającym do drobnych nawet kwestii — że zawsze zdawał sobie sprawę z tego o co chodzi, że nigdy nie zdał się na przypadek, czy nie dał się porwać rzeczom ubocznym, o ile nie były uzasadnione ściśłym z tematem związkiem. Doskonała planowość, czyli kompozycja pracy przejawia się nie tylko w ogólnym układzie, lecz także w należytych stosunkach części do całości.

Postawiono niegdyś tezę o młodszości naszego cywilizacyjnego rozwoju (Szujski). Bobrzyński dopatrywał się w ustroju najdawniejszej Polski cech monarchii frankońskiej. Balzer — nieco przed nim Łaguna — po nim zaś Wojciechowski podkreślali siłę organizacji rodowej, i to nie tylko u panującej dynastii, lecz w społeczeństwie. W każdym razie w porównaniu z współczesną nam Eurona Zachodnią, do której weszliśmy przez przyjęcie chrześcijaństwa, żyliśmy w dobie średniowiecza w stosunkach archaicznych, znajdujących również swój wyraz

w prawie. Było to prawo rodu, a tyczyło się ono przede wszystkim władania ziemią, zwłaszcza jej pozbycia.

W dobie historycznej, poświadczonej źródłami, zostały z tego prawa tylko pewne ślady i przeżytki, jednak dość liczne i wyraźne, aby na ich podstawie snuć wnioski o pierwotnej rodowej wspólnotcie, znanej zresztą w czasach późniejszych u Słowian południowych. To jest punkt wyjścia autora nie tylko w omawianej pracy, lecz dla zapowiadanych prac następnych. Ziemia — to główne dobro w ówczesnym systemie gospodarki naturalnej. Ona jest nie tylko najważniejszą podstawą bytu i dobrobytu, lecz ona i tylko ona określa przynależność stanową, ona też bywa źródłem politycznego znaczenia i działania. Dlatego było rzeczą ogromnej wagi, w jaki sposób ziemia mogła przechodzić z rąk do rąk. Problem to wykraczający daleko poza interes jednostki, bo dotyczący ogólniejszego interesu rodu, a w pewnych wypadkach interesu Kościoła, jeśli ziemia przejść miała w jego ręce i panującego księcia, jeśli on miał w wypadkach spornych rozstrzygać — interes o charakterze publicznym.

Zarazem gotów materiał do konfliktu nie tylko osób i instytucji w poszczególnych wypadkach ale prądów i idei. Na tym polu, bardziej i ostrzej niż na jakimkolwiek innym, spotykały się z sobą dawne tradycyjne zasady tkwiące jeszcze głęboko w przekonaniu społeczeństwa i w jego prawnych zwyczajach z zasadami nowymi, które szły do Polski z Zachodu, a którym Kościół torował drogę. Rzymsko-kanonistyczna zasada wolnej dyspozycji własnością jako uprawnieniem jednostki w konflikcie z polsko-słowiańską przewagą rodu nad jego członkiem — oto perspektywy dla badacza niezwykle wdzięczne, bo i doniosłe swym znaczeniem, i dalekosiężne w stosunki przeróżnego rodzaju, i prawie nieopracowane, bo w literaturze naukowej brak było dzieła poświęconego tej kwestii, a to, co było o tym wypowiedziane, było szkicowe, fragmentaryczne i niekiedy niewolne od błędów i powierzchownych sądów.

Dzieło Kolańczyka jest ze względu na swój rodzaj pracą prawnohistoryczną, i to z zakresu historii polskiego prawa prywatnego. Jej przedmiotem ściślejszym są stosunki prawa ziemskiego, stosunki prawne i faktyczne ówczesnej warstwy rycerskiej, dotyczące jej właściwości nieruchomości. Oto rzeczowe ramy pracy w znaczeniu ściślejszym, bo w znaczeniu obszerniejszym autor sięgał częstokroć poza te granice w dziedzinę tak prywatno- jak publiczno-prawnych stosunków, a poruszał też gospodarcze, społeczne i polityczne. Ramy terytorialne stanowi cała ówczesna Polska, razem ze Śląskiem, Pomorzem Zachodnim i Gdańskiem. Chronologiczną granicę wyznaczają źródła, które zaczynają płynąć od połowy XII w., kiedy to zaczyna się również na większą skalę ekspansja majątkowa Kościoła. Jako końcową granicę przyjęto na ogół schyłek XIV w., wybiegając ze względu na pewne rodzaje źródeł poza tę datę, nieraz aż do początku wieku XVI. Stuleciem najważniejszym, poniekąd centralnym dla poruszanych zagadnień, jest wiek XIII, w którym zachodzą fakty najbardziej charakterystyczne i w którym obserwować można w świetle coraz obfitszych źródeł ścieranie się zasad i sił nawzajem sobie przeciwnych.

Opracowanie problemu rozporządzania własnością ziemską autor podzielił sobie na dwa etapy. W części pierwszej, która stanowi treść obecnego dzieła,

przedstawione zostało wszystko to, co dla rozwoju zagadnienia posiada znaczenie teoretyczne i ogólne. Chodziło o wykrycie i określenie czynników, wpływających na kształtowanie się sprawy, o wskazanie i ocenę kierunków ich działania. Postulaty ideologii i nakazy moralne, przepisy, ustawy i zwyczaje, wkroczenie w dziedzinę prapolską elementów obcych z Zachodu i sposób ich przenikania przy szerokim uwzględnieniu tła gospodarczego, ustrojowego i kulturalnego — tutaj znalazły swe miejsce. Zapowiedziana druga część pracy poświęcona będzie zbadaniu skutków zmagania się z sobą tych ogólnych czynników i tendencji. Będzie to część szczegółowa, traktująca o wszelkiego rodzaju alienacjach, które prowadziły do przesunięć w układzie własności ziemskiej, jak testament, darowizna, sprzedaż, zamiana i zastaw.

Obydwie części różnić się będą nie tylko treścią i materiałem, ale również dostosowaną do nich metodą pracy. Pierwsza część opiera się w dużej mierze na badaniach porównawczych o rozległym zasięgu. Czynniki bowiem działające w Polsce w kierunku zburzenia wspólnoty rodowej i zindywidualizowania własności ziemskiej, zanim przyszły do Polski, odegrały już analogiczną rolę na germańskim Zachodzie. Autor uwzględnił tę rolę i jej wpływy na stosunki polskie, a pomocą była mu olbrzymia literatura przedmiotu, nie zawsze jednak zwalniająca od dociekań źródłowych. Część druga ma się zająć analizą tylko polskiego materiału i oceną polskiej rzeczywistości prawnej.

Problem obszerny, że aż przytłaczający swym ogromem i najeżony licznymi trudnościami, z których autor zdawał sobie sprawę doskonale i z którymi umiał walczyć zwycięsko. Trudności te wynikały nie tylko z braku i małowartości źródeł, ale z pokusy niewłaściwego ich interpretowania. Trzeba było strzec się przed zbyt pochopnym generalizowaniem faktów jednostkowych, a jeszcze bardziej przed tym, by w danym fragmencie prawnym widzieć od razu odbłask rzeczywistych stosunków, nie zaś tylko postulat mijający często bez echa. Wieczne pytanie historyka „jak to było naprawdę” (Ranke) stawało przed autorem raz po raz i doradzało mu ostrożność. Choć nie był uczniem Władysława Abrahama i tylko z dzieł tego niezrównanego historyka średniowiecznego prawa mógł wnioskować o jego metodzie, przecież sam używał podobnej, poszukując z wielką trzeźwością i umiarem rzeczywistości i istotnego życia, co się kryło w niełatwych dla nas do rozwikłania świadectwach źródłowych, które dla współczesnych nie przedstawiały nic trudnego ani zagadkowego. Przy tym nie popadł bynajmniej w drugą ostateczność. Nie cofał się bowiem nigdy przed sformułowaniem sądu, gdy miał do tego uzasadnioną podstawę, nie płatał się w wahaniach, umiał zdobyć się na decyzję. Ostrożność szła u niego w parze z bystrością oka i pewnością ręki, a cenne te cechy wyrobił sobie przez doskonałą znajomość źródeł, przez wnikliwe wczytanie się w nie i trafną ich interpretację. — W pewnej mierze pomocną była mu literatura przedmiotu, więcej obca, mniej polska. Przy badaniach porównawczych oparcie się o literaturę było wprost koniecznością. Ale i w tym okazał myśl twórczą, a w razie potrzeby myśl krytyczną, która prowadziła go nieraz do polemiki. Samo przetrwanie tego ogromu wymagało wysiłku, nie mniejszego z pewnością umiejętne zużytkowanie i celowe wciągnięcie do swych zagadnień materiału z tak rozmaitych dziedzin wiedzy

historycznej i prawnej. I znowu autor nie tylko nie uległ, ale ostatecznie za triumfował. Opanowanie przezeń literatury i stanu nauki było nie mniej pewne i świetne, jak opanowanie źródeł. Na tej dopiero podstawie wznosił swą własną konstrukcję. Jakaż jest ona?

Podniósłszy kwestię rozporządzania własnością ziemską do znaczenia społecznego i państwowego i przeniósłszy ją w sferę niemal publiczno-prawną, rozpatrzył kolejno stosunek do tego zagadnienia tych czynników, które w Polsce Piastowskiej na mocy swego naczelnego stanowiska wpływały przemożnie na losy narodu i państwa. Czynniki te — to Kościół, społeczeństwo świeckie (rycerstwo) i panujący. Im też poświęcił po jednym, mniej więcej równie obszernym, rozdziale dzieła.

Z czynników tych wysuwa się naprzód Kościół, który dążąc do zdobycia trwałej i obszernej materialnej podstawy, sięgnął po ziemię i począł nabywać ją pod różnymi tytułami prawnymi, a stosował przy tym swoje kanoniczne prawo, przesiąknięte zasadami rzymskimi. W dążeniach tych Kościół napotkał na opór społeczeństwa, które znów stało na gruncie dawnego prawa zwyczajowego o zasadach nie indywidualnej własności, lecz uprawnień rodu. Obie strony szukały poparcia panującego i znajdowały je w rozmaitej mierze, zależnie nie tyle od prawnych argumentów, ile od okoliczności politycznej natury. Wynikiem równoczesnego działania tych potężnych, a zarazem sprzecznych z sobą sił musiał być nieraz kompromis. Znajdował on swój wyraz w rozdzieleniu jednostkowej i grupowej sfery działania, w zabezpieczeniu interesów jednostki i Kościoła z jednej — a rodziny, rodu i państwa z drugiej strony. Forma tego kompromisu stała się częścią swobodną, oddana do dyspozycji jednostki, a określona w stosunku do całości majątku bądź to ilościowo, bądź też jakościowo. Tej części swobodnej autor poświęca rozdział czwarty i ostatni części ogólnej dzieła.

IV.

Rolę Kościoła i duchowieństwa w rozwoju problemu Kolańczyk uznaje za pierwszorzędną. Kościół bowiem był od samego początku zainteresowany w rozwoju zagadnienia rozporządzania własnością ziemską w kierunku skrajnie indywidualistycznym i liberalnym nie tylko dlatego, że te zasady głosiło jego ustawodawstwo, w sferze prywatno-prawnej duchem rzymskim przesiąknięte, lecz również dlatego, że te same zasady wychodziły mu na korzyść, gdyż stwarzały podstawy prawne do nabywania przezeń dóbr. A Kościół, będący w dobie początkowej na utrzymaniu panującego, począł od przełomu stuleci XI i XII nabywać własne dobra ziemskie, jako podstawę materialną dla swej rozbudowującej się i potężniejącej organizacji. Ekspansja majątkowa Kościoła rozwijała się najpierw kosztem majątku panującego, później ciężar ten zaczął się jednak coraz wyraźniej przesuwac na barki społeczeństwa świeckiego, czyli warstwy możnych, jako fundatorów. Na tym polu odznaczyli się zapobiegliwość i siłą atrakcyjną cystersi, ściśle z ziemią i gospodarstwem związani, zakon najpopularniejszy i najbardziej ekspansywny od schyłku XII w. W XIII w. ekspansja Kościoła na tym polu dochodzi w Polsce do szczytu, że aż budzi

czujność społeczeństwa i skłania je do zajęcia obronnego stanowiska. Ale nie przychodzi to łatwo. Wiek XIII bowiem — to najbardziej charakterystyczne dla polskiego średniowiecza stulecie — to wiek ogromnego wzrostu Kościoła i jego roli w państwie i społeczeństwie — to wiek, który zaczyna Henryk Kietlicz, a kończy Jakub Świnka — wiek synodów, legatów papieskich i rozkwitu prawa partykularnego, wiek dewocji społeczeństwa i ascezy dusz wybranych, wiek Wstydlivych i Pobożnych na tronie, wiek świętych polskich. Duch czasu pobudzał do ofiarności na rzecz Kościoła, duchowieństwo umiało zachęcać wiernych — to wskazując im cel idealny, to osobistą korzyść zapewnioną na tamtym świecie, Kościół bowiem umiał łączyć harmonijnie względy ideowe z interesami materialnymi.

Ale Kościół był instytucją prawną, miał prawo i dbał o prawo. Z tym prawem, bardzo już wyrobionym i wiekami ustalonym, przyszedł do Polski i w myśl tego prawa przyniósł wyobrażenia nowe o własności, oparte na pojęciu rzymskim, indywidualistycznym, tak bliskim społecznym ideałom chrześcijaństwa. W praktyce mogło to służyć wybornie dla realizacji nabywania dóbr przez Kościół i jego instytucje. Ale Kościół, choć powszechny, musiał się liczyć z lokalnymi warunkami i niejednokrotnie dostosowywać się do nich. Na tym polu okazał podziwu godną umiejętność. Środkiem było prawo partykularne, w wysokim stopniu elastyczne i przez miejscowe duchowieństwo dla miejscowych potrzeb tworzone. Dzięki niemu można było naginać wymogi prawa powszechnego do współczesnej rzeczywistości. A interpretacja i praktyka dokonywały reszty.

Nie na arsenale prawniczych środków kończyła się jednak działalność Kościoła. Prawo odgrywało rolę jakby instrukcji wewnętrznej dla duchowieństwa. Niekiedy zresztą jego rygor szedł za daleko i pozostawał bez skutku, jak w statutach Trąby z r. 1420. Daleko ważniejsze było faktyczne oddziaływanie osób i instytucji kościelnych. Zwłaszcza w społeczeństwie prymitywnym, nie-nawykłym do abstrakcji i teorii, przenoszącym nad nie życie i poszczególne, indywidualne wypadki. Mimo to Kościół nie zagubił swych celów ani zwyczajnych sposobów ich realizowania. Na straży stała centralistyczna i w swym rodzaju doskonała organizacja jego oparta o powagę międzynarodowego czynnika, jakim była Stolica Apostolska. A przyświecał zawsze ten sam ideał religijny, który na jednostkę nakładał moralny obowiązek dokonywania przysporzeń na rzecz Kościoła i na wskazane przez Kościół cele. Do tego zaś potrzebna była swoboda rozporządzania majątkiem i o nią to Kościół walczył w Polsce i gdzie indziej. Augustiańska teoria usynowienia Chrystusa celem zapewnienia Mu, a przez niego Kościołowi, obok synów części ze spadku jest wysoce znamienym, a znanym też w Polsce postulatem. Oficjalne stanowisko czynników kościelnych streścić można w ten sposób, że na podstawie postulatu swobodnego rozporządzania majątkiem pobudza się wiernych do ofiarności na cele kościelne poprzez oddziaływanie moralne, a pomaga się w dopełnieniu i egzekucji już dokonanych przysporzeń na drodze prawa.

Polityka majątkowa Kościoła w Polsce nie odbiega w zasadniczych swoich rysach od analogicznej polityki, prowadzonej przez Kościół na zachodzie

Europy. Cele są te same i środki działania podobne — od formalnych przepisów ustawowych aż do niewybrednych metod moralnego nacisku w życiu codziennym. Jeżeli jednak porównać nasilenie tej polityki w Polsce na tle szerszych wzorów zachodnio-europejskich, to — jak zauważył autor — stwierdzić można u nas pewien umiar w działaniu. Obserwacja ta odnosi się zwłaszcza do partykularnego prawa Kościoła polskiego z okresu przed kodyfikacją Mikołaja Trąby. Prawo to w sposób ogólny i jakby nieśmiały stara się realizować odnośne wskazania prawa powszechnego. Te łagodniejsze formy ekspansji majątkowej Kościoła polskiego mają swą przyczynę w pewnej inercji duchowieństwa, zwłaszcza świeckiego, związanego bądź co bądź silnie z żywiołem miejscowym, w odległości Polski od głównych centrów kościelnych, ale najwięcej w oporze czynników miejscowych, które związane w organizacje rodowe mogły przeciwstawić się Kościołowi.

V.

Niemniejszą siłą reprezentuje i drugi czynnik działający — mianowicie społeczeństwo świeckie. Na tę siłę składa się najpierw rozległa podstawa ekonomiczna, którą jest własność ziemska, uzyskana jeszcze w epoce przeddziejowej, i rozwijana dalej w dobie już historycznej, najwięcej kosztem własności panującego. O sile tej stanowi dalej prastara organizacja rodowa, utrzymująca trwałe związki rodzin i rodów poprzez ich związek z niegdyś wspólną ziemią, a znajdująca swój wyraz w różnych uprawnieniach rodu do tej ziemi rodowej, jak np. prawo bliższości. Z tych podstaw gospodarczo-organizacyjnych wyrasta polityczne stanowisko społeczeństwa, szczególnie doniosłe w badanej epoce, kiedy władza książęca podupadła wskutek podziałów i walk wewnętrznych. Elementem siły jest również oparcie o tradycję, o to, co dawne i narodowe, ów konserwatyzm, który tym jest mocniejszy, im niższy jest poziom umysłowy i obyczajowy i im przez to mniej zrozumiałe są dla tego pierwotnego jeszcze społeczeństwa wszelkie nowe idee i abstrakcyjne normy prawne. Ale obrona interesów stanowych społeczeństwa wypływa nie tyle ze świadomości, ile z intuicyjnego odczucia grożącego niebezpieczeństwa. Organizacja rodowa ani porównać się nie da z kościelną, nie posiada przecież swych organów, nie ma hierarchii, nie jest scentralizowana. Brak form organizacyjnych zastąpić musi oparcie o drugi czynnik świecki, o panującego, który zresztą nie zawsze jest zainteresowany w bezwzględnym popieraniu stanowiska społeczeństwa w jego rozgrywkach z potężnym i zbrojnym w groźne środki Kościołem.

Stanowisko społeczeństwa wobec polityki nabywczej Kościoła i wobec samej zasady swobodnego rozporządzania majątkiem nie jest jednolite, lecz waha się między dwoma skrajnymi biegunami. Z jednej strony wynika z rozwoju cywilizacji i z przenikania moralnego wpływu chrześcijaństwa emancypacja osobowości ludzkiej prze do wolności obrotu — z drugiej strony hamuje ją siła starego prawa rodowego, które strzeże interesów zbiorowych całego rodu, a w pierwszym rzędzie wspólnej niegdyś własności ziemskiej, jako gospodarczej podstawy jego świetności i znaczenia. Dobra ziemskie bowiem były związane nie tyle z jednostką, która chętnie przyjmowała indywidualistyczną koncepcję Kościoła, ile

z daleko trudniejszą do opanowania i przetworzenia grupą społeczną — rodziną czy rodem. Prawa rodu zaś to nie jakiś przeżytek, co traci na sile i wolna zanika, ale element bujny i żywotny, coraz to odradzający się w czasie, wybuchający nową energią i nigdy właściwie nie zanikający. Jednostka poddaje się wpływom Kościoła najłatwiej w obliczu zbliżającej się śmierci — grupa społeczna żyje nadal w swych odgałęzieniach przez pokolenia, stąd źródło konfliktu między jednostką a grupą — i innego konfliktu: między grupą a Kościołem.

Ale ze swej strony Kościół nie tylko brał i zdobywał ze szkodą społecznego czynnika, lecz także dawał i nęcił — i to nie samą wzniosłością dóbr idealnych. Popieranie Kościoła prócz zaziemskich korzyści rokowało też i doczesne, wcale nie małe, a dla prymitywnych umysłów bardziej uchwytne. Takimi korzyściami były: własność fundatorów na ufundowanych kościołach i klasztorach, udział właściciela w ich dochodach, płynących z ofiarności wiernych, *ius spolii*, czyli prawo do zabierania spadku po duchownych, daniny regularnie przez fundacje swym panom uiszczane — nie mówiąc już o splendorze, który przy znakomitszych fundacjach spływał na fundatora i jego ród, przy czym niektóre, zwłaszcza klasztorne fundacje nabierały wprost rodowego charakteru, jak np. klasztor w Łeknie, w stosunku do rodu Pałuków. Stąd kompleks spraw i interesów bynajmniej nie prosty i nie w jednym zdążający kierunku. Rezultatem wszakże był postępujący coraz bardziej proces rozluźniania związku nieruchomości z rodem czy rodziną — proces konieczny, ale wsparty też potężną ofensywą ideową Kościoła, który był tego ruchu nie tylko inicjatorem, lecz także głównym beneficjariuszem.

Wielkie tedy zadanie otwierało się przed Kościołem, kiedy w XII wieku po ustaleniu swej organizacji przystępował do wykonania swojego programu majątkowego, ale i wielkie miał na swej drodze trudności. Z nich dwie były najważniejsze, co powściągały to przesuwanie się stopniowe dóbr z rąk prywatnych na poszczególne instytucje kościelne: element rodowy oraz silne stanowisko polityczne w państwie tej warstwy, która w rodach była związana. Ostateczny sukces Kościoła wyniknął z jego olbrzymiej ideowej i kulturalnej przewagi, z jego polityki konsekwentnej, ale ostrożnej i dalekowzrocznej, z odpowiedniego wychowania i przeobrażenia umysłowości społeczeństwa, wśród którego zwłaszcza w XIII w. czynniki kościelne umiały rozbudzić ducha ofiarności na cele kościelne. Niemniej jednak sukces ten nie przyszedł łatwo.

Pierwsze nabytki ziemi przez Kościół, datujące z wieku XI i XII, nie wywołują jeszcze nigdzie sprzeciwu, może dla niewielkiej wtedy wartości ziemi, a może z powodu solidarności, wiążącej podówczas możnych świeckich z możnymi duchownymi, zwłaszcza wobec monarchii. Ale w XIII w. sytuacja ulega zmianie. Kler tworzy już odrębny i potężny stan, wyodrębniony prawem i interesem od reszty społeczeństwa, wzrost majątku kościelnego idzie w tempie gwałtownym, mnożą się konflikty, niepokój i opór stają się uzasadnionymi. Dowodem tego oporu są liczne w tej dobie procesy pomiędzy rycerstwem a instytucjami kościelnymi. W procesach tych, ciągnących się dziesiątkami lat, góruje zwyczajnie duchowieństwo umiejętnością i wyrobieniem prawniczym, siłą finansową, wpływem na czynnik miarodajny — księcia, więc druga strona nie mogąc podołać

prawem, działa i lewem; stąd częste ku końcowi XIII stulecia rabunki dóbr kościelnych. Procesy mają dla nauki tę dobrą stronę, że w ich toku ujawniają się zasady prawne, zwłaszcza cenne zasady z prawa zwyczajowego nigdzie nie sformułowanego jasno i stosowanego nieregularnie, jak właśnie aktualna w takich wypadkach zasada niepozbywalności ojcowizny przez jednostkę. W kręgu swych mniejszych interesów broni się również mieszczaństwo i ludność wieśniacza.

Na przestrzeni XIV w. rzecz cała przybiera charakter ostrego konfliktu Kościoła ze społeczeństwem świeckim — konfliktu społecznego o podkładzie majątkowym, przy czym ze strony Kościoła przejawiała się tendencja do łagodzenia sporów w drodze kompromisu. Konflikt jednak nabierał zasadniczego i nieobojętnego dla państwa znaczenia, toteż jego uregulowanie bez udziału władzy państwowej przekraczało już możliwości stron obu.

Ten rozdział drugi, poświęcony stanowisku społeczeństwa, w szczególności jego warstwy rycerskiej, jest z całego dzieła najważniejszy i najcenniejsze, najbardziej nowe przynosi dla nauki wyniki. Jest on też najbardziej polskim w tym znaczeniu, że dotyczy prawa polskiego i tegoż prawa przejawów i odkrywa w ten sposób ważną, nie zapisaną dotąd kartę naszej przeszłości.

VI.

W poprzednich wywodach autor stwierdził, że realizacja kościelnego programu majątkowego kosztem majątku społecznego napotykała na opór rodów rycerskich, świadomych doniosłości posiadanej ziemi — co rosła w wartość w miarę wzrostu ludności i ulepszania gospodarstwa — tej ziemi, która również rozstrzygała o ich znaczeniu w państwie. Władze kościelne, zasobne w doświadczenia poczynione poprzednio na Zachodzie, zdawały sobie doskonale sprawę z tego, że w tym ścieraniu się interesów, więcej świeckiej niż duchownej natury, nie wystarczą same tylko kościelne środki działania. Wszak nawet tak silne środki kościelnej egzekutywy, jak interdykt i klątwa, okazywały się niekiedy bezskuteczne. Stąd też nie zaniehbując własnych środków, Kościół starał się od samego początku pozyskać wpływ na ten czynnik w państwie, który jedynie mógł go poprzeć skutecznie w nieuniknionych konfliktach ze społeczeństwem rodowym. Tym czynnikiem był panujący.

Stanowisko panującego jednak — zwłaszcza jeśli idzie o słabych książąt dzielnicowych XIII w., jakkolwiek nadrzędne, nie było całkiem swobodne ani całkiem decydujące. Książęta oscylować muszą pomiędzy taką potęgą, jaką stanowił szczególnie w XIII w. Kościół, a równie wielką siłą, którą przedstawiało możnowładztwo. Stąd też stanowisko panującego w tej sprawie wykazuje tę samą dwoistość, co stanowisko społeczeństwa, i waha się pomiędzy skrajnym poparciem wolności obrotu ziemią w interesie Kościoła a równie skrajnym ograniczaniem i tamowaniem tej wolności w interesie społeczeństwa świeckiego i w imię własnego interesu monarchy.

Przy tym autor zauważył najtrafniej, że sprawa ta nie była odosobniona, lecz rozgrywała się zawsze na tle danego stosunku Kościoła do państwa i na tle ogólnych społeczno-politycznych stosunków. A stosunki te bywały zmienne w czasie

i poddane lokalnym warunkom. Zmusza to autora do rozszerzenia zakresu badań, co czyni nader sumiennie i z prawdziwą dla swego dzieła oraz dla nauki korzyścią. Osadzone na mocnej podstawie i postawione na właściwym tle zagadnienia, wydawałoby się abstrakcyjne, nabierają życia, a ich przedstawienie siły przekonywającej. Ocenic jednak trzeba cały trud autora, włożony w opanowanie, częstokroć źródłowe, tyłu na raz gałęzi wiedzy historycznej i historyczno-prawnej, opanowanie zawsze doskonałe.

Znaną i nieraz w nauce omawianą rzeczą jest przewaga państwa nad Kościołem w Polsce XI i XII w. Zależność Kościoła od monarchy była nie tylko polityczna, lecz także ekonomiczna, bo do połowy XII w. potrzeby materialne rzymskokatolickiego kleru i szczytów irredyktów kościelnych zaspokajał sam monarcha, mający zresztą do dyspozycji wszelkie środki państwowe. Ale nawet w tej dobie absolutyzm pierwszych Piastów nie był tak nieograniczony, by czynnik społeczny pozbawiony był głosu i wpływu. U schyłku okresu władzy książęcej sytuacja uległa radykalnej zmianie. Nie Kościół potrzebuje poparcia księcia, ale odwrotnie książęta zabiegają o poparcie ponaddzielnicowej i rosnącej potęgi Kościoła. Wiek XIII to szczytowa epoka w rozwoju średniowiecznego Kościoła w Polsce. To nie tylko emancypacja, lecz śmiałe sięgnięcie po przewagę nad państwem i społeczeństwem. Wyrazem tego stanowiska Kościoła staje się najbujniejsze własnie w XIII w. ustawodawstwo synodalne, którego głównym przedmiotem były stosunki Kościoła z władzą książęcą i stanem rycerskim, a zwłaszcza sprawy majątkowe. I znowu wielka zmiana nastaje po zjednoczeniu państwa za Łokietka, szczególnie zaś za Kazimierza Wielkiego. Królowi temu udało się przez mądrą i oględną politykę ograniczyć zbyt wybujałe stanowisko Kościoła w wielu dziedzinach, nie wyłączając majątkowej. Typem działania w spornych sprawach stały się podówczas dwustronne układy kościelno-państwowe.

Wiek XIII jest epoką zmian gospodarczych o przełomowym wprost charakterze. Dość wskazać na gospodarczą działalność cystersów i na kolonizację na prawie niemieckim. Chodzi o ziemię i jej zagospodarowanie, ale chodzi też o prawne formy władania ziemią i jej przekazywania. I oto zostaje wysunięte jako najbardziej aktualne pytanie, czy jednostce służy prawo rozporządzania ziemią na rzecz osób obcych, a więc Kościoła, pozostających poza obrębem wspólnoty gospodarczej i poza kręgiem własności, związanej prawem bliźszości. A z pytaniem tym łączy się ściśle drugie: komu przysługuje jurysdykcja w sprawach o ziemię. Te tak zwane *causae hereditariae* były ważnym przedmiotem sporu między Kościołem a państwem i społeczeństwem. Kościół usiłował poddać je swemu sądownictwu na mocy *privilegium fori* — tudzież dlatego, że znaczną ich część stanowiły spory o zapisy z testamentów, a prawo kanoniczne, tak powszechne jak partykularne, oddawało Kościołowi opiekę nad testamentami wierznych. Tu jednak napotkał Kościół na stanowczy opór ze strony książąt, popieranych na całej linii przez rycerstwo. Nie pomogły nalegania papieskie ani statuty synodalne, a w poszczególnych wypadkach klątwy i interdykty rzucane nawet na książąt. Ani władza państwowa, ani społeczeństwo — pomimo całej przychylności okazywanej Kościołowi w innych dziedzinach — nie mogły dopuścić do tego, ażeby obrót ziemią, będącą podstawą całej ówczesnej gospodarki,

społecznego porządku i obrony kraju, wyszedł spod ich kontroli. Tak tedy próba rozszerzenia wolności Kościoła w tym kierunku skończyła się stanowczym niepowodzeniem, a kontrola nad obrotem ziemią, jurysdykcja niesporna i sądownictwo w sprawach o ziemię pozostały w ręku władz państwowych (księcia) lub później samorządowo-szlacheckich, nawet wtedy, gdy pozwanym był duchowny lub instytucja kościelna.

Droga Kościoła do realizowania swobody rozporządzania własnością nieruchomością prowadziła nie ponad panującym lub obok niego, lecz poprzez jego osobę.

Panujący książęta z dynastii piastowskiej są dla Kościoła niezwykle hojni, i to nie tylko w obdarowywaniu go licznymi dobrami, lecz także w udzielaniu mu przywilejów. Równolegle do nadań na rzecz Kościoła szły też nadania księcia na rzecz rycerstwa. W ten sposób w procesie rozluźniania kolektywnych form prastawiańskiej własności na korzyść swobody jednostki drogą toruje dynastia panująca, i to najpierw własnym przykładem. A to tym bardziej że i panujący byli w rozporządzaniu swym majątkiem dynastycznym, patrymonialno-państwowym ograniczeni prawami współrodowców, podobnie jak członkowie rodów rycerskich, a z tą tylko różnicą, że interes publiczny, ogólnopaństwowy mógł u dynastii spowodować większą swobodę i większe rozluźnienie prastarych praw rodu. Ten moment umiał wyzyskać Kościół i pobudzić hojność książąt dla siebie. Dlatego też polityka nabywcza Kościoła święci w oparciu o życzliwość książęcą największe triumfy. Typem działania panujących pozostają przywileje, bądź będące indywidualnym potwierdzeniem stanu posiadania lub przyzwoleniem na konkretne nabytki, bądź ogólnej treści, zawierające zobowiązanie do uznania swobody w nabywaniu dóbr — te drugie jednak mają mniejsze znaczenie i mniejszą wartość praktyczną. Sukces Kościoła nie polegał więc na zasadniczych i prawnych osiągnięciach, lecz raczej na indywidualnych i faktycznych.

Ale równocześnie z tym głęboko w wiek XIII sięgają przeciwne tendencje panujących do ograniczenia przysporzeń na rzecz Kościoła. Regulację tego ciągłego przypływu dóbr do martwej ręki wykonują książęta przy pomocy swej wyłącznej w tych sprawach jurysdykcji. Ze zjednoczeniem państwa i oparciem służby wojskowej o ziemię tendencja do ścieśnienia zdolności nabywczej Kościoła wybija się na plan pierwszy. Za panowania ostatniego Piasta tendencje te zwyciężają stanowczo nad poprzednią tolerancją dla ekspansji majątkowej Kościoła. Do uznania ze strony monarchy dochodzi za to ogólna swoboda rozporządzania ziemią typu rzymskiego, co królowi i państwu było bardzo na rękę w nowej strukturze, jaką świadomie usiłowano wtedy w Polsce zaprowadzić.

Polityka majątkowa panujących wobec Kościoła jest czułym i bardzo dokładnym wskaźnikiem całokształtu wzajemnych stosunków Kościoła i państwa.

VII.

Tam gdzie działają siły potężne a w przeciwnym idące kierunku, gdzie zwłaszcza siły te są nie tylko między sobą rozbieżne, lecz także same w sobie niejednolite, bo pełne sprzeczności i zmienności, tam trudno jest o rozwiązanie, które by szło w kierunku interesów jednego tylko z czynników działających,

a jeśli nawet taki czynnik zwyciężał, to nie mógł na dłużej utrzymać owoców swego zwycięstwa. Nie mógł więc znaleźć uznania i utrzymać się w życiu ani jednostronny postulat zupełnej swobody rozporządzania, reprezentowany przez skrajne czynniki kościelne, ani też przeciwna koncepcja: zupełnego skrepowania tej swobody w interesie rodziny i rodu, której rzecznikiem były najbardziej konserwatywne elementy społeczne. Nie mógł wreszcie panujący dojść do osiągnięcia swego całkowitego monarszego interesu przez uzależnienie każdej zmiany własności od swego uznania i przyzwolenia.

Konieczność szukania rozsądnego kompromisu pomiędzy tendencjami wszystkich czynników działających, skazanych przecież na codzienne współżycie i współdziałanie, nasuwała się tedy w sposób oczywisty jako jedyne wyjście z trudności. Droga ku temu znana była i utarta w krajach dalej posuniętych w rozwoju. Konflikt pomiędzy grupą pilnie strzegącą swej podstawy a pędem jednostki do swobody jest odwieczny i odwiecznie też pobudzał ludzkość do coraz to nowych prób kompromisowego rozwiązania. Stąd się rodzi zagadnienie części swobodnej, będącej w wolnym rozporządzeniu jednostki. Zagadnienie to opracował autor w czwartym rozdziale dzieła.

Ta część swobodna mogła się przedstawiać rozmaicie, a zasadniczo w dwu różnych postaciach. Jedną stanowiła formuła liczbowa, mechaniczna. opiewająca w ułamkowej, np. $\frac{1}{3}$ lub $\frac{1}{10}$ — części majątku. Tą częścią mógł właściciel rozporządzać do woli. Drugą było rozróżnienie jakościowe. Tu odróżniano nieruchomości od ruchomości i tym ostatnim przyznawano tę właściwość, że mogły podlegać alienacji bez utrudnień. Odróżniano także dobra odziedziczone, rodowe — od dóbr nadanych, czy zwłaszcza nabytych. Bywały też klauzule alienacyjne, zastrzegające dla właściciela swobodę dysponowania dobrami w nie zaopatrzonymi. Oczywiście Kościół popierał te formy, albowiem był w średniowieczu głównym beneficjariuszem części swobodnej, i to w sposób łatwy, bez walk i sporów.

Trzeba przyjąć, że i w Polsce Kościół usiłował wprowadzić instytucję części swobodnej, która rokowała mu takie korzyści majątkowe. Źródła jednak są w tej kwestii skąpe. Co do istnienia części ilościowej, typowej na Zachodzie, są i u nas jej ślady, ale późne, bo dopiero z końca XIV i z XV w. Autor poszukuje więc tej części gdzie indziej, a czyni to bardzo wnikliwie, operując materiałem niepewnym i wiodącym na manowce. Przede wszystkim dopatruje się niejakięj genezy części swobodnej w dobrach ruchomych, z których mogły korzystać kobiety, a także Kościół. Dobra nieruchome, a szczególnie dziedziczne były w zasadzie niepozbywalne, jednak nie bez wyjątków. Alienacji można było przecież dokonać za zgodą członków rodu, środek prawnie najpewniejszy. Dobra nadane przez księcia wchodziły z reguły w skład ojcowizny i dzieliły jej losy, chyba że donator dodał osobną klauzulę alienacyjną, pozwalającą na ich pozbycie, co się nie często zdarzało. Natomiast dobra nabyte drogą kupna — fakt w Polsce częstszy, niżby się mogło wydawać — przechodziły z biegiem czasu coraz bardziej do dyspozycji właściciela. W majątku jednostki własność nabyta stanowiła obok ruchomości najważniejszy, chociaż równie nieokreślony surogat części swobodnej. Do zwycięstwa tej nowej zasady przyczynił się walnie

Kościół. I tu również odegrała rolę wspomniana klauzula alienacyjna, dodawana przy okazji nabywania dóbr. Ona to jest czynnikiem, który wsparł postępującą zwolna indywidualizację własności ziemskiej. Ale i ta klauzula niewiele pomagała, jeżeli właściciel miał synów, i dopiero w ich braku okazywała w pełni swą skuteczność. Łatwiejszą bywała alienacja tytułem odpłatnym niż darmnym. I tu znów korzystał Kościół udzielając w zamian dóbr natury duchownej, których był szafarzem.

W ten sposób broniąc się przez długi czas przed przyjęciem części swobodnej typu zachodnio-europejskiego prawo polskie oddawało przecież do dyspozycji jednostki liczne i ważne elementy majątkowe, ruchome i nieruchome, wydzielone z całości majątku w drodze rozróżnień jakościowych, nie sprzeciwiających się duchowi wspólnoty majątkowej rodu a zgodnych z niewysokim stanem miejscowej kultury umysłowej i prawniczej.

W tym nieco prymitywnym stanie rzeczy Kościół umiał dać sobie radę, a to nie przez uparte wprowadzanie nowości w postaci części swobodnej w jej ścisłym rozumieniu, lecz przez dostosowanie się do obyczajów prawnych narodu. Kościół bogacił się głównie przez ściąganie przysporzeń z ruchomości, co mógł czynić bez przeszkody i co umożliwiało mu regularny skup ziemi, a w obrębie nieruchomości przez akcentowanie rozróżnienia dóbr rodowych i nabytych i popierania swobody rozporządzania tymi ostatnimi. Zręczna to była polityka nabywcza, oparta na faktycznych zwycięstwach.

VIII.

O wiele mniej wyraźnie aniżeli same czynniki działające i dynamika ich konfliktów politycznych i ekonomicznych rysują się w świetle źródeł prawne skutki oddziaływania tych sił. Obraz rzeczywistości prawnej nie przedstawia się z pożądaną jasnością. Nie widać tego, co obowiązywało definitywnie. Dla dogmatyka prawa pewne rozczarowanie, dla historyka raczej moment nęcający, dla nauki jednak zdobycz prawdziwa, chociaż w pewnej mierze negatywna. Stąd wskazana powściągliwość w formułowaniu wniosków, obowiązek każdorazowego rozróżniania zasady od faktu, rezygnacja z ujęcia zjawisk życiowych w karby stałych norm prawnych. Ta nieokreśloność wskazująca na niski poziom kultury prawniczej jest dla Polski znamienna. Występuje to zwłaszcza w zakresie odpowiadającym dzisiejszemu prawu prywatnemu, a występuje tak oczywiście, że może być uznane za trwały naukowy wynik w historii prawa. Z tego wszystkiego autor doskonale zdawał sobie sprawę, czemu dał wyraz w słowie końcowym.

Przedmiotem dzieła nie jest rekonstrukcja jakiegoś prawa, obowiązującego w kwestii rozporządzania własnością ziemską w pierwotnej Polsce, lecz przedstawienie walki sprzecznych zasad prawnych, reprezentowanych przez działające siły: Kościół, społeczeństwo i panującego. Góruje to jedna, to druga, ale do bezwzględnego zwycięstwa jednej z nich nie dochodzi wcale. W wynikach działania tych sił można spostrzec jednak pewną prawidłowość. Punktem wyjścia jest bezwarunkowo wspólna własność ziemi i pochłonięcie jednostki przez organizację rodową. Okres do końca XIII w. jest epoką największych sukcesów

postulatu własności indywidualnej w interpretacji czynników kościelnych. Forsuje go duchowieństwo nauką i przykładem, popiera najczęściej panujący, idą za nim jednostki świeckie, toleruje go nawet społeczeństwo rodowe. Około połowy XIII w. odnosi się ze źródeł wrażenie, jakoby ten postulat zwyciężył i stał się nową zasadą polskiego prawa ziemskiego. Jest to jednak tylko złudzenie. Postulat swobody rozporządzania na rzecz Kościoła, choć przybliżał się nieraz do realizacji, nie stał się nigdy ogólnie uznaną i obowiązującą normą polskiego prawa ziemskiego. Mimo usilnych starań Kościół nie zdołał przeprowadzić i utrwalić na przyszłość w przepisie prawnym swego punktu widzenia na tę sprawę i w ten sposób zabezpieczyć swych interesów. Kościelny postulat swobody rozporządzania był więc jedynie na drodze do realizacji, co jednak wcale nie umniejsza jego doniosłej roli historycznej. A w obrębie samego społeczeństwa świeckiego, niezależnie od stanowiska Kościoła i jego celów, sprawa przedstawia się jeszcze mniej wyraziście. Niemniej jednak postulat ten istniał i znajdował poparcie w ogólnym rozwoju stosunków. W XIV w. dochodzi on nawet do większego znaczenia przy życzliwej pomocy Kazimierza Wielkiego, ale nie jest to już postulat dawny, typu kościelnego, lecz nowy, typu rzymskiego, bardziej ogólny i wartościowy gospodarczo, stąd wielce dogodny dla celów świeżo skonsolidowanego państwa.

Po przeciwnej stronie, czyli w dziedzinie pozostałości i reminiscencji wspólnoty dóbr mamy jaśniejszy i bardziej wyraźny obraz. Rzuca się w oczy ta szacowna w swoim archaizmie, prawdziwa zasada prawa polskiego i praw słowiańskich w ogóle, drzemie przez cały czas trwania badanej epoki w poczuciu i przeświadczeniu prawnym społeczeństwa i choć tylokrotnie deptana i łamana wciąż odżywa z coraz to nową siłą. Wraz z renesansem rodów, z upadkiem cystersów i z pojawieniem się przeciwnych Kościołowi tendencji z Zachodu — triumfuje ona faktycznie już na przełomie XIII i XIV w., a na początku XVI w. zwycięża nawet formalnie w aktach ustawodawczych o zakazie sporządzania testamentów z nieruchomości na rzecz Kościoła.

Wraz z niespożytą żywotnością zasady niepozbywalności dóbr ziemskich dominują nad całym prawem polskim z epoki średniowiecznej rodzime elementy własności kolektywnej nad indywidualistycznymi wpływami czynników obcych: Kościoła i prawa rzymskiego. Prawo polskiego średniowiecza należy do tych systemów, w których dawna wspólnota rzuca głęboki refleks na całe prawo majątkowe, a w życiu społecznym góruje nad znaczeniem jednostki. Dlatego w zupełności uzasadnionym jest tytuł główny dzieła Kolańczyka: *Studia nad relikami wspólnej własności ziemi w najdawniejszej Polsce*.

IX.

Oto krótki i bardzo niezupełny przegląd olbrzymiej i różnolitej treści tego nad wyraz cennego dzieła. Wzbogaca ono rzetelnie naukę polską, a wraz z nią i powszechną w zakresie historii dawnego prawa prywatnego — nie przez to wprowadzając, by przynosiło jakieś rewelacyjne czy rewolucyjne nowości, ale przez niepospolicie sumienne i metodyczne zbadanie kwestii, traktowanych dotąd

pobieżnie, niezupełnie i raczej przypadkowo. Wnika nie tylko w głąb zagadnienia, ale idzie wszczegółnie i roztacza dalekie perspektywy, ukazując horyzonty jakże wielu spraw, działań i idei z dziedziny prawa i socjologii, historii politycznej, społecznej i gospodarczej z dziejów kultury wreszcie. Wykazuje znajomość wielu gałęzi wiedzy, a spośród prawniczych umiejętności znajomość prawa polskiego, rzymskiego, kanonicznego, praw germańskich i niektórych słowiańskich. Nie poprzestaje nigdy na zebraniu faktów i doraźnym powiązaniu ich i oświeceniu. Bo autor wie, że zbiór faktów nie jest jeszcze nauką. Ten jest prawdziwie uczonym, kto ponad fakty potrafi wznieść się do ich syntezy. Nie wystarcza zaś na to samo poznanie, choćby najdokładniejsze. Trzeba jeszcze przynieść z sobą myśl twórczą. Taka myśl unosi się zawsze nad dziełem Kolańczyka.

To dzieło naprawdę naukowe w swej treści odznacza się również rzadkimi zaletami formy. Pisane jest językiem nie tylko poprawnym, ale żywym i pięknym, co tak trudne jest do osiągnięcia w pracach historyczno-prawnych, zwłaszcza z zakresu prawa prywatnego. Autor dba świadomie o styl i sposób przedstawienia rzeczy — prosty i jasny. Ten trud oplaca się sowicie, bo lektura dzieła staje się ciekawa nawet laikom i daje nie tylko korzyść, lecz i przyjemność istotną.

DZIEJE STYKU SŁOWIAŃSKO-GERMAŃSKIEGO W W. I—XII.

Instytut Zachodni przystępuje do prac przygotowawczych nad dziełem zbiorowym pt. „Dzieje styku słowiańsko-germańskiego” od I w. po Chr. do schyłku XII w. Dzieło to ma mieć w zamierzeniu charakter encyklopedyczny i erudycyjny, tzn. że w pierwszym rzędzie będzie chodziło o elementy informacji naukowej i bibliografii. Zamierzeniem jest, ażeby w dziele tym zresumować wyniki dotychczasowych badań szczegółowych i poprzeć je zestawieniem najważniejszej literatury przedmiotu. Zgodnie z zamierzonym charakterem wydawnictwa chodzić będzie o podawanie wszelkich istotnych tekstów źródłowych, przy czym najistotniejsze winny być w przypisach cytowane w tekście oryginalnym.

Ramy czasowe wydawnictwa mają objąć czas od wylądowania Gotów i Gepidów na południowych wybrzeżach Bałtyku, co jest pierwszym historycznym śladem bytności Germanów na ziemiach słowiańskich, do schyłku pierwszego cesarstwa, tj. do momentu, kiedy znika z widowni dziejowej Słowiańszczyzna połabska i stosunki polsko-niemieckie zaczynają się układać w sposób bezpośredni pomiędzy tymi dwoma partnerami.

Plan zamierzonego wydawnictwa przedstawia się następująco:

Wstęp

1. Inwazja Gotów i Gepidów
2. Zagadnienie Gotów na Krymie
3. Związki językowe słowiańsko-germańskie
4. Zagadnienie pobytu drużyn germańskich na ziemiach polskich w czasie do VI w. w świetle imiennictwa
5. Zagadnienie pobytu drużyn germańskich na ziemiach polskich w czasie do VI w. w świetle toponomastyki
6. Zagadnienie styku germańsko-słowiańskiego w czasie do VI w. w świetle materiału archeologicznego
7. Zagadnienia antropologiczne
8. Zagadnienia etnograficzne
9. Styk niemiecko-czeski w świetle danych archeologicznych
10. Pierwsze państwa słowiańskie, państwo wielkomorawskie, zagadnienie Panonii i Karyntii
11. Piśmiennictwo starsłowiańskie na terenie Wielkich Moraw i Panonii w dobie cyrylo-metodiańskiej
12. Formowanie się i pierwsze wieki państwa czeskiego
13. Granice styku etnicznego słowiańsko-germańskiego
14. Źródła rocznikarskie dotyczące stosunków słowiańsko-germańskich

15. Źródła kronikarskie dotyczące stosunków słowiańsko-germańskich
16. Formowanie się państw w Słowiańszczyźnie połabskiej
17. Organizacja kościelna na ziemiach słowiańskich w stosunku do Niemiec
18. Zagadnienie normańskie
19. Niemcy, Słowiańszczyzna Zachodnia i Polska
20. Słowiańskie relikty społeczne i prawne na terenie połabskim.

Jak z powyższego przedstawienia wynika, niektóre zagadnienia z natury rzeczy poruszane będą kilkakrotnie. Zadaniem redakcji będzie usunięcie zbędnej powtarzalności, ale nieuchronne będzie poruszanie tych samych zagadnień pod kątem widzenia problemu uwydatnianego w tytule artykułu.

VI.

KATOLICY POLSCY W AKCJI OBRONY POKOJU

W akcji obrony pokoju, która szczytowy wyraz znalazła w zbieraniu podpisów pod Apelem Sztokholmskim, zakończonym uroczystością w dniu 17 czerwca r.b., udział wzięły także masy katolickie, co wynika choćby z tego faktu, że pod Apelem Sztokholmskim złożyło swe podpisy 17.594.000 osób dorosłych i 530 000 młodzieży, że w „trójkach” i komitetach różnych szczebli uczestniczyło 730.021 aktywistów i aktywistek-obrońców pokoju, spośród których ponad 50 procent stanowili bezpartyjni, co uznał prof. Dembowski w przemówieniu na wspomnianej uroczystości za jedną z największych zdobyczy akcji, że wreszcie liczba wypadków odmowy podpisów na terenie całego kraju wyniosła tylko 193.901.

Apel Sztokholmski podpisała również większość duchowieństwa katolickiego, przy czym w komitetach wszystkich szczebli oraz w „trójkach” zbierających podpisy uczestniczyło 993 księży. Ogółem około 70 procent duchowieństwa katolickiego podpisało Apel Sztokholmski do dnia 17 czerwca.

W okresie tym nie zadeklarowane było jeszcze stanowisko Episkopatu Polskiego, ale tu zaznaczyła się ewolucja, która doprowadziła szybko do całkowitej solidarności z Apelem Sztokholmskim i która rozwiała wszelkie wątpliwości co do ostatecznego stanowiska Episkopatu Polskiego w tym względzie.

Z tego punktu widzenia przełomowe było zebranie Towarzystwa Przyjaciół Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, które się odbyło już w dniu 16 czerwca.

Po referacie prof. Łosia obecny na zebraniu ks. biskup Zygmunt Choromański złożył oświadczenie treści następującej:

Oświadczenie Sekretarza Episkopatu Polskiego J. E. Ks. Bpa Zygmunta Choromańskiego w sprawie pokoju

Jedynie wcielenie w życie zasad etycznych jest w stanie stworzyć warunki pokoju. Eliminowanie wojny i budowanie pokoju zależy od zastosowania praw moralnych a przede wszystkim sprawiedliwości i miłości w stosunkach między ludźmi i narodami.

Kościół od zarania swej działalności, szerząc te idee, był współczynnikiem pokojowego regulowania stosunków między narodami.

Episkopat Polski w zrozumieniu posłannictwa Kościoła dał wyraz swej współpracy w tej dziedzinie w p. 9 Porozumienia z Rządem mówiąc: „zgodnie z nauką Kościoła będzie popierał wszelkie wysiłki, zmierzające do utrwalenia pokoju. będzie się przeciwstawiał w zakresie swych możliwości wszelkim dążeniom do wywołania wojny”.

Wbrew obawom widma przyszłej wojny napawa otuchą rozwijająca się na świecie i w Polsce akcja, która ma na celu obronę pokoju i przeciwstawienie się knowaniom wojennym.

Episkopat docenia tę akcję pokojową i popiera zmierzające w tym kierunku wysiłki.

Episkopat to czyni w sposób właściwy Kościołowi.

Dlatego Episkopat i duchowieństwo nie przestaje w pracy swojej duszpasterskiej przenikać społeczeństwo uczuciami braterskiej miłości i pokoju, słusznie wierząc, że zdobycze kultury mogą służyć pokojowi i dobrobytowi, a nie niszczycielskiej wojnie.

Świadomi jesteśmy, że nowa wojna wskutek postępu technicznego i odkrycia energii atomowej przedstawiałaby dla ludzkości i naszego kraju niebezpieczeństwo zupełnej zagłady.

Dlatego świat katolicki powtarza słowa modlitwy jubileuszowej:

„Daj, Panie, pokój za dni naszych —

pokój duszom, pokój rodzinom, pokój ojczyźnie, pokój wśród narodów. Niech tęcza pokoju i pojednania otoczy łukiem swego błęgiego światła ziemię, uświęconą życiem i męką Twego Boskiego Syna”.

Po tej wypowiedzi Sekretarza Episkopatu, która stanowiła pewien krok do wyjaśnienia nieporozumień powstałych wokół zagadnienia stosunku Hierarchii do akcji pokojowej, z której to wypowiedzi wynikało, że Episkopat docenia tę akcję i pragnie ją poprzeć — zasadnicze przemówienie wygłosił redaktor tygodnika „Dziś i Jutro”, Wojciech Kętrzyński, który, jak wiadomo, uczestniczył w Kongresie Pokoju w Sztokholmie i należał do Komitetu Obrońców Pokoju.

Najważniejsze ustępy przemówienia red. Kętrzyńskiego brzmiały jak następuje:

Katolicy polscy wobec akcji sztokholmskiej

„Ruch Obrońców Pokoju — mówi uchwała powzięta w Sztokholmie — musi się oprzeć na najszerszej bazie wszystkich ludzi, pragnących pokojowego współżycia. Musi dążyć do przyjęcia takich form organizacyjnych, które pozwolą w nim uczestniczyć każdemu obywatelowi walczącemu o pokój, bez względu na zachodzące różnice przekonań!

Konsekwentnie, wystosowany na tej samej sesji sztokholmskiej apel do wzięcia udziału w pracach międzynarodowego Ruchu Obrońców Pokoju wzywa do współpracy „wszystkie zbiorowości społeczne, wyznaniowe, kulturalne, wszystkich uczuciowych ludzi jakiegokolwiek by były ich przekonania, co do przyczyn istniejących napięć międzynarodowych a pragnących rzetelnie przywrócenia pokojowego współżycia między narodami”.

By osiągnąć to założenie, by umożliwić współdziałanie najszerszego wachlarza przekonań politycznych i światopoglądowych — Ruch Obrońców Pokoju stawia sobie zadania konkretne, ściśle związane z aktualnymi problemami chwili, które powinny być jednakowo bliskie każdemu człowiekowi. Tak więc w chwili obecnej stoją przed nami dwa zasadnicze zadania: przeciwstawić się kategorycznie sugestiom, z jakiegokolwiek strony by one wychodziły, że broń atomowa może być uważana za doskonały środek walki w nowoczesnej wojnie, oraz zwalczać powstającą w niektórych społeczeństwach psychozę o nieuniknioności wojny, zwalczyć rzeczywistych propagatorów tej psychozy, wychodząc z założenia, że jednym z zasadniczych warunków dla każdego planu wojennych — to wytworzenie w społeczeństwie przeświadczenia, że wojna jest nieunikniona.

Oba te cele uznane są dziś przez obiektywne i wysokie autorytety międzynarodowe jako pierwszorzędne i wspólne dla całej ludzkości.

Dla nas, Polaków, problematyka pokoju jest jeszcze bardziej jednoznaczna. Nie ma dwóch konkurencyjnych idei pokoju, które można by sobie przeciwstawiać. Dla nas, w Polsce, pokój wiąże się ściśle z gwarancją aktualnie nam niezbędnych, a potwierdzonych ideą sprawiedliwości warunków. Dla Polski, po tak ciężkich latach wojny i po ciężkich stratach w tych latach poniesionych

pokój oznacza możność spokojnej pracy nad odbudowaniem naszego życia materialnego, społecznego i kulturalnego. Pokój to oznacza gwarancję, że stan posiadania Narodu polskiego nie zostanie uszczuplony, że Ziemia Zachodnią, w zgodnym przeświadczeniu całego narodu Polsce przynależną, nie będą ani odrywane, ani nawet kwestionowane przez protektorów wczorajszych hitlerowców. Pokój wreszcie — to w kraju atmosfera odprężenia, które, jak to dowodzi zawarte porozumienie między przedstawicielami naszej Hierarchii i Rządu RP, możliwe jest wówczas, gdy żadne zewnętrzne siły, wrogie interesom polskim, nie prowadzą w kraju dywersyjnej działalności, nie rozdmuchują trudności, które własnym wysiłkiem Polaków umiemy dziś rozwiązywać."

W dalszym ciągu przemówienia Wojciech Kętrzyński stwierdził, że tak pojęta obrona pokojowych interesów naszego narodu oznacza w konsekwencji wypowiedzenie się przeciwko imperialistycznej polityce Zachodu. Inną konsekwencją jest uzmysłowienie sobie faktu, że gwarancją szanowania praw Polski do własnego terytorium i do swego programu odbudowy jest międzynarodowa pozycja Związku Radzieckiego. Dlatego uderzenie w interesy naszego potężnego sprzymierzeńca jest sprzeczne z naszymi własnymi interesami.

Podporządkowanie się nasze sprawiedliwym wymogom polskiej racji stanu idzie w parze z zachowaniem sobie wszelkiej możliwości realizowania jej w ramach chrześcijańskiego światopoglądu. Na tym tle tym silniej uwypukla się znaczenie porozumienia zawartego między Kościołem a Państwem w Polsce. Porozumienie wskazuje na to, że

„Jeśli autorytet Kościoła katolickiego nie powinien się angażować w akcje nie dotyczące bezpośrednio Jego misji, to niemniej każdy katolik, czy duchowny, czy świecki, może i powinien zademonstrować swoją solidarność z zasadami polskiej racji stanu mając jednocześnie pełne prawo, tak samo jak uczyniłem to w Sztokholmie, podkreślenia zachodzących różnic światopoglądowych. Nieuczynienie tego stwarza szkodliwy dla interesów Kościoła stan konfliktu między postawą katolika a racją stanu Polski. Jeśli zaś uczynienie tego kroku powoduje w ostateczności konsekwencje polityczne, to sądzę, że nie większe niż te, które powodowały wystąpienie biskupów i duchowieństwa francuskiego w obronie strajkujących robotników."

Na zakończenie zebrani uchwalili rezolucję następującej treści:

Rezolucja katolików w obronie pokoju

Wobec wzmagającej się na całym świecie propagandy wojennej katolicy uważają za konieczne poparcie wysiłków, zmierzających do utrwalenia pokoju i przeciwwstawienia się równocześnie wszelkim dążeniom, zmierzającym do wywołania wojny.

Z nauki Kościoła katolickiego wynika jasno, że wojna jest złem, a natężenie tego zła potęguje w obecnych warunkach możliwość użycia środków masowego niszczenia. Uchwała podjęta przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż dała w sposób jasny wyraz obawom że w wypadku użycia broni masowego niszczenia niemożliwa będzie zagwarantowana przez obowiązujące umowy międzynarodowe jakakolwiek akcja zmierzająca do niesienia pomocy nie tylko żołnierzom, ale również matkom, starcom i dzieciom.

W tym stanie rzeczy katolicy, zgodnie z nakazami wiary i sumienia opowiadają się przeciw używaniu broni masowego niszczenia, a w szczególności przeciwko używaniu bomby atomowej i zdecydowanie popierają wysiłki milio-

nów ludzi, którzy w odpowiedzi na apel sztokholmski uważają, że sprawcy użycia broni atomowej potraktowani być muszą jako winni zbrodni ludobójstwa.

Mając na względzie, że utrwalenie zachodniej granicy Polski na Odrze i Nysie służy waleśnie sprawie utrwalenia pokoju zebrani w dniu dzisiejszym katolicy, wyrażając swoje zadowolenie z osiągniętego w tej sprawie porozumienia pomiędzy Polską a Niemiecką Republiką Demokratyczną, równocześnie deklarują nieugiętą wolę obrony tejsze granicy przed zakusami zachodniego rewizjonizmu.

W sześć dni po swym pierwszym oświadczeniu w sprawie pokoju, a mianowicie w dniu 22 czerwca ks. biskup dr Zygmunt Choromański złożył na ręce dyrektora Urzędu do Spraw Wyznań, Antoniego Bidy, oświadczenie, które dało wyraz solidaryzacji Episkopatu Polski z akcją pokojową, zapoczątkowaną zbieraniem podpisów pod Apelem Sztokholmskim. Oto jego treść:

Oświadczenie Episkopatu Polski w obronie pokoju

Ks. biskup dr Zygmunt Choromański, sekretarz Episkopatu został upoważniony do złożenia następującego oświadczenia w imieniu Episkopatu:

Do Apelu Sztokholmskiego, jako współczynnika pokojowego załatwiania spraw międzynarodowych, Episkopat ustosunkowuje się pozytywnie i będzie popierał akcję pokojową zapoczątkowaną zbieraniem podpisów pod Apelem.

Energia atomowa to największe odkrycie geniuszu ludzkiego, winna się przyczynić do uszczęśliwienia ludzkości, a nie do jej zagłady.

Warszawa, dnia 22 czerwca 1950 r.

Ks. biskup dr Z. Choromański
sekretarz Episkopatu.

Słuszną ocenę powyższej enuncjacji dała redakcja „Dziś i Jutra” w swym komentarzu (nr 26) podkreślając przede wszystkim, że „udział Episkopatu Polski w akcji pokoju nadaje jej jeszcze bardziej charakter uniwersalny, co jest podstawowym warunkiem celu tej akcji, to znaczy wygrania walki o pokój”. Następnie wystąpienie Episkopatu potwierdziło, zdaniem pisma, jedność i jednomyślność wszystkich Polaków w odniesieniu do realizacji zasadniczych celów współczesnej polskiej racji stanu. Wreszcie decyzja Episkopatu jest oczywistą konsekwencją stanowiska zajętego przez Episkopat w Porozumieniu z dnia 14 kwietnia rb. Omawiając bezpośrednie następstwa Oświadczenia Episkopatu, „Dziś i Jutra” pisze:

Jak wiadomo, około 70 procent duchowieństwa już podpisało Apel Sztokholmski. Dziś idąc za przykładem Episkopatu również pozostałe 30 procent winno dokonać tego obowiązku obywatelskiego. Następną konsekwencją owianego wydarzenia winien być, zgodnie z wezwaniem Episkopatu, masowy udział społeczności katolickiej w dalszej akcji pokoju. Nie może już dziś być żadnej wątpliwości, że obowiązkiem każdego katolika duchownego i świeckiego jest walka o pokój, walka przejawiająca się w codziennej pracy, której efekty im są większe, tym bardziej zwiększają siłę Narodu, siłę obozu pokoju w zdecydowanej postawie wobec tych środowisk amerykańskich i innych im podległych, które w imię egoistycznych interesów dążą do pogrążenia całego świata w poźroźde nowej wojny.

Wnioski powyższe są tak oczywiste, że nie wymagają rozwinięcia czy uzupełnienia. Doniesłość Oświadczenia Episkopatu Polski występuje również na tle rozważań wstępnych, pomieszczonych w niniejszym numerze naszego pisma, do których odsyłamy łaskawego Czytelnika.

Biskupi polscy podpisali sztokholmski apel pokoju

Jak podaje Polska Agencja Prasowa, już po zakończeniu ogólnokrajowej akcji zbierania podpisów pod Apellem Sztokholmskim Światowego Komitetu Obrońców Pokoju, oprócz 6 biskupów, których nazwiska podano w poprzednim komunikacie prasowym dodatkowo podpisali Apel Sztokholmski pozostali członkowie polskiego episkopatu z ks. kard. Sapichą na czele.

POLSKA RACJA STANU A SPRAWA POKOJU

Jeden z naczelných problemów naszego życia narodowego: polska racja stanu a sprawa pokoju — znalazłi ważkie oświeślenie na łamach „Słowa Powszechnego” (nr 148) w noszącym powyższy tytuł artykule Konstantego Łubieńskiego. Oto najważniejsze jego miejsca:

Wśród szeregu punktów, związanych z współczesną polską racją stanu, na szczególną uwagę zasługują punkty 3, 4 oraz 9. W punktach tych Episkopat:

Primo — stwierdza, że zarówno prawa ekonomiczne historyczne, kulturalne, religijne jak i sprawiedliwość dziejowa wymagają, aby Ziemia Odzyskane na zawsze należały do Polski. Secundo — postanawia „zwrócić się z prośbą do Stolicy Apostolskiej aby administrację kościelne, korzystające z praw biskupstw rezydencjonalnych, były zamienione na stałe ordynariaty biskupie”. Tertio — postanawia „popierać wszelkie wysiłki, zmierzające do utrwalenia pokoju, oraz postanawia przeciwstawiać się w zakresie swych możliwości wszelkim dążeniom do wywołania wojny”.

Sprawa Ziemi Zachodnich i sprawa pokoju to dwie najbardziej podstawowe sprawy współczesnej polskiej racji stanu! W tych sprawach nie ma i nie może być między szczytami i świadomymi Polakami żadnych różnic. W tych sprawach stanowisko 30 milionów Polaków jest jedno, właśnie to, które znalazło wyraz w cytowanych punktach porozumienia.

Ala nie wystarczy takie stanowisko sformułować, trzeba go realizować. Wobec cynicznych i bezczelnych ataków na nasze Ziemię Zachodnią polityków anglosaskich i ich wasali niemieckich, spadkobierców dziedzictwa politycznego Hitlera, nie możemy być bierni. Tak samo nie możemy być bierni wobec już dziś nawet nie ukrywanych agresywnych planów wojennych rządu waszyngtońskiego. Sprawa Ziemi Zachodnich jest nierozłączną z sprawą pokoju. Jedna i druga wymagają nie tylko deklaracji, lecz właśnie „wszelkich wysiłków”, o których mówi porozumienie.

Rząd Polski Ludowej osiągnął poważny sukces zawierając z rządem demokratycznych Niemiec układ, który ustala ostatecznie nasze granice na Odrze i Nysie. Sukces ten, który wywołał falę wściekłości u naszych wrogów, musi być umacniany ze wszelkich stron i w tej akcji nie może zabraknąć ani jednego Polaka. Jak również nie może zabraknąć ani jednego Polaka w akcji w sprawie pokoju, tak integralnie związanej ze sprawą Ziemi Zachodnich.

W niniejszym artykule ograniczamy się do tych kilku uwag, zaznaczając jednak, że do sprawy porozumienia będziemy powracać częstokroć, gdyż uważamy za całkowicie słuszny pogląd, wyrażony przez J. Turowicza w artykule w „Tygodniku Powszechnym”, że „praktyczna wartość porozumienia zależy od jego realizacji, za którą jesteśmy wszyscy odpowiedzialni”.

POROZUMIENIE I WSPÓŁCZESNA POLSKA RACJA STANU

Ten sam publicysta na łamach tego samego pisma (nr 162) w artykule pt. „Sprawy najbardziej aktualne” przypomina podstawowe motywy Porozumienia w zakresie współczesnej polskiej racji stanu. Autor zwrócił uwagę przede wszystkim na doniosłość punktów 3, 4 oraz 9, po czym wywodzi:

Conditio sine qua non rozwoju Narodu, a w szczególności rozwoju jego gospodarczego jest granica nasza na Odrze i Nysie. Nie jest frazesem, że jest to granica pokoju. Faktem jest bowiem, że te same siły, które dążą do wojny, kwestionują nasze prawo do tej granicy, łamiąc wszelkie układy międzynarodowe i łamiąc elementarne prawa słuszności.

Perspektywa nowych zniszczeń wojennych, zniszczeń, które w konsekwencji „udoskonalenia” środków walki, mogą znacznie przewyższyć zniszczenia ostatniej wojny, przejmując zgrozę każdego Polaka, świadomego strat poniesionych i świadomego dokonanych osiągnięć.

W niniejszym artykule chodzi nam o utrwalenie przekonania, że po pierwsze: już obecny stan faktyczny, stan tzw. zimnej wojny hamuje nasz zryw, który ku podziwowi całego świata pozwolił na odrobienie wie'u strat i zaniedbań; po drugie: wielkie możliwości rozwoju Narodu mogą być przez wojnę całkowicie lub częściowo zniszczone, po trzecie: wykorzystanie tych możliwości może być odroczone do niewiadomego terminu. Przekonanie to musi być jak najmocniejsze, gdyż z niego rodzi się niezłomna wola walki o pokój. Naród Polski na pewno wojny nie sprowokuje. To byłoby sprzeczne z jego etyką, której dowody niezliczone stwierdza nasza historia, i byłoby sprzeczne całkowicie z współczesną racją stanu Polski, jednakże Naród Polski nie ulęknie się walki nawet zbrojnej w obronie najżywotniejszych jego interesów.

Walka o pokój już się toczy. W walce tej mamy wyjątkową szansę pełnego zwycięstwa. Siły po naszej stronie są ogromne. Po naszej stronie bowiem jest cały olbrzymi obóz socjalizmu, obejmujący zarówno kraje socjalistyczne, jak i znaczną część mas robotniczych w krajach kapitalistycznych. Obozowi temu przewodzi potężny ZSRR, pogromca naszego największego wroga: niemieckiego hitlerizmu.

Dlaczego twierdzimy, że ten obóz jest po naszej stronie? Dlatego ponieważ obóz ten po pierwsze gwarantuje nam nasze granice na Odrze i Nysie, po drugie walczy z nowymi przejawami imperializmu niemieckiego, po trzecie walczy z imperializmem amerykańskim, wspierającym imperializm niemiecki, po czwarte walczy z kapitalizmem, który grozi niewolnictwem wszystkim krajom gospodarczo zapóźnionym, a więc i Polsce, i po piąte dąży do upowszechnienia na drodze pokojowej socjalistycznego ustroju społeczno-gospodarczego na całym świecie, a ustrój ten oparty o zasadę niepodległości każdego narodu i system gospodarki planowej zapewnią trwałą pokój, wreszcie po szóste: dąży jak najusilniej do rozwiązywania pokojowego wszystkich bieżących problemów, nawet z krajami o innych ustrojach społeczno-gospodarczych.

Te sześć punktów, stwarzających zasadnicze warunki dla realizacji naszej współczesnej racji stanu, silnie wiąże nasz Naród z obozem socjalizmu. Naród polski przepełniony potężnym duchem patriotyzmu, którego źródłem niewyczerpanym jest przede wszystkim lud Polski, dąży zdecydowanie do pełnego rozwoju. Cel ten może być osiągnięty jedynie w warunkach pokoju.

OD POCZDAMU DO POROZUMIENIA

A oto jeszcze jeden artykuł, który nie może przejść nie zauważony, tak bowiem ważne są poruszone w nim problemy. Jest to mianowicie artykuł Pawła Jasienicy pt. „Od Poczdamu do Porozumienia”, umieszczony w nrze 163 „Słowa Powszechnego”.

Autor za punkt wyjściowy swych rozważań bierze świeżo zawarty w Warszawie układ między Polską a Niemiecką Republiką Demokratyczną, a w szczególności postanowienie wytyczające ustaloną w Poczdamie granicę Odra-Nysa. Zwróciwszy uwagę na fakt, że „pomiędzy chwilą ustalenia naszej zachodniej granicy a momentem jej wytyczenia polskie Ziemie Odzyskane stały się widownią największego przesiedlenia ludności, jakie zna historia Europy”, Jasienica stwierdza, że „każdy polski osadnik na zachodzie, każdy tamtejszy chłop i robotnik współuczestniczył w stwarzaniu faktów, które z kolei tworzą historię”, po czym omawia szeroko wkład katolików świeckich i duchowieństwa katolickiego wszelkich stopni hierarchicznych w repolonizację Ziem Zachodnich:

Byłoby krzyżującą niesprawiedliwością nie przypomnieć tu raz jeszcze wielkich zasług ś. p. Prymasa Polski ks. Augusta Hłonda, który sędził na decyzje bardzo śmiałe, spolszczając administrację kościelną na zachodzie, działał radykalnie i jeszcze w roku 1948, na parę czy kilka miesięcy przed śmiercią wzywał wiernych, by na tamtych ziemiach pracowali i trwali.

Przypomnijmy sobie trudne lata powojenne. Do zachodnich i północnych województw naszego kraju szły transporty wiozące osadników. Jechał nad Odrę, Łynę i Nysę także i polski wieśniak ze wschodu, który aż dotąd nosa poza swoją parafię nie wysadzał, dalej niż w jakichś Michaliszkach czy Łyntupach nie bywał. Naprawdę, gdyby w nowym kraju nie znalazł ten wieśniak polskiej administracji kościelnej, gdyby nie czekał tam na niego polski biskup i nie przyjechał polski ksiądz — „zakotwiczanie” osadników i repatriantów odbywałoby się w warunkach gorszych, trudniejszych.

Wśród tych, którzy repolonizację naszego zachodu uczynili faktem, trzeba koniecznie wyliczyć i katolickich duchownych wszelkich stopni.

Jasienica przytoczył te fakty po to, aby nawiązać do Porozumienia pomiędzy Episkopatem a Rządem, które zawiera punkty odnoszące się do Ziem Zachodnich. Stwierdzono tam wyraźnie, że nie tylko prawa ekonomiczne, historyczne i kulturalne, lecz także względy religijne i sprawiedliwość dziejowa wymagają, aby Ziemie Odzyskane na zawsze należały do Polski, i że Episkopat postanowił „zwrócić się z prośbą do Stolicy Apostolskiej, aby administracje kościelne, korzystające z praw biskupstw rezydencjonalnych, były zamienione na stałe ordynariaty biskupie”.

Sformułowania te obalają tezy wrogiej nam propagandy, jakoby uznanie granicy na Odrze i Nysie sprzeczne było z wymogami moralności chrześcijańskiej. Lecz słusznie pisze Jasienica, że nie powinno się na tym poprzestawać:

„Polska społeczność katolicka posiada w stosunku do Ziem Zachodnich znaczny bardzo kapitał zasług, pomnożony ostatnio o propagandowy efekt powołanych punktów porozumienia. Chodzi teraz o to, by uczynić krok następny i zabiegać o formalną sankcję dla naszej granicy ze strony Stolicy Apostolskiej, czyli o zmianę administracji kościelnych na normalne biskupstwa. Można przypuszczać, iż układy warszawskie, dotyczące wytyczenia istniejącej granicy, ułatwiają potrzebne wystąpienie wobec Watykanu, stwarzają dogodną okazję. Układ warszawski podpisany został przecież przez dwa zainteresowane rządy i zalicza się do faktów kształtujących rzeczywistość.

Nie należy, rzecz jasna, wmawiać w nikogo, iż zadanie, wobec którego stoją polscy księża biskupi, jest łatwe. Nikt nie może też zaręczać, czy interwencja w Watykanie odniesie skutek. Zresztą w porozumieniu mowa jest tylko o zobowiązaniu do złożenia prośby u Stolicy Apostolskiej. Nikt nie może polskiej Hierarchii Kościelnej obarczać odpowiedzialnością za to, czy prośba ta odniesie pożądaný skutek.

Świeckie społeczeństwo katolickie powinno sobie -uświadamiać zarówno wagę zadania, które przyjęła na siebie Hierarchia, jak i jego trudności. W żadnym też razie nie powinno siedzieć z założonymi rękami. Powinniśmy wiedzieć i rozumieć, iż w takich sprawach świeckim katolikom jest bez porównania łatwiej działać niż duchownym. Naszym zadaniem jest mobilizacja opinii katolików polskich tudzież starania, by opinia ta dotarła do Watykanu. W ten sposób walnie dopomożemy księżom biskupom w realizacji porozumienia, które przecież zrealizowane być musi".

Niezmiernie ważki artykuł Pawła Jasienicy kończy się wezwaniem skierowanym do wszystkich katolickich czasopism polskich, by nieustannie podejmowały problematykę Ziemi Zachodnich.

A. R.



✻ 077069

Komitet Redakcyjny: przewodniczący — *Tadeusz Lehr-Spławiński*;
członkowie — *Włodzimierz Głowacki, Zdzisław Jaroszewski, Zdzisław Kaczmarczyk, Alfons Kłafkowski, Aleksander Rogalski, Michał Szczaniecki, Mieczysław Suchocki, Zygmunt Wojciechowski i Seweryn Wyśtouch.*

Redaktor: *Zygmunt Wojciechowski*; zast. redaktora: *Mieczysław Suchocki*
sekretarz redakcji: *Aleksander Rogalski.*

REDAKCJA i ADMINISTRACJA „ŻYCIA i MYŚLI” — INSTYTUT ZACHODNI
POZNAŃ, CHEŁMOŃSKIEGO 1, m. 7/8. TELEFON 66-14

Prenumerata „Życia i Myśli” w r. 1950 — 800.— zł, wraz z przesyłką
PKO Nr V. PPK „Ruch” 67-18 (na „Życie i Myśl”) — wysyłka za uprzednią wpłatą.

Druk. Uniw. Pozn. — Zam. 720 — 5. VII. 50 — 25. VIII. 50. — K-1-11366

W. S. P.

w

Gdańsku

~~II 56~~

PWH 3105/Gk-Gd./30